

**SZPIEG NA BOŻE  
NARODZENIE**

**DAVID MORRELL**

**Z angielskiego przełożyła MARIA FRĄC**

ALBATROS

**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**MIASTO ŚWIĘTEJ WIARY**

Kolędnicy śpiewali:

— Stało się to o północy w jasną, czystą noc...

Nie było jednak jeszcze północy, a niebo zasnuwały chmury. Szeptał padający śnieg, zimny proszek, który odbijał blask kolorowych lampek rozwieszonych za skrzyżowaniem na budynkach z suszonej na słońcu cegły. Nawet światła sygnalizatora wyglądały świątecznie.

— Idealna Wigilia — zachwycła się kobieta idąca w tłumie na Alameda Street. Hiszpańskie słowo alameda nawiązuje do topoli, które rosły wzdłuż ulicy przed laty, gdy jezdni miała tylko jeden pas. Choć tamte topole dawno ustąpiły innemu gatunkowi, ulica pozostała wąska, a chodnik ledwo mieścił ludzi wracających z mszy w katedrze Świętego Franciszka albo z wystawy rzeźb lodowych na liczącym czterysta lat, pełnym drzew placu Santa Fe, znanym jako Plaża.

— Myślisz, że światła na Plaża to coś nadzwyczajnego? — zapytał towarzysz kobiety. — Poczekaj, aż zobaczysz Canyon Road. Cała mila dekoracji. Będziesz chciała tu wrócić na święta. Ludzie zjeżdżają z całego świata, żeby zobaczyć Santa Fe w Boże Narodzenie. Wiesz, co znaczy Santa Fe, prawda?

— W hotelu słyszałam, jak ktoś nazwał je Miastem Niezwykłym.

— To tylko przydomek. Santa Fe zostało założone przez Hiszpanów. Nazwa znaczy „Święta Wiara”. Idealna o tej porze roku.

— A na ziemi pokój ludziom dobrej woli...

Przesuwający się z tłumem barczysty mężczyzna

w czarnej kurtce narciarskiej nie dbał o pokój ani o dobrą wolę. Miał czterdzieści pięć lat, ale trudy życia wyryły mu bruzdy na twarzy i sprawiły, że wyglądał starzej. Patrzył skupionym wzrokiem myśliwego, więc wszystko, co znajdowało się po bokach, widział w postaci rozmytych plam. Wokół niego przycichły nawet dźwięki. Kolędnicy, dzwony kościelne, okrzyki zachwytu na widok świątecznych dekoracji — wszystko ucichło, gdy skupiał uwagę wyłącznie na ofierze. Dzieliło go od niej tylko piętnaście osób.

Cel miał granatowy skafander, ale pomimo padającego śniegu nie naciągnął kaptura, pozwalając, by zimna warstwa bieli osiadała na głowie. Myśliwy rozumiał powody. Uciekinier nie chce, żeby kaptur ograniczał mu widok na boki. Ktoś, kto desperacko szuka drogi ucieczki, patrzy inaczej niż myśliwy, nie zawęża pola widzenia, ale rozgląda się na wszystkie strony.

Zabójca trzymał ręce w kieszeniach narciarskiej kurtki. W kieszeniach były szczeliny, przez które bez trudu mógł sięgnąć do dwóch pistoletów w kaburach u pasa pod kurtką. Oba miały tłumiki. Jednym był glock kalibru dziesięć milimetrów, wybrany z powodu siły rażenia i dlatego, że gwintowanie w lufach tych pistoletów zaciera rysy na wystrzeliwanych z nich pociskach. W konsekwencji technicy kryminalistyki praktycznie nie mogą powiązać tych kul z żadną konkretną bronią.

Ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, siła glocka nie będzie konieczna. Drugi pistolet, beretta kalibru dwadzieścia dwa, został wybrany z uwagi na subtelność. Nawet bez tłumika ta broń robi niewiele hałasu. Ale z tłumikiem i poddźwiękową amunicją zaprojektowaną do użycia na wysokości Santa Fe, siedmiu tysięcy stóp, dwudziestkadwójka była wyjątkowo cicha. Co istotniejsze, niniejsza siła rażenia oznaczała, że kula nie narazi misji, gdyż nie przebije celu i nie uderzy w cenną paczkę ukrytą pod jego skafandrem.

— ...słuchać anielskiego śpiewu.

Na skrzyżowaniu światła zmieniły się na czerwone. Tłum zatrzymał się w padającym śniegu, tworząc zbitą barierę, która uniemożliwiła myśliwemu podejście do celu.

Nagle w słuchawce ukrytej pod czarną obcisłą czapką, którą myśliwy naciągnął na uszy, zabrzmiał męski głos.

— Melchior. Status — zażądał pełen złości głos.

Myśliwy miał na imię Andriej. Jego pracodawca, były funkcjonariusz KGB, nadał mu pseudonim „Melchior”, żeby utrudnić identyfikację w wypadku, gdyby wróg zyskał dostęp do ich częstotliwości. Andriej a intrygował ten pozornie bezsensowny wybór, dopóki się nie dowiedział,

że według tradycji Melchior był jednym z Mędrców, którzy poszli za wigilijną gwiazdą do Betlejem i znaleźli tam Dzieciątko Jezus.

Andriej ukrył mikrofon pod biletami na wyciąg narciarski, przypiętymi do suwaka skafandra; widok biletów był powszechny w tym górskim ośrodku. Nie chcąc zwrócić niczyjej uwagi, wyjął komórkę z kieszeni spodni i udawał, że odbywa rozmowę telefoniczną. Choć miał rosyjskie korzenie, jego amerykański akcent brzmiał przekonująco.

Wcisnął mikrofon, żeby przekazać wiadomość.

— Cześć, wujku Harry. Właśnie idę Alameda Street. Jestem na rogu Paseo de Peralta — powiedział, posługując się hiszpańską nazwą „Pasażu Peralty”, która nawiązuje do założyciela Santa Fe, gubernatora Nowego Meksyku z początków siedemnastego wieku. — Po drugiej stronie ulicy zaczyna się Canyon Road. Zabiorę paczkę i będę u ciebie za dwadzieścia minut.

— Wiesz, gdzie jest paczka? — Właściciel zrzędliwego głosu nie próbował ukryć rosyjskiego akcentu ani niecierpliwości.

— Wprost przede mną. — Andriej wciąż udawał, że mówi to telefonu komórkowego. — Świąteczne dekoracje są oszłamiające.

— Nasi klienci będą lada chwila. Przynies to!

— Gdy tylko dołączą do mnie przyjaciele.

— Baltazar! Kacper! Status! — zażądał głos.

Niezwykle pseudonimy były imionami, które tradycja nadała pozostałym Mędrcom ze Wschodu w historii Bożego Narodzenia.

— Prawie na miejscu! — Andriej usłyszał w słuchawce kolejny głos z silnym obcym akcentem i przyspieszony oddech. — Kiedy przejmiesz paczkę, zablokujemy każdego, kto wejdzie ci w drogę.

— Dobrze. Jutro obejrzymy mecz — powiedział Andriej do mikrofonu. — Zaraz się zobaczymy, wujku Harry.

Miał cienkie skórzane rękawiczki strzelca, które nie zapewniały ochrony przed zimnem. Gdy światła zmieniły się na zielone, schował telefon i wepchnął ręce do kieszeni kurtki z polarową podszewką, żeby ogrzać palce.

Tłum ruszył przez ulicę, wciąż zasłaniając cel. Mężczyzna miał około sześciu stóp wzrostu, był szczupły, ale zaskakująco silny, o czym Andriej przekonał się podczas wielu akcji, w których razem uczestniczyli.

A także piętnaście minut temu.

Cel miał ciemne włosy średniej długości. Surowe, ale miłe rysy twarzy, które trudno byłoby opisać świadkom. Trzydzieści parę lat.

Andriej teraz rozumiał, że jego wiedza o tym człowieku ogranicza się do tych szczegółów. Ta myśl podsycała jego gniew. Do dziś wierzył, że on i jego ofiara stoją po tej samej stronie, a co więcej, są przyjaciółmi.

Jesteś jedyną osobą, której zaufałem, Piotrze. Ile innych kłamstw usłyszałem? Poręczyłem za ciebie. Powiedziałem pachanowi, że może na tobie polegać. Jeśli nie wrócę z tym, co ukradłeś, każe mnie zabić.

Mężczyzna dotarł na drugą stronę ulicy i skręcił w prawo, mijając światelka w kształcie gwiazdy rozwieszzone wzdłuż okien galerii sztuki. Andriej nieco zmniejszył odległość — teraz dzieliło ich tylko trzynaście osób — unikając gwałtownych ruchów, nie robiąc niczego, co zaburzyłoby ludzki potok i skłoniło cel do odwrócenia głowy. Choć mężczyzna szedł równym krokiem, Andriej wiedział, że jest ranny w lewe ramię. Ręka wisiała bezwładnie wzdłuż boku. Cienie i ślady stóp skrywały krew kapiącą na śnieg.

Niedługo osłabniesz, pomyślał Andriej zaskoczony, że to jeszcze nie nastąpiło.

Zobaczył przed sobą błyskające czerwone i niebieskie światła. Sprężył się. Pomimo odświętnego wystroju ulicy nie można było pomylić tych światel z gwiazdkowymi dekoracjami. Rozpraszane przez padający śnieg, migały na dachach dwóch wozów policyjnych, które blokowały wjazd na

Canyon Road. Wielkie czerwone litery na białych drzwiach oznajmiały: POLICJA SANTA FE.

Andriej wyprężył ramiona. Nas szukają? Znaleźli ciała?

Przed radiowozami stali dwaj krzepcy policjanci w obszernych skafandrach, tupiąc dla rozgrzewki. Zesztywniali z zimna, niezdarnie podnosili lewe ręce i machali prawymi, nakazując samochodom osobowym i ciężarowym jechać dalej, bez skręcania w Canyon Road.

— Co tu robi policja? — powiedziała z przejęciem jakaś kobieta w tłumie. — Coś musiało się stać. Lepiej trzymajmy się z daleka.

— Wszystko w porządku — zapewnił ją jej towarzysz. — Policja co roku zamyka ulicę. Jest Wigilia, obowiązuje zakaz wjazdu w Canyon Road. Dziś wstęp mają tylko piesi.

Andriej patrzył, jak Piotr mija radiowozy i wchodzi w odświętną Canyon Road, pilnując, żeby nie nawiązać kontaktu wzrokowego z policjantami. Nie zwrócili na niego uwagi, wyglądali na znudzonych.

Tak, tylko kierują ruchem, zdecydował Andriej. Niebawem ten stan się zmieni, ale wtedy będę miał to, czego potrzebuję, i będę daleko stąd.

Zastanowił się, dlaczego Piotr nie zwrócił się do policji o pomoc, ale po chwili namysłu zrozumiał. Sukinsyn wie, że nie pozwolimy, by cokolwiek przeszkodziło nam zabrać to, co ukradł. Z bronią w kaburach dwaj gliniarze nie mieliby szans, gdybyśmy na nich ruszyli.

Spojrzał przed siebie i zauważył, że na zwężającej się Canyon Road tłum coraz bardziej gęstnieje. Santa Fe jest małym miastem, liczącym około siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców. Przed przystąpieniem do realizacji zadania Andriej przeprowadził rekonesans w zwartym centrum i wiedział, że od Canyon Road odchodzi niewiele ulic. Przywodziła mu na myśl komin.

Teraz wszystko pójdzie szybko, pomyślał. Dopadnę cię, przyjacielu.

Kimkolwiek jesteś.

Pole widzenia Andrieja zawężyło się jeszcze bardziej. Skupiał wzrok na tyle głowy Piotra, gdzie zamierzał wpakować kulę. Udając, że zachwyca się świątecznymi dekoracjami, minął błyskające światła radiowozów i wszedł z strefę śmierci.

•••

Mężczyzna o imieniu Piotr widział wszystko bardzo wyraźnie, jego maksymalnie wyostrzone zmysły rejestrowały najdrobniejsze szczegóły otoczenia.

Wzdłuż Canyon Road stoją głównie parterowe budynki, wiele w modnym architektonicznym stylu puebla: płaskie dachy, zaokrąglone narożniki i fasady w kolorze ziemi tak charakterystyczne, że goście wpadają w zachwyt. Większość budynków — niektóre z osiemnastego stulecia — została przekształcona w galerie. Setki galerii czynią tę ulicę jedną z najbardziej popularnych miejsc poświęconych sztuce w Stanach Zjednoczonych.

Dzisiejszego wieczoru kontury zabudowań podkreślone były przez niezliczone mrugające świece — miejscowi zwą je farolitos — umieszczone w papierowych torebkach z piaskiem i ustawione wzdłuż chodników. Niektóre zostały przypadkowo wywrócone i torebki się paliły, ale większość stała, a padający śnieg jeszcze nie zgasił migoczących płomyków.

Ogniska oświetlały obie strony drogi. Od czasu do czasu głośny trzask sprawiał, że Piotr się wzdrygał, jakby słyszał strzały. Płonęło w nich drewno sosny pi non i aromatyczny dym przywodził na myśl kadzidło.

Skup się, nakazał, przestrzegł się, próbując zignorować ból w ramieniu. Zapomnij o cholernym dymie. Uważaj. Szukaj drogi wyjścia.

Naprawdę nazywał się Paul Kagan, ale przez lata, w innych miejscach, używał różnych nazwisk. Dzisiaj postanowił być sobą.

Lewą kieszeń skafandra miał oddartą, bo ktoś go za nią złapał w czasie ucieczki. Pamiętał szok, jakiego doznał, gdy sięgnął po komórkę i odkrył, że wypadła. To go przybiło. Został pozbawiony możliwości skontaktowania się z kontrolerem i nie mógł wezwać pomocy.

Kagan miał w uchu słuchawkę w kolorze ciała, tak małą, że zauważenie jej w tym świetle graniczyło z niepodobieństwem. Na skafandrze był ukryty miniaturowy mikrofon, ale łączność została przerwana piętnaście minut temu. Założył, że myśliwi zmienili częstotliwość, żeby nie podsłuchiwał ich w czasie akcji.

Usiłując wtopić się w tłum, starał się słyszeć i widzieć wszystko dokoła: kolędników, światła mrugające na galeriach i drzewach, handlarzy dzieł sztuki proponujących przechodniom parujące kakao. Szukał trasy ucieczki, ale wiedział, że jeśli pościg dotrze za nim do spokojniejszej okolicy, nie będzie miał szans.

Ani on, ani to, co trzymał pod skafandrem.

Czuł, jak się wierci. W strachu, że może się udusić, rozpiął trochę zamek błyskawiczny i wypuścił powietrze. Może hałasowało, ale Kagan nie miał pewności, bo wszystko zagłuszały rozmowy i rozbrzmiewające wokół kolędy. Te same odgłosy uniemożliwiały innym usłyszenie tego, co ukrywał pod skafandrem.

— My, Trzej Królowie ze Wschodu, jesteście...

Tak, zgadza się, przybyli ze Wschodu, pomyślał Kagan. W tym stanie osłabienia kadzidlany zapach ognisk przypomniał mu o darach, które Trzej Królowie przynieśli Dzieciątku Jezus: kadzidło dla kapłana, złoto dla króla i mirrę, wonną balsamującą substancję dla tego, kogo czeka śmierć.

Ale nie dla tego pod moim skafandrem, pomyślał. Na Boga, zrobię wszystko, żeby nie umarło.

•••

— Paul, mamy dla ciebie nowe zadanie. Jak twój rosyjski?

— Moi rodzice bali się mówić w tym języku, nawet potajemnie. Ale po rozpadzie Związku Radzieckiego rosyjski nagle stał się jedynym językiem, w jakim rozmawiali w domu. Lata życia w ukryciu podsycały potrzebę powrotu do mowy ojczystej. Musiałem nauczyć się rosyjskiego, żeby rozumieć, co mówią.

— W twoich aktach jest napisane, że uciekli do Stanów /jednoczonych w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym.

— To prawda. Wchodzili w skład zespołu gimnastycznego wysłanego na letnie igrzyska w Montrealu. Udało im się wymknąć nadzorcom i dotrzeć do konsulatu amerykańskiego, gdzie poprosili o azyl.

— Interesujące, że wybrali Stany zamiast Kanady.

— Chyba się martwili, że kanadyjskie zimy będą równie srogie jak te w ich rodzinnym Leningradzie.

— Miałem nadzieję, że powiesz, iż podziwiali amerykański styl życia.

— W istocie, sir, zwłaszcza na Florydzie. Tam zamieszkali i już nigdy nie doskwierało im zimno.

— Na Florydzie? Wykonywałem tam zadanie w pewne Boże Narodzenie. Piasek, słońce... nastrój zupełnie nie do pracy. Nie doskwierało im zimno? Przypuszczam, że nie mówisz o zimnej wojnie.

— Nie, sir. Ruscy nie zaprzestali poszukiwań uciekinierów, zwłaszcza tych, których nazwiska pojawiały się w nagłówkach zagranicznych gazet. Choć rodzice dzięki Departamentowi Stanu uzyskali nową tożsamość, zawsze się bali, że zostaną wytropieni.

— Naprawdę nazywali się Irina i Władimir Kozłow?

— Zgadza się.

— Zmienione na Kagan?

— Tak, sir. Gimnastyka była ich pasją, ale szybko /rozumieli, że już nigdy nie wystąpią w zawodach. Istniało zbyt duże ryzyko zdemaskowania. Nie mieli nawet odwagi chodzić na salę

gimnastyczną i ćwiczyć. Wiedzieli, że nie zdołają powstrzymać się od pokazania, na co ich stać. Gdyby ludzie zobaczyli, jacy są wspaniali, wieści szybko by się rozeszły. Mogłyby trafić do niewłaściwych uszu. Rodzice za bardzo się bali, żeby podjąć ryzyko. Nie mogli prezentować swych umiejętności i to zламаło w nich ducha. Taka była cena wolności.

— Mogliby zdobywać złote medale?

— Jestem o tym przekonany. Ale uciekli z mojego powodu. Związki pomiędzy gimnastykami były surowo zakazane, ale jakoś znaleźli okazję, żeby być z sobą. Gdyby nie zakazy, być może nie doszłoby... W każdym razie, gdy moja matka zrozumiała, że jest w ciąży, wiedziała, iż Ruscy zmuszą ją do aborcji, żeby mogła brać udział w zawodach. Zdecydowała, że na to nie pozwoli.

— Byli nastolatkami, szybko dorośli.

— Paranoicznie się bali, że agenci KGB zgarną nas w środku nocy. Dlatego wychowali mnie w podejrzliwości wobec wszystkich, nauczyli mnie obserwować i wypatrywać tych, którzy nie pasują do otoczenia. Od zawsze uważałem to za normalne.

— Czyli zawód szpiega jest dla ciebie stworzony.

•••

— Cole wymiotował — powiedział mężczyzna do telefonu, starając się zachować naturalne brzmienie głosu. — Coś mu zalega w żołądku. Niestety, nie przyjdziemy na przyjęcie.... Tak, ja też żałuję. To straszne, w samą Wigilię.... Przekażę mu. Dzięki.

Rozłączył się, potem podniósł młotek z lady i roztrzaskał telefon na kawałki — tak jak wcześniej aparat w swoim gabinecie i ten w sypialni.

Kawałki plastiku frunęły przez kuchnię.

— Zrobione — wymamrotał. Rzucił młotek, otworzył torebkę, która leżała na ladzie, wyjął telefon komórkowy i wsunął go do kieszeni płaszcza. — To załatwia sprawę. — Przeszedł przez kuchnię i otworzył drzwi na zewnątrz tak gwałtownie, że podmuch zassał śnieg do domu. Podczas gdy płatki osiadały na kobiecie leżącej na podłodze, wybiegł z kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Chłopiec, który przyciskał się plecami do szafki, był tak wstrząśnięty, że przez chwilę nie mógł mówić. Wreszcie odzyskał głos.

— Mamo? — Łzy piekły go w oczy. — Nic ci nie jest? — Podeszedł do niej. Obcas jego prawego buta, choć wyższy niż lewy, nie w pełni kompensował krótszą nogę, wskutek czego chłopiec lekko utykał.

Ukląkł i dotknął jej ramienia, czując wilgoć w miejscu, gdzie nawiany śnieg już się topił.

— Jestem... — Matka odetchnęła głęboko i znalazła siłę, żeby usiąść. — Jestem... nic mi nie będzie. — Dotknęła ręką policzka i skrzywiła się z bólu. — Przynieś... kilka kostek lodu, dobrze, skarbie? Zawień je w ścierkę do naczyń.

Kaleki chłopiec szybko zabrał ścierkę z lady i podeszedł do dwudrzwiowej lodówki. Otworzył, sięgnął po lód. Kostki mroziły mu palce. Podczas gdy matka jęczała, próbując wstać, owinał je w ścierkę i pospieszył do niej.

— Zawsze mi pomagasz — szepnęła. — Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. — Przyłożyła lód do policzka. Krew z rozciętej wargi poplamiała materiał sukni.

W tle grała muzyka, mężczyzna śpiewał wesoło Idzie Święty Mikołaj. Na kominku w salonie trzaskały płonące polana. Na choince paliły się lampki. Pod drzewkiem leżały prezenty opakowane w kolorowy papier. Sprawiały, że chłopiec czuł się jeszcze gorzej.

— Mam zadzwonić do szpitala? — zapytał.

— Telefony są rozbite.

— Mogę wyjść na ulicę i znaleźć automat albo poprosić sąsiada.

— Nie. Chcę mieć cię przy sobie.

— Ale twój policzek...

— Lód pomaga.

Chłopiec spojrział koso na prawie pustą butelkę whiskey na ladzie.

— Obiecał.

— Tak — przyznała kobieta. — Obiecał. — Odetchnęła głęboko. — Cóż... — Wyprostowała się, podejmując decyzję. — Nie pozwolimy, żeby nam zepsuł Wigilię. Zrobię... — Szukała pomysłu, ale jej mina mówiła chłopcu, że ma kłopoty z koncentracją. — Zrobię gorące kakao.

— Mamo, powinnaś usiąść.

— Nic mi nie jest. Aspiryna postawi mnie na nogi.

— Pozwól, ja zrobię kakao.

Przykładając lód do policzka, uważnie przyjrzała się chłopcu.

— Tak, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. — Gdy się uśmiechnęła, zabolął ją zraniony policzek i znowu skrzywiła twarz. Spojrzała w dół. — Moja suknia... — Zieleń była poplamiona krwią. — Lepiej włożę coś innego. Nie mogę w takim stroju spędzać Wigilii.

Chłopiec patrzył, jak matka idzie chwiejnym krokiem w głąb korytarza i skręca do sypialni po lewej stronie.

Teraz rozbrzmiewała melodia Bałwana Mroźnego.

Łzy za szklami okularów zacierały widok. Mimo to chłopiec dostrzegł ślady stóp na śniegu. Ojciec przeszedł przez podwórko przed domem i otworzył furtkę. Uliczka za ogrodzeniem była pusta. W szybie salonu odbijały się smętne światełka choinki.

Obiecał, pomyślał chłopiec. Obiecał!

•••

Andriej przybliżył się w tłumie, teraz dzieliło ich tylko dziesięć osób. Śnieg wciąż padał, przygaszając świece płonące w papierowych torbach, pogłębiając cienie, zapewniając osłonę. Warunki niemal idealne, pomyślał.

Muzyka płynęła z galerii sztuki, kolednicy śpiewali Miasteczko Betlejem.

Andriej znów usłyszał w słuchawce pod czapką głos

z silnym akcentem. Gniewny ton pachana brzmiał na tyle głośno, że zaboląły go bębni.

— Musimy założyć, że Piotr jest kretem.

Piotr, pomyślał Andriej z goryczą. Oczywiście, biorąc pod uwagę niedawne wydarzenia, cel ma inaczej na imię.

O wściekłości pachana świadczył fakt, że nie przebierał w słowach.

— Ten suczy syn jest pewnie z policji albo wywiadu. Ale nie rozumiem, dlaczego tak długo czekał z wykonaniem swojego mchu? Przecież już dawno temu go sprawdziliśmy. Dlaczego akurat teraz?

Może nie tylko teraz, pomyślał Andriej. Przypomniał sobie zawałone operacje, być może z winy Piotra.

Pachan wciąż się wściekał:

— Przynajmniej znalazłeś jego komórkę. Skoro jeszcze nie otrzymał pomocy, pewnie nie miał jak jej wezwać.

Tak, jesteś zdany na siebie, przyjacielu, pomyślał Andriej. Jeszcze dziesięć kroków i cię dopadnę.

— To twoja wina! — ryknął pachan. — Zrób to jak należy!

Andriej wrócił myślą do czasów sprzed dziesięciu miesięcy, gdy Piotr zjawił się w Brighton Beach. Mówiący tylko po rosyjsku przybysz stronił od innych, nie wiadomo, jak zarabiał na życie. Andriej, zawsze nieufny wobec obcych, poszedł za nim pewnej nocy i patrzył, jak Piotr napada z pistoletem na sklep z alkoholem w Bronksie i bije klienta, który stawiał opór.

Następnej nocy obserwował, jak Piotr rabuje pieniądze dwom pijakom przed barem w Queens. Kolejnej, jak obrabia sklep całonocny w Brooklynie i tłucze sprzedawcę pistoletem tak mocno, że krew ochlapała okno. Andriej przekazał te informacje swojemu pachanowi, który polecił powiadomić przybysza, że nie może pracować bez jego pozwolenia i że domaga się udziału w



zyskach.

Piotr, rozwścieczony, zażądał spotkania z tym wszechpotężnym człowiekiem, który mówił wszystkim, co mają robić.

— Pracowałem daleko stąd. To nie jego sprawa.

— Będzie, jak policja przyjdzie tu za tobą.

— Nie popełniam błędów.

— Miło poznać kogoś, kto jest doskonały.

— Posłuchaj. Przez całe życie radzę sobie sam. Nie słucham niczyich rozkazów.

— Pachan powiedział, że jak się nie zgodzisz, to mam cię zabić — rzekł Andriej rzeczowo.

— Spróbuj.

— Bardzo zabawne.

— Poważnie. Spróbuj. Nie pozwolę, żeby ten jebanat mi rozkazywał.

— To samo powiedziałem po przyjeździe do Brighton licach. Ale nie miałem dokumentów, i ty też nie masz. Chciałem zostać w Stanach i potrzebowałem pomocy pachana, a to znaczy, że musiałem go słuchać.

— Są inne środowiska rosyjskie, gdzie mogę się ukryć.

— I gdzie inni pachanowie ustanowili te same zasady.

Rzucasz mi wyzwanie? Nieczęsto się to zdarza. Dlatego dam ci pewną cenną radę. Lepiej zrób, co pachan każe, zamiast zmuszać mnie, żebym cię zabił. Zaoszczędź mi kłopotu. Weź robotę, jaką daje. Zarobisz więcej niż na skokach na monopolowe.

— Nawet gdy oddam mu dołą?

— Jak już weźmie swoje i pokaże, kto tu rządzi, szczerze płaci za lojalność. Jak myślisz, dlaczego dla niego pracuję? Lubię go nie bardziej niż ty.

Pachan wypróbował Piotra w drobnych robótkach. Jego brutalność zrobiła na nim takie wrażenie, że zaczął wyznaczać go wraz z Andriejem do poważnych zadań. Przez pół roku obaj spędzali długie godziny w samochodach i zaułkach, dzielili pokoje w motelach i zjedli razem więcej śniadań niż Andriej ze swoją żoną. Piotr miał w sobie coś, co mu imponowało; być może determinacja i upór młodszego mężczyzny przypominały mu, jaki sam był kiedyś.

W Kolumbii, gdyby nie ty, Piotrze, ten baron narkotykowy byłby mnie zabił.

Do diabła, co się stało dzisiejszej nocy? Nikt nie zwraca się przeciwko nam. Zabiłeś Wiktora. Naraziłeś misję.

Cholera, zaprosiłem cię do swojego domu. Przedstawiłem cię rodzinie. Zaufałem ci, choć z reguły nie ufam nikomu.

Bądź ostrożny, przykazał sobie Andriej. Nie angażuj się emocjonalnie. W ten sposób popełnia się błędy. Ukarzę go. Tak, ukarzę. Teraz jest tylko celem. Pamiętaj, bo inaczej nie tylko on uciepi.

Piotr jest nieważny. Liczy się

tylko to, co ma pod kurtką.

• • •

Nastolatek przywiązał papierową torbę do wielkiego halonu. W torbie paliła się świeczka, więc po uwolnieniu balon wzniósł się w powietrze pomimo padającego śniegu.

Kolędnicy śpiewali:

— Cudowna gwiazdo...

Nagle zwalisty mężczyzna w czapce Świętego Mikołaja uderzył Kagana w lewe ramię. Kagan z trudem zdławił lęk, gdy silny ból przeszył ranną rękę. Przez chwilę się bał, że został zaatakowany, ale niezdarny przechodzień odszedł ciężkim krokiem. A jednak wiedział, że niedługo dopadnie go prawdziwy napastnik. Czuł, że myśliwi go osaczają, zatrząskując pułapkę.

Usilnie starając się nie zdradzić rozgorączkowania, lustrował wzrokiem tłum przed sobą i wesoło oświetlone galerie po obu stronach ulicy. Drżał z zimna, bo głowę miał mokrą od śniegu. Nie

wciągnął kaptura, żeby nie ograniczać pola widzenia.

Nie mogę ryzykować przeoczenia trasy ucieczki, pomyślał. Muszę znaleźć kryjówkę.

Na lewo dostrzegł uliczkę. Mieściły się w niej galerie, a padający śnieg tworzył aureole wokół świątecznych świateł. Kagan szedł dalej. Zobaczył ulicę po prawej stronie, wąską jak Canyon Road, niemal równie zatłoczoną, też płonęły na niej ogniska. Chciał skręcić, gdy nagle poruszyło się to, co trzymał pod częściowo rozchyloną kurtką.

Nie, zdecydował Kagan. Nie ta ulica. Tam nie będziemy bezpieczni. Musimy znaleźć inną drogę. My.

Ugiął się pod ciężarem tego słowa.

— Prowadź nas ku swej światłości.

Krzywiąc się z powodu bolącego ramienia, osłonił dziecko, które trzymał pod skafandrem, i poniosł je w padający śnieg.

•••

— Paul, z twoich akt wynika, że rodzice zostali mistrzami sztuk walki.

— Substytut gimnastyki. W końcu zdobyli czarne pasy w karate. Przydatna umiejętność, szczególnie że cały czas bali się Ruskich. Oczywiście, nigdy nie uczestniczyli w zawodach. Wiązałoby się to z niepożądanym rozgłosem.

— Tymczasem Departament Stanu kupił im niewielki dom tam, gdzie chcieli zamieszkać, w Miami.

— Zgadza się. Przeprowadzili się po intensywnym kursie angielskiego. Nawet po latach nie stracili rosyjskiego akcentu. Dlatego rzadko rozmawiali z obcymi. Jeśli ktoś pytał, skąd pochodzą, używali przykrywki wymyślonej przez Departament Stanu i twierdzili, że są dziećmi rosyjskich imigrantów. Nie wyobrażam sobie, jak bardzo musieli czuć się wyobcowani, zdezorientowani i przerażeni. Postawili wszystko na jedną kartę dlatego, że moja matka nie chciała, żeby Ruscy zmusili ją do aborcji. Proszę pomyśleć — mieli ledwie po osiemnaście lat. Oczywiście nie było ich stać na dom, w którym mieszkaliśmy, więc twierdzili, że go wynajmują. Gdy ktoś pytał, dlaczego pobrali się tak młodo, podawali wersję prawdy i mówili, że moja matka zaszła w ciążę i byli zmuszeni wziąć ślub. Oczywiście, naprawdę tego chcieli, ale takie przedstawienie sprawy okazywało się na tyle krępujące, że ludzie przestawali zadawać osobiste pytania. Moi rodzice byli wspaniałymi gimnastykami, ale poza tym niewiele umieli, więc Departament Stanu dołożył wszelkich starań i załatwił ojcu pracę w firmie zajmującej się kształtowaniem krajobrazu. Gdy byłem mały, matka spędzała dni w domu. Wieczorami zajmował się mną ojciec, a ona w tym czasie sprzątała biura.

— Amerykańskie marzenie. I zabierali cię z sobą na treningi sztuk walki. W aktach jest napisane, że w wieku piętnastu lat zdobyłeś czarny pas.

— Zgadza się. Podobnie jak rodzice nie brałem udziału w zawodach. Nie chciałem przyciągać uwagi.

— Masz instynkt szpiega. Jak zostałeś zwerbowany?

— Departament Stanu utrzymywał kontakty w moimi rodzicami, sprawdzał, czy nie mają jakichś problemów. Najwyraźniej wywiad poznał się na moich możliwościach. I tyłem dobry w działaniu pod przykrywką i graniu narzuconej mi roli.

— Dlaczego rodzice nie powiedzieli ci tych samych kłamstw, jakie mówili wszystkim innym? Nie poznałbyś ich prawdziwej przeszłości. Nie musiałbyś grać.

— Powiedzieli, że potrzebują dodatkowej pary oczu i uszu, żeby strzec się przed zagrożeniami. Ale myślę, że mieli inny powód. Chyba potrzebowali kogoś, z kim mogliby się podzielić swoimi tajemnicami. Wiedli samotne życie. W ostatniej klasie liceum przyszedł do naszego domu oficer wywiadu i zaproponował, że pokryje wszystkie wydatki, jeśli zgodzę się wstąpić do Akademii Przemysłowej Rocky Mountain pod Fort Collins w Kolorado. To była wielka sprawa. Rodziców

nie było stać, żeby posłać mnie na studia. Obiecano mi pracę po ukończeniu nauki.

— Czy oficer werbunkowy dał do zrozumienia, że to szkoła szpiegowska i że chce, abyś został agentem wywiadu?

— Nie mógłby być bardziej bezpośredni. Zachęcał mnie, mówiąc, że mogę się przyczynić do położenia kresu uciskowi, który sprawił, że moi rodzice żyją w strachu nawet po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych.

— Doskonały argument. Jestem pod wrażeniem.

— Pierwszorzędnie znał się na swojej robocie. Zdawał sobie sprawę, że czuję się dłużny rodzicom. Ostatecznie zaryzykowali dla mnie wszystko. To był dom pełen strachu. Wyrastałem w nienawiści do Ruskich i wszelkich innych grup, które wzbudzają w ludziach strach. Werbownik miał rację, stosując takie podejście. Zapytał, czy chcę wyrównać rachunki, czy chcę polepszyć świat.

— Wstąpiłeś więc do Akademii Przemysłowej Rocky Mountain. Nauczałem tam dwadzieścia lat temu. Mam wiele wspomnień związanych z tym miejscem.

— Obiecał, że nie będę się nudził.

• • •

Chłopiec stał przy oknie w salonie, patrząc na padający śnieg. Za nim muzyka zmieniła się na Jingle Bells, ale zwykle wesoła piosenka tylko pogłębiała pustkę, jaką odczuwał. Gdy zdjął okulary i przetarł oczy, usłyszał kroki za plecami. Matka wyszła z sypialni i wracała korytarzem do pokoju. Zauważył, że wciąż przyciska zawiniątko z lodem do policzka.

Teraz miała czerwoną sukienkę z lśniącego, gładkiego materiału, długą i rozkloszowaną. Kolor podkreślał jej blond włosy i przywodził mu na myśl aniołka, który wisiał na choince.

— Wyglądasz bardzo ładnie — powiedział.

— Zawsze jesteś džentelmenem.

Kulejąc, poszedł za nią do kuchni. Podgrzali ryżowe mleko, bo chłopiec nie trawił krowiego. Wystarczyło na dwa kubki kakao. Matka dodała piankę żelową do parującego płynu.

— Słuchaj, jeszcze możemy urządzić sobie przyjęcie.

— Nie pozwolę, żeby znowu cię skrzywdził — przysięgł Cole.

— Nie martw się, nie skrzywdzi. — Ścisnęła jego rękę. — Nie będzie miał okazji. Spakujemy się i wyjedziemy. — Spojrzała na niego badawczo. — Nie masz nic przeciwko rozstaniu z ojcem?

— Nie chcę go więcej widzieć.

— Nie najlepsze Boże Narodzenie, prawda?

— A kogo obchodzi Boże Narodzenie?

— Przykro mi. — Spojrzała na stół i milczała przez kilka sekund. — Zabrał kluczyki do samochodu. Musimy iść pieszo.

— Dam radę.

— Moglibyśmy odejść zaraz, ale Canyon Road jest zamknięta, a na ulicach jest tylu ludzi, nie damy rady złapać taksówki. — Spojrzała na rozbity telefon. — I nie możemy jej wezwać. Canyon Road zostanie otwarta po dziesiątej. Wtedy wyruszymy. Znajdziemy gdzieś automat. Ale jeśli śnieg nie przestanie padać, mnóstwo ludzi będzie wzywać taksówki. Może trzeba będzie długo czekać. Ponieważ jest Wigilia, hotele są pełne. Nie wiem, gdzie się zatrzymamy. — Starła się nie patrzeć na jego krótszą prawą nogę. — Cole, jesteś pewien, że dasz radę długo iść?

— Nie będę nas spowalniać, obiecuję.

— Wiem. Matka nie mogłaby marzyć o silniejszym synu.

• • •

Teraz to wszystko ma sens, pomyślał Andriej, posuwając się w tłumie; tylko osiem osób dzieliło go

od celu.

Celnicy znaleźli szmuglowane przez doki Newark zamaskowane pojemniki z wyrzutniami rakietowymi z ery sowieckiej. Pewnej bezksiężycowej nocy straż wybrzeża przechwyciła gości z Bliskiego Wschodu, zanim zdążyli wylądować na Long Island.

Większość operacji przebiegła zgodnie z planem. Porażki nie miały żadnego schematu. A Piotr z takim zacięciem podchodził do każdego zadania, robiąc wszystko, co mu kazano — nieważnie jak brutalnie — że nikt go nie podejrzewał.

Na pewno nie ja, pomyślał Andriej.

Choć miał ocieplane buty na grubych podeszwach, czuł wsączające się w nie zimno. Ale ta niewygodność była niczym w porównaniu z przenikliwym bólem, który doskwierał mu w podłej jakości obuwiu, jakie nosił w czasie zimowych marszów w rosyjskiej armii. Naszą jednostką był Specnaz! — pomyślał z dumą i goryczą.

Padający śnieg gęstniał.

Kolędnicy śpiewali:

— Daleko w żłóbku...

Skup się, powiedział sobie Andriej. Upprzedmiotowanie. I b nie jest Piotr. To nie jest człowiek, który zdradził moją przyjaźń, którego pragnę jak najszybciej ukarać. To po prostu cel, który trzeba wyeliminować.

Podchodząc bliżej, przygotował się do wyciągnięcia dwudziestkidwójki z tłumikiem spod kurtki narciarskiej. Pistolet miał trzymać opuszczony przy boku, gdzie najprawdopodobniej nikt go nie zauważy. Gdy tylko znajdzie się dość blisko, podniesie rękę i przyłoży lufę z tłumikiem za prawym uchem Piotra. Strzał z broni małego kalibru będzie przytłumiony, zabrzmiał jak trzask polana w ognisku przy chodniku. Nie zareagują nawet ludzie znajdujący się w pobliżu. Pocisk grzybujący rozpląszczy się w czaszce Piotra i rozpadnie na kawałki.

Gdy Piotr upadnie, Andriej uda, że próbuje mu pomóc, ale w rzeczywistości wyciągnie dziecko spod skafandra. Jego dwaj koledzy zatrzymają każdego, kto spróbuje się wtrącić. Andriej szybko wezwie transport i jedną z nielicznych bocznych ulic dotrze do obszaru, gdzie nie obowiązuje zakaz ruchu kołowego. Kierowca furgonetki pojedzie we wskazane miejsce i zabierze go razem z paczką.

Mając wyostrzone zmysły, Andriej śledził cel, który dotarł do skrzyżowania. Następna przecznica była daleko z przodu.

Mimo zawężonego pola widzenia dostrzegł po lewej stronie najbardziej wymyślne dekoracje na Canyon Road. Tuziny wysokich drzew były obwieszane świecidełkami i latarniami, na wiecznie zielonych krzewach mrukały sznury żarówek, które tworzyły zarysy wielkich cukrowych lasek, świec i żołnierzyków z Dziadka do orzechów.

— Wygląda jak kartka świąteczna — powiedziała i z zachwytem kobieta w tłumie.

— Dawniej należał do Glenny Goodacre — wyjaśniła druga. — Zaprojektowała pomnik Kobiet Wietnamskich

w Waszyngtonie i dolarówkę z portretem Indianki, która pomagała Lewisowi i Clarkowi.

— Jej córka pracowała jako modelka dla Victoria's Secret, prawda? Wyszła za Harry'ego Connicka Juniora.

Tylko pięć osób oddzielało Andrieja od celu.

Teraz, pomyślał, póki ludzie skupiają uwagę na dekoracjach.

Nagle nadszedł brodaty mężczyzna z dwoma owczarkami niemieckimi. Jakiś chłopiec wyciągnął rękę, żeby pogłaskać psa, a ten kłapnął zębami. Matka chłopca wrzasnęła. Ojciec krzyknął.

Ludzie zatrzymali się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ci z tyłu natarli na Andrieja, przyciągnięci zamieszaniem. Nagle tłum przemienił się w ludzki mur.

Klnąc, Andriej przepchał się i wszedł prosto w kłęby dymu z ogniska. Widział tylko niewyraźne sylwetki.

Piotr! Gdzie jesteś, do licha?

•••

Kagan tego nie zaplanował.

Czuł, jak dziecko rusza się pod skafandrem. Adrenalina zaszumiła mu w żyłach. Usłyszał zamieszanie za plecami, warczenie psa, wrzask kobiety, krzyk mężczyzny.

Dziecko znów kopnęło. Mocniej. Czując, że śmierć depcze mu po piętach, Kagan pod wpływem silnego impulsu ruszył biegiem przez tłum.

— Kolego, patrz, gdzie idziesz! — ryknął jakiś mężczyzna.

Dym z ogniska utworzył gęstą mgłę. Kagan wbiegł w nią, rozpychając ludzi. Skręcił w wąskie przejście po prawej stronie, próbując się ukryć pomiędzy galeriami.

Z bocznych drzwi wyszła roześmiana kobieta z drinkiem w ręce. Szeroko otworzyła oczy na widok pędzącego ku niej Kagana. Głośno wciągnęła powietrze, rozlała koktajl i wskoczyła do galerii, o włos unikając zderzenia.

Kagan wpadł na podwórze i wystraszył parę, która trzymała się za ręce i podziwiała renifery Świętego Mikołaja. Dekorację otaczały mrugające światełka. Zaskoczona nagłym pojawieniem się Kagana kobieta odskoczyła i niemal wpadła na sanie.

— Hej! — krzyknął mężczyzna. — Uważaj!

Kagan zauważył wąską uliczkę na tyłach galerii. Gdy nią pędził, padający śnieg stał się zimniejszy i bardziej gęsty. Tutaj, daleko od Canyon Road, uświadomił sobie, jak hałaśliwa była tamta ulica — gwar niezliczonych rozmów, śpiewy, śmiech, trzask płomieni. W tej mniej uczęszczanej okolicy panowała cisza. Za nim światła galerii i dekoracji przygasły do nikłego blasku.

Przez cały czas trzymał dziecko pod skafandrem. Na prawo od niego z lampy nad garażem sączyło się mętne światło. Zobaczył, że inni ludzie szli tą samą drogą, tratując śnieg. Dobrze, pomyślał. Jedna para śladów stóp przyciągnęłaby uwagę, zwłaszcza gdyby wskazywały na pośpiech.

Zobaczył szopę i przez chwilę go kusilo, żeby się za nią schować i urządzić zasadzkę na myśliwych. Ale istniało zbyt wielkie ryzyko, że nie zobaczy ich w porę, by zareagować. Atakowanie celu, gdy wybucha strzelanina, jest dość trudne za dnia, a co dopiero w nocy w padającym śniegu. Poza tym jak celnie mógłby strzelać? Nie chcąc upuścić dziecka, musiałby strzelać, trzymając broń w jednej ręce. Drżał z zimna, więc tym łatwiej o spudłowanie. Ponadto musiał się liczyć z tym, że celów będzie kilka.

Tak, mam mnóstwo powodów, żeby się nie zatrzymywać, zdecydował.

Po lewej stronie zobaczył przejście pomiędzy niskimi budynkami. Skręcił, czując kolejne kopnięcie dziecka. Ale szybko natknął się na drewnianą ścianę.

Obmacawszy ją gorączkowo, znalazł lukę na tyle szeroką, że mógł się przecisnąć. Przeczolgując się, trafił kolanem na twardy skraj deski pod śniegiem. Gdy tylko znalazł się bezpiecznie po drugiej stronie, podniósł deskę i zasłonił dziurę.

Trafił na podwórko przedziwnie oświetlone przez otaczające je światła miasta. Przyjrzał się niskim murom z cegły. W ledwo widocznych domach paliły się lampy. Na krzewach wisiały świąteczne światełka. W padającym śniegu noc wydawała się niebieska. W odbitym blasku Kagan dostrzegł ślady wychodzące z niektórych domów.

Szedł dalej. Dotarł do uliczki i znów musiał wybrać drogę. Miał wrażenie, że wędruje w labiryncie. Dziecko musiało wyczuć jego niepokój. Poczł kolejne kopnięcie, gdy spojrział w prawo, i ruszył w tym kierunku.

Po obu stronach uliczki niewyraźne dekoracje jarzyły się za ogrodzeniami z gałęzi przymocowanych drutem do poziomych drągów. Z gazety Santa Fe wiedział, że miejscowi nazywają je płotami kojotów. W dawnych czasach ich celem rzeczywiście była obrona przed kojotami, które nawet dziś często widywano na peryferiach miasta.

Kagan pomyślał o drapieźnikach. O myśliwych.

Powstrzymanie tych szczególnych myśliwych będzie

wymagało czegoś więcej niż płotu.

•••

— Paul, co wiesz o Brighton Beach?

— To przy Coney Island, w Brooklynie, sir. Amerykański dom mafii rosyjskiej.

— Zgadza się. W tysiąc dziewięćset siedemnastym przyjechało tutaj wielu Rosjan, uciekając przed rewolucją. W latach dziewięćdziesiątych, po rozpadzie Związku Radzieckiego, przybyło ich tylu, że zaczęli nazywać Brighton Beach Małą Odessą. Wielu było gangsterami, którzy kiedyś służyli w KGB albo radzieckim wojsku, gdzie nabyli umiejętności, które czyniły ich wyjątkowo niebezpiecznymi.

Możliwe jest idealizowanie włoskich gangsterów do tego stopnia, że wyobrażamy ich sobie jako Marlona Brando i Alę Pacino z Ojca chrzestnego. Ale rosyjscy gangsterzy tworzą odrębną kategorię. Słowo „socjopaci” w ich przypadku jest eufemizmem. Nie mają skrupułów, wstydu, kodeksu honorowego. Dla pieniędzy zrobią wszystko. Nie ma linii, jakiej by nie przekroczyli, i nie nają granic brutalności.

Włoski gangster może nagle poczuć się patriotą i odmówić, powiedzmy, bliskowschodnim terrorystom, którzy oferują zapłatę za wyrzutnie rakietowe czy brudną bombę. Ale rosyjscy gangsterzy wezmą pieniądze, wykonają robotę i po prostu znikną, gdy zaczną się eksplozje.

•••

- Cole, stań przy oknie — poleciła matka chłopca. — Patrz, czy ojciec wraca.

Chłopiec posłusznie wpatrywał się w półmrok. W blasku świątecznych świateł nad drzwiami widział, że uliczka jest pusta. Słyszał, jak matka wyciąga walizki spod łóżka w sypialni, otwiera szuflady i wyjmuje ubrania.

Przysunął okulary bliżej oczu, starając się skupić wzrok. Napięcie przyprawiało go o mdłości. Nawet jeśli zobaczę, że ojciec wraca, co to da? — zastanawiał się. Mógłby krzyknąć, żeby ostrzec matkę. I co z tego? Drzwi są zamknięte, ale ojciec ma klucz. Nie zdołają go powstrzymać od wejścia do domu. Jak się zachowa, gdy zobaczy walizki pełne ubrań?

Nie pozwolę, żeby znów ją uderzył! — pomyślał Cole.

Pokuśtykał do drzwi pokoju i wyszedł na korytarz. Na końcu zerknął do sypialni, gdzie matka pochylała się nad łóżkiem. Była zbyt zajęta pakowaniem, żeby go zauważyć. Skręcił w prawo, do swojego pokoju, sięgnął za drzwi i chwycił kij baseballowy, który ojciec dał mu na urodziny we wrześniu. Prezent nie miał dla niego znaczenia. Ostatnio ojciec rzadko znajdował czas, żeby z nim grać.

Po cichu wrócił do salonu, otworzył szafę przy drzwiach i wyjął kurtkę, niechcący uderzając jej suwakiem w bok szafy. Rozległ się cichy brzęk

— Cole?

Palce chłopca zacisnęły się na kurtce.

— Tak, mam?

— Walizki spakowane. Jestem bardziej zmęczona, niż myślałam. Nie wyjdziemy wcześniej niż za godzinę, dopóki nie otworzą Canyon Road. Chyba się położę.

— Dobrze się czujesz?

— Muszę trochę odpocząć. Daj mi znać, gdy będzie dziesiąta, albo jak zobaczysz, że wraca.

Cole mocniej ścisnął kij.

— Nie martw się, mam. Jestem tutaj.

•••

Andriej, wściekły, rzucił się w dym, który wydzielał tłumiony przez śnieg ogień. Ludzie gapili się na zamieszanie za jego plecami. Teraz warczał też drugi owczarek, chłopiec płakał, rodzice i właściciel psa kłócili się głośno.

Andriej przebił się przez mur gapiów. Przestał udawać, że rozmawia przez komórkę. Może ludzie będą się zastanawiać, dlaczego mówi do siebie, ale przyciągnięcie uwagi już nie miało znaczenia.

- Cel zniknął! — krzyknął do mikrofonu ukrytego pod suwakiem kurtki.

- Zniknął?! — ryknął w słuchawce głos z silnym obcym akcentem.

- Tłum go zasłonił! Wymknął się! — Andriej wpatrywał się przed siebie, ale nie widział żadnego zamieszania, nikt się nie rozpychał ani nie biegł.

Piotrze, gdzie się podziałeś? — pomyślał gorączkowo.

- Paczka! — wrzasnął pachan. — Wszystko zależy od jej odzyskania! To twoja wina! Poręczyłeś za niego! Zapewniałeś mnie, że mogę mu ufać! Ty chujes, przynieś, co ukradł!

Andriej się najeżył. Nikt nie miał prawa go obrażać. Od najwcześniejszych lat na ulicach Groźnego uczył się, że nie należy tolerować braku szacunku. Gdyby w ten sposób nazwał go ktoś inny...

oddychając szybko, zlustrował budynki po lewej stronie Canyon Road. Tworzyły jednolity mur. Ale po prawej pomiędzy kilkoma galeriami otwierały się przejścia. To I tyła jedyna trasa ucieczki. Jego koledzy biegli za nim.

- Tam! — ryknął Andriej, zbyt przejęty, żeby pamiętać nadane im kryptonimy. — Michaił, weź pierwsze przejście! Jaków, drugie! Ja wezmę trzecie!

Pędzili, nie zwracając uwagi na trwożne spojrzenia, lakimi obrzucali ich przechodnie.

Andriej biegł trzecią uliczką w padającym śniegu. Świąteczne lampki mrugały w oknie galerii. Gdy mijął otwarte boczne drzwi, usłyszał, jak jakaś kobieta się skarży:

— ...omal mnie nie przewrócił! Co się dzieje z tymi ludźmi? To noc, w którą wszyscy powinniśmy zwolnić. Jest Wigilia, na miłość boską.

Andriej wbiegł na podwórko, gdzie mężczyzna i kobieta stali przed migoczącym Świętym Mikołajem na saniach. Wyglądali na rozszłoszczonych jego nagłym przybyciem, jakby nie po raz pierwszy ktoś ich wystraszył tej nocy.

— Jestem z policji! Czy przebiegał tędy mężczyzna?

— Tam! — Kobieta wskazała uliczkę. — Śmiertelnie nas wystraszył.

Andriej pospieszył uliczką. Usłyszał za plecami stłumione kroki. Michaił i Jaków dołączali do niego.

— Tamte są ślepe — zameldował Michaił.

Rozejrzeli się po uliczce. Panował tu niewielki ruch, bo większość ludzi wolała atrakcje na Canyon Road.

Rozdzielili się, posłuszni nakazom wojskowego szkolenia. Andriej zajął pozycję w środku i zastąpił berettę potężnym glockiem kalibru dziesięć milimetrów. Szedł powoli, ostrożnie, wyważając wzrok, żeby widzieć jak najlepiej w mgle tworzonej przez padający śnieg.

— Za wiele śladów. Nie wiemy, które są jego — powiedział cicho Jaków.

— Przynajmniej na razie — mruknął Andriej, szukając krwi na śniegu.

— Może chce nas wciągnąć w pułapkę — zasugerował Michaił.

— Wtedy będzie nasz — odparł Andriej. — Jesteśmy rozproszeni, nie załatwi nas wszystkich, zdążymy odpowiedzieć ogniem. Ale nie musimy się przejmować zasadzką. Nie wystawi dziecka na niebezpieczeństwo, me wtedy gdy ma jeszcze siły, żeby próbować się stąd wydostać.

Andriej przypominał sobie, czego nauczył go pewien żołnierz — jeden z licznych facetów matki — gdy wybrali się na wyprawę myśliwską. Żołnierz miał nadzieję, że w ten sposób zrobi wrażenie na matce. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym jego jednostka była jedną z pierwszych, które zostały wysłane do Afganistanu i Andriej więcej go nie zobaczył. Ale ponieważ mieszkał z matką w pobliżu radzieckiej bazy wojskowej, znaleźli się liczni następcy i byli jedynymi ojcami, jakich znał.

Andriej nigdy nie zapomniał tej szczególnej wyprawy, żołnierz nauczył go czegoś, co okazało się

lekcją życia. Kanne zwierzę ucieka, dopóki słabość nie zbije go z nóg. Walczy tylko wtedy, gdy jest osaczone.

•••

Kagan brnął uliczkami, które coraz bardziej przypominały labirynt. Stłumiony szmer padającego śniegu sprawiał, że miał wrażenie, jakby coś było nie w porządku z jego słuchem, jakby został uwięziony w śnieżnej kuli. Ponieważ wciąż nie chciał wciągać kaptura, żeby nie ograniczać pola widzenia, śnieg zbierał mu się na włosach.

Strzepywał go od czasu do czasu. Mimo to czuł, jak marznie mu głowa.

Przed nim ślady stóp stawały się mniej liczne, skręcały do przytulnych domów za ogrodzeniami i murami. Niebawem zostaną tylko jego tropy. Modlił się, żeby śnieg je przysypał, zanim myśliwi odgadną, w którą poszedł stronę.

Gdy dziecko poruszyło się pod skafandrem, zadrżał i pomyślał: Ryzykuję dla ciebie życie. Mógłbym odejść i zniknąć. Bóg świadkiem, byłem gotów. Wniknąłem głębiej, niż ktokolwiek może sobie wyobrazić. Znalazłem takie zagrożenia terrorystyczne, w jakie nikt by nie uwierzył. Ale dla zachowania przykrywki robiłem rzeczy, do jakich nikt nie powinien być zmuszany.

Pomyślał o sprzedawcy, którego uderzył pistoletem w czasie napadu na całodobowy sklep w Brooklynie. Jego celem było zademonstrowanie brutalności Andriejowi, który — jak wiedział — śledził go i obserwował z drugiej strony ulicy.

Sprzedawca spędził dwa tygodnie w szpitalu.

Pomyślał o właścicielu restauracji, któremu wyrwał przednie zęby kleszczami, gdy pachan chciał go ukarać za niespłacenie długu. Pomimo wrzasków mężczyzny Kagan usłyszał grzechot zębów, gdy rzucił je na podłogę.

Pomyślał o nogach, które złamał, o domach, które spalił, o samochodach, których hamulce uszkodził, i o kranach, które odkręcał w środku nocy, zalewając sklepy właścicieli niechętnych płaceni za ochronę. Wciąż musiał

pokazywać pachanowi, na co go stać, postępować coraz brutalniej, żeby przyjęli go do wewnętrznego kręgu, gdzie mógłby szukać powiązań pomiędzy terrorystami Bliskiego Wschodu i rosyjską mafią.

Kontrolerzy jego misji kategorycznie odmawiali, gdy mówił, że chce się wycofać. Zawsze była jakaś większa, i jakaś bardziej niebezpieczna sprawa, którą musiał dla nich rozpracować. Chyba postanowili, że już zawsze ładzie tak działał, nieważne, jak głęboko zstąpi w głąb piekła.

Dość, powiedział w duchu do dziecka. Koniec. Skończyłem z twojego powodu. Spaliłem przykrywkę, bo chciałem odejść, czy dlatego, że jesteś wart tej ceny?

Był tak bardzo znużony, że gdy malec się poruszył, niemal uwierzył, że go zapewnia, iż postąpił właściwie.

Hoże, dopomóż, mam taką nadzieję, pomyślał.

W błękitnawej mgielce padającego śniegu spojrział w dół i zauważył, że przed nim biegnie tylko jedna para odcisków stóp.

Co gorsza, zostawiła je osoba idąca w przeciwnym kierunku.

I ślady były na wpół zasypane.

Moje odkryją bez trudu, pomyślał, czując głębszy chłód.

Zachwiał się, bo nagle dostał zawrotu głowy z powodu ul raty krwi. Czując kopnięcie dziecka pod skafandrem, przytrzymał je mocno zdrową ręką i poderwał zranioną, by odzyskać równowagę. Jęknął z bólu, ale zdołał utrzymać się na nogach.

Z jego ust buchały kłęby pary, gdy oddychał szybko. Zimne górskie powietrze sprawiło, że zaschło mu w ustach. Ruszył dalej, równoległe do śladów, mając nadzieję, że będzie to wyglądało tak, jakby ktoś wybrał się podziwiać dekoracje na Canyon Road, i teraz wracał do domu. Może myśliwi uznają, że dwie pary odcisków stóp należą do jednej osoby.



Wciąż oszołomiony, dotarł do furtki po lewej stronie. Niewyraźne ślady wiodły od parterowego domu z suszonej cegły. Belki wystawały z płaskiego dachu w sposób typowy dla indiańskich pueblo. Z przodu znajdowała się weranda. Ale tutaj nie mówią „weranda”, powiedział mu pracownik hotelu. To się nazywa...

Przestań błędzić myślami! — nakazał sobie ze złością. Wrażenie uwięzienia w śnieżnej kuli narosło tak bardzo, iż zdawało mu się, że reszta miasta przestała istnieć, że ten stary dom jest jedynym miejscem na świecie. Przypominał mu świąteczną pocztówkę. Na drzwiach frontowych wisiał wieniec spleciony z sosnowych gałęzi, a wyżej płonęły kolorowe światełka. Przez okno z prawej strony widać było ciemny pokój, oświetlony tylko ogniem z kominka i lampkami na choince. Z komina płynął dym o pieprzowym zapachu, jaki daje płonąca pinia.

Jedyny dom na świecie? Nie chciałbym, pomyślał.

Dziecko poruszyło się pod skafandrem. Kagan zastanowił się, czy wyczuło jego wyczerpanie, czy wie, że on niebawem zupełnie opadnie z sił i że ten dom jest ich jedyną szansą. Podszedł bliżej do płotu kojotów z umocowanych pionowo gałęzi cedru. Wytężył wzrok, żeby zobaczyć, czy w cieniach za głównym oknem coś się porusza.

Po lewej stronie światło paliło się w drugim oknie, mniejszym. Kagan zobaczył zarys szafek i doszedł do wniosku, że to kuchnia, ale wciąż nie widział mieszkańców. Dom wyglądał na pusty.

Może ślady należą do kogoś, kto mieszka tu sam, pomyślał. Może mieszkaniec poszedł na spacer i zostawił zapalone światło w kuchni, by wyglądało, że ktoś jest w domu.

Ale zmarszczył brwi, bo opadły go złe przecucia. Czy kłóś, wychodząc, zostawiłby ogień na kominku? Ja bym tego nie zrobił, zdecydował. Nie, nie mogę założyć, że w domu nikogo nie ma.

Zmęczony spojrzał dalej w lewo, gdzie zobaczył przysłoniętą śniegiem szopę i garaż. Mogę spróbować tam się ukryć, pomyślał. Może będzie wyglądało tak, jakby ślady zostawił ktoś, kto wrócił do domu bocznymi drzwiami.

Popatrzył przez ramię, martwiąc się, że w padającym śniegu zobaczy myśliwych, uzbrojone zjawy. Zdrową ręką przytrzymał dziecko, a zranioną sięgnął do metalowej zasuwki furtki. Zagryzł wargę w daremnej próbie zapomnienia o bólu. Potem szarpnął rygiel i otworzył bramę.

•••

— Paul, spędzisz miesiąc w rosyjskim więzieniu w Omsku. To na Syberii. Oficjalne akta poświadczą, że siedziałeś tam trzynaście lat. Rosyjskie więzienia zwykle są przepelnione. Osadzeni rzadko mają okazję się poznać. Nie będzie podejrzane, jeśli ktoś zacznie dociekać, a żaden z więźniów nie będzie pamiętał, jak długo naprawdę tam przebywałeś.

Zrobimy ci na piersi rosyjskie tatuaże więzienne. Druk kolczasty z trzynastoma kolcami, bo tyle lat rzekomo spędziłeś za kratkami. Kot i pajak w sieci będą oznaczały, że jesteś złodziejem. Świeczka, że jesteś niebezpieczny, że nie boisz się zdmuchnąć czyjś światła. Przed tatuowaniem podamy ci środek rozcieńczający krew. Zwiększone krwawienie sprawi, że tatuaże będą wyglądały na stare i spłowiałe.

Mamy źródło, które opowie ci szczegółowo o Omsku z czasów, kiedy rzekomo zostałeś zgarnięty. Twoja historia brzmi następująco: jesteś urodzonym tam sierotą, dzieckiem ulicy, i wiele podróżowałeś, uciekając przed władzami, dopóki cię nie zamknęli. Trudna do obalenia. Miesiąc w więzieniu powinien wystarczyć, żebyś umiał podać szczegóły, które może znać tylko ten, kto odbywał tam karę.

Potem zaaranżujemy ucieczkę i wywieziemy cię nielegalnie z Rosji. Odbędziesz tradycyjną kryminalną pielgrzymkę do Brighton Beach, gdzie zostaniesz poddany nieuchronnym rytuałom przejścia, zanim zostaniesz zaakceptowany.

Paul, pracowałeś już pod przykrywką. Ogólne zasady pozostają niezmiennione. Największa różnica polega na tym, że tym razem będziesz robił to dłużej.

- I że ludzie, których spróbuję wykiwać, są bardziej niebezpieczni. Jak długo dokładnie

będzie trwało to udanie?

- Nie wiemy. Pogłoski, które do nas dotarły, wskazują, że mafia rosyjska i Al-Kaida szykują coś wielkiego w ciągu nadchodzącego roku. Może to bomba walizkowa, którą mafia zabrała z jednej z tych baz atomowych, niestrzeżonych po rozpadzie Związku Radzieckiego, i istnieje duże prawdopodobieństwo, że zapobiegiesz atakowi znacznie gorszemu niż ten z jedenastego września.

•••

Andriej owi zmarzła prawa ręka. Cienka skórzana rękawiczka za słabo chroniła przed kontaktem z zimną kolbą pistoletu. Wyjął lewą rękę z kieszeni kurtki, przełożył do niej glocka. Wepchnął do kieszeni prawą dłoń i pogimnastykował palce, żeby się rozgrzały.

W nikłym świetle padającym z zasnutych przez śnieg lalami szedł ze swoimi towarzyszami po śladach. Dotarli do ściany.

Andriej wskazał w prawo, w kierunku ogrodzenia i pozbawionego okien boku domu. Nic nie wskazywało, by ktoś szedł w tamtym kierunku. Obrócił się w lewo, w stronę przejścia pomiędzy dwoma rzędami niewielkich budynków. Pół tuzina tropów wiodło do wejść. Ruszył, patrząc na ślady, które stawały się coraz mniej liczne, aż została tylko jedna para.

Prawie cię mam, pomyślał.

Nagle natknął się na kolejny mur.

Co dziwne, ślady nie zawróciły. Po prostu się urwały. Andriej wlepił w nie wzrok, zaintrygowany. Podszedł bliżej. Stał przed wysokim na trzy metry płotem z desek.

Piotrze, nie mogłeś się wspiąć, nie z ranną ręką, nie z dzieckiem trzymanym pod kurtką. Więc gdzie się, do diabła, podziałeś?

Zbity z tropu, podszedł jeszcze bliżej i dotknął powierzchni. Wypuścił powietrze, gdy deska odpadła, odsłaniając lukę dość szeroką, by mógł przepelznąć przez nią człowiek.

Sprytnie. Czy czekasz po drugiej stronie, gotów nas zastrzelić, gdy tylko się pojawimy w zasięgu wzroku?

Głos pachana zabrzmiał w słuchawce pod czapką Andriej a.

— Znalazłeś paczkę? Nasi klienci będą lada chwila! Jeśli nawet oddam pieniądze, zażądają ukarania kogoś za to, że nie wywiązaliśmy się z umowy. To nie będę ja! Rzucą się na ciebie! A ja im pomogę!

Andriej kucnął, przyglądając się dziurze w płocie, i wymamrotał do mikrofonu na kurtce.

— Jesteśmy blisko — skłamał. j

— Widzisz Piotra?

— Rozmowa jest zbyt ryzykowna. Usłyszysz mnie.

— Ty gównosos, przynieś paczkę!

Andriej odebrał obelgę jak policzek.

— Nie nazywaj mnie tak.

— Będę robił, co tylko zechcę, ty nieudolny kaczok.

Andriej dokładał wszelkich starań, żeby furia go nie

/dekoncentrowała. Dysząc ciężko, patrzył na dziurę w płocie. Przesuwał się w prawo i w lewo, oglądając leżący za nią teren pod różnymi kątami. Ślady biegły prosto. Ale, jak wiedział, to niczego nie dowodziło. Piotr mógł skrócić i wrócić, by urządzić zasadzkę, gdy będą się przeczołgiwać.

Tracimy czas. Przyjacielu, nie pozwolę, żebyś pogorszył moje położenie!

Sięgnął pod kurtkę i odpiął radio od pasa. Było czarne, plastikowe, wielkości talii kart. Nastawił je na częstotliwość, jakiej używali wcześniej, i słuchał. Odgłosy mogły mu powiedzieć, co robi Piotr. Usłyszał głęboki, szybki, oddech osoby, która szybko się porusza.

A zatem nie czekasz po drugiej stronie, pomyślał Andriej. Urządziłeś to tak, żebyśmy podejrzewali pułapkę i zatrzymali się, podczas gdy ty będziesz uciekał!

Z wściekłością przecisnął się przez dziurę.

Gdy Michaił i Jaków zrobili to samo i ustawili się po bokach, Andriej zlustrował otoczenie. Po obu stronach .lały ozdobione kolorowymi lampkami domy z suszonej cegły. Pochylił się, żeby obejrzeć trop. Zauważył, że kroki są krótkie. Obok odcisków stóp widniały ślady krwi.

Piotrze, prawie cię mamy.

— Nie musi tak być, przyjacielu — powiedział do mikrofonu. — Zwróć paczkę. Wybaczmy ci.

W słuchawce w jego uchu panowała cisza.

Potem Piotr zaskoczył go, mówiąc:

— Powiedz to jeszcze raz, tym razem z przekonaniem.

— Ach — mruknął Andriej do mikrofonu, przez cały czas idąc po śladach. — Więc twoja rana nie jest na tyle poważna, żebyś nie mógł mówić. Miło cię słyszeć.

— Na pewno — powiedział Piotr, oddychając ciężko.

— Mówiłem poważnie. Oddaj, co ukradłeś. Udam, że nic się nie stało. Nawet zapewnimy ci pomoc medyczną.

— A co z Wiktorem? — zapytał Piotr. — Zabiłem go.

O tym też zapomnisz?

— Był nowy. W zasadzie go nie znałem.

— Twoja lojalność jest wzruszająca.

— Masz czelność mówić mi o lojalności?

— Pograżyłem cię w oczach pachana. Przepraszam.

— Udowodnij, że żałujesz. Oddaj paczkę.

Piotr nie odpowiedział. Andriej słyszał tylko przyspieszony oddech.

— Wiesz, że cię złapiemy.

— Próbuje.

— Posłuchaj głosu rozsądku. Tracisz siły. To może się skończyć tylko w jeden sposób.

Oszczędź sobie większego bólu. Oddaj dziecko.

— I wszystko będzie jak wcześniej?

— Pozwolę ci odejść. Masz moje słowo.

— Oczywiście. — Przyspieszony oddech wskazywał, że Piotr wciąż idzie.

— Niech to licho, dlaczego dziecko jest dla ciebie takie ważne? — zapytał Andriej. — Jeśli jesteś szpiegiem, spaliłbyś przykrywkę z takiego powodu?

— Jest Wigilia. Chyba udzielił mi się świąteczny nastrój.

— Czy sentymentalizm wart jest twojego życia?

— A polowanie na mnie warte twojego?

— Zawsze podobało mi się twoje podejście, ale biorąc pod uwagę, jak mówisz, wątpię, czy to będzie równa walka.

Nagle Andriej doszedł do uliczki, gdzie ślady Piotra dołączyły do wielu innych.

— Ktoś nadchodzi — ostrzegł Jaków.

Po prawej stronie dwie pary wyłoniły się z sypiącego śniegu. Andriej i jego towarzysze schowali broń pod kurtki.

— Nie, mylisz się. Najzabawniejszy film o świętach jest z Chevym Chase'em — powiedział jeden ze zbliżających się mężczyzn do swoich towarzyszy. — Witaj, Święty Mikołaju.

— To ten, w którym Chevy przynosi do domu choinkę z wiewiórką?

— Tak, a jego pies wypija wodę z naczynia, w którym słoje drzewko. Choinka robi się taka sucha, że staje w płomieniach.

— I wiewiórka ginie? — wtrąciła kobieta. — Myślicie, że to takie zabawne?

— Nie, skacze Chevy'emu na plecy — odparł drugi mężczyzna. — Tak naprawdę to tylko tandetna wypchana wiewiórka, którą rekwizytor przyszył mu do koszuli, ale rodzina ucieka z dzikim wrzaskiem. Chevy też wrzeszczy i ucieka, nieświadom, że ma wiewiórkę na plecach. I...

Głosy przycichły, gdy pary oddaliły się uliczką. Niedługo później ich sylwetki znikły w padającym śniegu.

Andriej i jego towarzysze wyjęli pistolety.

— Piotrze? — powiedział Andriej do mikrofonu.

Słyszał tylko ciężki oddech.

— Możemy rozwiązać ten problem — zapewnił. — Musisz tylko być rozsądny.

Piotr milczał.

— Bardzo dobrze. Niedługo się zobaczymy, przyjacielu — obiecał Andriej.

Przełączył radio na obecnie używaną częstotliwość, schował je pod kurtkę i przypiął do pasa.

Michaił wskazał na ziemię.

— Musimy się pospieszyć. Wszystkie ślady szybko znikną pod śniegiem.

Andriej spojrział w lewo, gdzie nowa uliczka wiodła z powrotem ku Canyon Road.

— Może wtopił się w tłum — rzekł Jaków.

— Niewykluczone — odparł Andriej. — Ale wie, że traci coraz więcej krwi. Może się boi, że ktoś to zauważy

i wywoła zamieszanie, a wtedy się zainteresujemy, dokąd poszedł. Czy zaryzykuje przyciągnięcie naszej uwagi, zamiast próbować zapaść się pod ziemię?

Rozważając możliwości, Andriej zerknął w prawo, w przeciwną stronę niż Canyon Road. Tutaj było mniej łądów.

- Idźcie w lewo. Sprawdźcie w tłumie — polecił

Michaiłowi i Jakowowi. — Ja pójdę tędy.

•••

Kagan przeszedł przez otwartą furtkę i przyjrzał się terenowi przed domem. W gęsto padającym śniegu zobaczył zarys ławki i zimozielonych krzewów. Na lewo rosły dwa drzewa liściaste. Ich białe pnie zlewały się - wirującymi płatkami. Spojrział na główne okno, ale nie dostrzegł ruchu, tylko miganie ognia w kominku.

Nagle wszystko zatańczyło mu przed oczami, jakby naśladując rozchwiane płomienie.

Od tego śniegu mąci mi się w oczach, pomyślał.

Nogi wydawały się zamrożone, podobnie jak tors nad i odsuniętym do połowy suwakiem. Nie zapiął kurtki, by dziecko miało czym oddychać.

Pospiesz się, pomyślał. Odwrócił się, by zamknąć furtkę. Zaciągnął metalowy rygiel, ignorując ukłucie bólu w rannej ręce. Gdy skierował uwagę z powrotem na dom, znów zawirowało mu przed oczami.

Dziecko poruszyło się pod skafandrem. Zdając sobie sprawę, że musi jak najszybciej znaleźć schronienie, zrobił jeden krok, potem drugi. Płatki padały szybciej, może niedługo zasypią ślady.

Mam spore szanse, że sztuczka się uda, pomyślał. Wyobrażał sobie emocje człowieka, z którym przed chwilą rozmawiał, któremu wmówił, że są przyjaciółmi, człowieka, który — jeśli nawet dziś poniesie porażkę — nigdy nie przestanie na niego polować.

Kagan podszedł bliżej domu, a wówczas na widok czegoś, co zobaczył w śniegu na lewo od drzwi, poważnie się zmartwił, że wzrok zupełnie go zawodzi.

Był pewien, że widzi roślinę. Miała gęste ciemne liście. Zauważył ją dlatego, że kontrastowała ze śniegiem. Ale to wydawało się niemożliwe. Jak mogła kwitnąć w takiej pogodzie? Miała kwiaty, pół tuzina dużych białych kwiatów, równie trudnych do dostrzeżenia w śniegu jak jasne pnie osik.

A jednak był pewien, że widzi plamy kwiatów.

Kwiaty w zimie? Halucynacje, pomyślał. Jakiś miraż śnieżny.

A może utrata krwi sprawia, że mam przywidzenia.

Niepewnie ruszył po na wpół zasypanych śladach w stronę bocznej ściany domu. Idź, pomyślał.

Jestem prawie u celu. Jeśli zdołam wejść do szopy albo garażu, przez chwilę odpocznę. Złapię

oddech. Spróbuję powstrzymać krwawienie.

Stawiał jedną stopę przed drugą.

Może znajdę tam plandekę albo stary koc, pod który będę mógł wpełznąć. Spróbuję się rozgrzać. Spróbuję ogrzać nas oboje, obiecał dziecku. Nigdy dotąd nie czuł się za nikogo tak bardzo odpowiedzialny. Może będę mógł cię owinąć i położyć gdzieś w bezpiecznym kącie. Ib da mi szansę na podjęcie próby obrony.

Ale cokolwiek zrobisz, poprosił w duchu, nie płacz. Na pewno jesteś głodny. Znajdę ci coś do jedzenia. Nie wiem jak, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. Tylko nie płacz, proszę. Dotąd byłeś grzeczny. Cudowny. Jest tylko (eden sposób, żebyś mógł mieć lepiej. Na miłość boską, błagam, nie płacz.

Dygotał gwałtownie, strzepując śnieg z głowy. Dotarł do bocznej ściany. Z dala od świątecznych świateł, które wisiały nad drzwiami od frontu, i lampy palącej się w kuchni, przystanął w cieniu, żeby zawodne oczy przystosowały się do ciemności. W szmerze padającego śniegu wszystko wydawało się bliższe, jakby skupione wokół niego.

Nagły ruch rozproszył to złudzenie. Ktoś się na niego rzucił. Kagan był absolutnie pewien, że wskutek szoku pourazowego doznaje halucynacji — ponieważ napastnikiem był chłopiec, może dwunastoletni, uzbrojony w kij baseballowy. Już brał zamach, a wyraz jego twarzy mógł budzić trwogę, choć Kagan widział go tylko przez i chwilę.

Zobaczył wszystko podwójnie. Kolana się pod nim ugięły.

Przewrócił się, zanim chłopiec zdążył go uderzyć. osłabiony, czując, jak oczy odwracają się w głąb czaszki, a umysł dryfuje, zrobił wszystko, co możliwe, żeby paść na bok i nie zmiażdżyć dziecka.

Nie płacz, błagał w duchu. Cokolwiek się stanie, nie płacz.

Ale teraz dziecko zapłakało. Przestraszone wstrząsem, gdy Kagan upadł, zakwiliło pod skafandrem. Zawodziło coraz głośniejsze, robiąc przerwy tylko na zaczerpnięcie oddechu. Potem znów rozbrzmiewał krzyk bezradności i strachu, bólu, głodu, wszystkich smutków i całej rozpaczny świata.

•••

— Paul, nie powinieneś ryzykować. Dlaczego zadzwoniłeś? Miałeś korzystać z martwej skrzynki. Co to za nagły wypadek?

— Musicie mnie wyciągnąć. Mówiłeś, że to nie będzie trwało tak długo. Dzisiaj wieczorem...

— Ledwo cię słyszę.

— Dzisiaj wieczorem, żeby dowieść, że jestem częścią zespołu, muszę...

— Wciąż cię nie słyszę. Musisz się rozłączyć. Narażasz misję.

— Jeśli mnie nie odwołasz, odejdę.

— Nie. Wzbudzisz podejrzenia. Nigdy nie zdołamy umieścić wśród nich nikogo innego. Daj nam czas, żebyśmy mogli wymyślić wiarygodną przyczynę twojego zniknięcia.

— Szybko. Wymyślcie coś szybko.

— Najszybciej, jak tylko możliwe. Dowiedz się jak najwięcej. Krążą pogłoski o plastycznych materiałach wybuchowych szmuglowanych przez doki Jersey. To terytorium Odessy. Jeśli jest przemycany semtex, to zamieszani są Rosjanie.

— Zabierz mnie do domu. Na miłość boską, zabierz mnie do domu.

**CZEŚĆ DRUGA**

**RÓŻA**

## BOŻEGO NARODZENIA

Kagan usłyszał cichy śpiew chóru: Cicha noc, święta noc... Po chwili oszołomienia zrozumiał, że łagodna melodia płynie z radia albo odtwarzacza CD, ale nie w pokoju, gdzie leżał na plecach na podłodze.

Pochylała się nad nim kobieta, a obok niej stał chłopiec, który omal go nie uderzył kijem baseballowym. Kagana bolały oczy od blasku lampy pod sufitem. Rozglądając się w panice, zobaczył błysk nierdzewnej stali. Kuchenka. I lodówka.

Jestem w kuchni, uświadomił sobie. Spróbował się podnieść, ale stracił siły i opadł na podłogę, która wydawała się ceglana.

— Jest pan ranny — powiedziała kobieta. — Proszę się nie ruszać.

— Dziecko — szepnął niespokojnie.

Choć wciąż był otumaniony, zatrwożyło go brzmienie

własnego głosu. Prawie od roku tak często mówił po rosyjsku, że jego angielski nabrał obcego akcentu. Martwił się, że to będzie kolejna rzecz, która zaniepokoi kobietę.

— Tutaj. Mam je w ramionach — odparła.

Wciąż było owinięte w błękitny kocyk. Kaganowi przejaśniało w oczach i zobaczył, że kobieta opiekuńczo przytula dziecko do piersi.

Światło lampy padało z góry na jej długie jasne włosy, więc z miejsca, gdzie leżał, jakby aureola otaczała jej twarz. Miała trzydzieści parę lat. Trochę niezdrowo chuda, zauważył, desperacko zbierając myśli. Jego życie zależało od tego, czego zdoła dowiedzieć się o niej w ciągu kilku następnych minut. Miała na sobie płomiennie czerwoną atlasową suknię, jak na przyjęcie, choć przekrzywione ramiona wskazywały, że włożyła ją w pośpiechu. I coś było nie w porządku z twarzą, którą stale odwracała w lewo.

Patrzyła na szkarłatną plamę na lewym rękawie jego skafandra.

— Dlaczego pan krwawi? — zapytała. Troska zmarszczyła jej czoło. — Czemu niósł pan dziecko pod kurtką? Miał pan wypadek?

— Proszę zgasić światła.

— Co?

Kagan starał się mówić bez rosyjskiego akcentu.

— Światła. Proszę...

— Rażą pana?

— Zadzwoń na policję — wykrztusił.

— Tak. Potrzebna panu karetka. — Trzymając dziecko, kobieta wciąż odwracała twarz, czegoś się wstydząc.

Co jest nie w porządku z jej policzkiem? — zastanawiał się Kagan.

— Nie mogę zadzwonić po pomoc — powiedziała. — Przykro mi. Telefony nie działają.

Podczas gdy Kagan porządkował myśli, topiący się śnieg spływał z jego włosów. Zdał sobie sprawę, że suwak skafandra jest rozsunięty prawie do końca. Ubranie miał mokre od potu. Ciepło płynęło z cegieł. Myślał, że majaczy, dopóki nie przypomniał sobie, jak boy hotelowy mówił mu o ogrzewaniu podłogowym.

— Nie działają? — Wziął głębszy oddech. — Śnieg przerwał linie telefoniczne?

— Nie. Nie chodzi o linie. Telefony są... — Kobieta odwróciła twarz i nie dokończyła zdania.

— Rozwalone — powiedział chłopiec z goryczą i napięciem w głosie. Był drobnej budowy, wydawał się niemal kruchy, ale to go nie powstrzymało od atakowania Kagana kijem baseballowym. Około dwunastoletni, miał okulary i zmierzwione włosy, jasne jak matka. Rozmowa o telefonach sprawiła, że policzki mu poczerwieniały.

Kij baseballowy, pomyślał nagle Kagan. Czy wciąż go trzyma? Z ulgą zobaczył, że chłopiec odstawił kij pod szafkę. Nie miał pojęcia, dlaczego chłopiec go zaatakował, ale nie było czasu na pytania.

Oszołomiony znów spróbował się podnieść. Przypomniał sobie o mikrofonie na kurtce. Kobieta albo chłopiec mogli powiedzieć coś, co zdradzi Andriejowi jego kryjówkę. Udając, że pociera obolały mięsień, sięgnął pod skafander i wyłączył nadajnik. Od chwili gdy zabrał dziecko, po raz pierwszy miał wolne ręce, żeby to zrobić.

Po lewej stronie zobaczył niewielkie okno nad zlewem.

— Proszę. — Udało mu się zneutralizować obcy akcent i teraz mówił bardziej po amerykańsku. — Niech pani zasłoni okno. Zgasi światło.

Dziecko wierciło się w ramionach kobiety, fikało i znowu płakało.

— Zrób to — ponaglił. — Zgasa światła.

Kobieta i chłopiec cofnęli się, najwyraźniej przekonani, że ma jakieś urojenia.

— Jestem słaby, chyba widzicie, że nie stanowią dla was zagrożenia.

— Zagrożenia? — Oczy kobiety rozszerzyły się na to słowo.

— Ścigają mnie pewni ludzie.



— O czym pan mówi?

— Chcą zabrać dziecko. Musi pani zgasić wszystkie światła, żeby nie mogli nas zobaczyć.

— Jacyś ludzie chcą porwać to dziecko? — Na twarzy kobiety odmalował się szok. Mocniej przytuliła niemowlę obronnym gestem. Rękawy jej czerwonej sukni przysłoniły niebieski kocyk. Zwolnij, upomniał się Kagan. To wszystko dzieje się dla niej za szybko. Potrzebuje czasu, żeby się dostosować.

Powoli wciągnął powietrze, przytrzymał je w płucach, potem wypuścił, za każdym razem licząc do trzech, jak przed strzelaniem.

— Jak masz na imię? — zapytał, starając się nadać głosowi łagodne brzmienie.

Kobieta nie kryła zaskoczenia, nieprzygotowana na zmianę tonu. Zawahała się, wciąż odwracając głowę w lewo. Dziecko kwiliło w jej ramionach, pomarszczona twarzyczka zdawała się nakłaniać ją do odpowiedzi.

— Meredith — odparła wreszcie.

Dzięki Bogu, pomyślał Kagan. Coś mi dała. Zauważył nocną lampkę obok kuchenki.

— Jeśli boisz się przebywać ze mną w ciemności, zapal tamtą lampkę. Blask nie powinien przyciągnąć uwagi z ulicy. Tylko jasne światła są powodem do zmartwień. Obiecuję, gdy to zrobisz, wyjaśnię, jak zostałem ranny i dlaczego mam dziecko.

Meredith nie zareagowała.

— Posłuchaj mnie. — Kagan mówił z trudem. — Nie chciałem sprawić ci kłopotów. Zamierzałem ukryć się w szopie albo garażu. Wyszło inaczej. Przepraszam, że cię w to wciągnąłem, ale teraz nie można nic zmienić. ci ludzie zrobią wszystko, żeby dostać dziecko w swoje ręce. Musisz mi pomóc, nie mogą się dowiedzieć, że ono tu jest. W przeciwnym razie możecie wpaść w tarapaty.

Kagan był pewien, że gdyby Meredith nie trzymała dziecka, złapałaby chłopca i uciekła z domu. Ale dziecko wszystko zmieniło, jakby uniemożliwiło jej wykonanie ruchu.

— Widzisz, jestem bezradny — podjął Kagan. — Co ci szkodzi zasłonić okno nad zlewem i zapalić lampkę nocną? To może uratować dziecko.

Meredith wciąż się wahała, jej napięte rysy zdradzały konsternację.

— Może też ocalić ciebie i twojego syna — dodał Kagan z naciskiem. — Tutaj widzisz, na czym stoisz. Jest dziecko, które potrzebuje pomocy, i ranny mężczyzna. Ale nie masz pojęcia o kłopotach, które mogą nadejść z zewnątrz.

Kiedy niemowlę znów zakwiliło, Meredith z namysłem spojrzała na jego nieszczęśliwą twarzyczkę. Poglądziła ciemne, rozwichrzone włosy, potem ze ściągniętymi brwiami przeniosła wzrok na okno.

— Cole, zrób to — niechętnie poleciała chłopcu.

— Ale...

— Zrób — powtórzyła stanowczo, potem dodała łagodniej: — Proszę.

Chłopiec popatrzył na nią pytająco i ruszył w stronę okna.

— Dziękuję — powiedziała.

Cole skinął głową. Kagan nawet nie próbował ukryć ulgi.

Chłopiec utykał lekko, idąc przez kuchnię. Wyciągnął ręce nad zlewem, żeby zaciągnąć zasłony. Potem zapalił nocną lampkę, która miała dziurkowany blaszany klosz w kształcie choinki, tłumiący światło żarówki.

Patrząc, jak Cole idzie chwiejnym krokiem w kierunku łukowego przejścia łączącego kuchnię z pokojem, Kagan zrozumiał, dlaczego kuleje. Jedną nogę miał krótszą. Obcas prawego buta był dwa cale wyższy. Mimo to Kagan ponaglał go w milczeniu.

Cole pstryknął przełącznikiem na ścianie i zgasił górne światła. Poza blaskiem nocnej lampki tylko ogień na kominku i światełka choinkowe w pokoju rozpraszały mrok.

Kagan pozwolił sobie na odrobinę nadziei.

— Okay, powiedziałaś, że telefony w domu nie działają. Nie masz komórki?

— Nie — odparła Meredith z zakłopotaniem. — A ty?

Kagan pomyślał o kieszeni, która została rozdarta, gdy uciekał.

— Zgubiłem.

— On zabrał telefon mamy — powiedział Cole.

— On? — Kagan z wysiłkiem przesunął się w stronę drewnianego krzesła przy kuchennym stole.

Żadne z nich nie odpowiedziało. W innej części domu męski głos śpiewał: W żłobie leży, nie w kolebce... Kagan był zaskoczony, że dopiero po dłuższej chwili rozpoznał Binga Crosby'ego.

Cholera, skup się, pomyślał.

— Mężczyzna zabrał twoją komórkę? — Kagan uznał, że odniósł małe zwycięstwo, gdy prawą ręką dotknął krzesła.

— Obiecałeś powiedzieć, dlaczego chcą zabrać dziecko — przypomniała Meredith. — Popeliłam błąd. Nie wiem, dlaczego cię tu przywlokłam.

— Bo usłyszałaś płacz dziecka. — Kagan usiłował zebrać siły. — Bo nie mogłaś zostawić dziecka na śniegu. — Odetchnął głęboko. — Bo jesteś przyzwoitą osobą, a to jedyna noc w roku, kiedy nie można odmówić pomocy komuś, kto jest ranny.

Z trudem wciągnął się na krzesło. Jego spojrzenie powędrowało do ściennego telefonu przy lampce nocnej. Przynajmniej kiedyś był to telefon. Ktoś młotkiem roztrzaskał go na kawałki. Młotek leżał na ladzie.

— Czy zrobił to człowiek, który zabrał ci komórkę? — Kagan wskazał zniszczony aparat.

Teraz gdy siedział, miał lepszy widok na twarz Meredith. Nawet w nikłym świetle lampki dostrzegł, że policzek jest posiniaczony, a oko podbite i zamknięte. Miała krew w kąciku ust.

— Czy ten sam człowiek cię pobił?

Pytanie przepelniło go goryczą. Aby pokazać rosyjskiej mafii, na co go stać, pobił wielu ludzi. Często pachan rozkazywał mu bić kobiety w twarz, uderzać kolaniem w krocze, rzucać na podłogę, kopać po nogach i bokach, żeby zmusić ich mężów, ojców, synów i braci do zrobienia lego, czego chciał. Kontrolerzy jego misji byli zachwyceni i taktyka ta zapewniła mu dostęp do wewnętrznego kręgu mafii.

Ale jego co noc dręczyły koszmary, a codziennie rano przepelniał wstyd.

Teraz wstyd powiększył wściekłość na to, co spotkało Meredith. Potężne emocje wyzwoliły adrenalinę, dodając mu energii.

— Jeśli mi nie powiesz, dlaczego ci ludzie chcą zabrać dziecko, pójdę z Cole'em po policję — zagroziła Meredith.

— Nie — zakazał kategorycznym tonem. — Nie próbuj wychodzić z domu. To niebezpieczne. Niemowlę zaczęło się wiercić w jej ramionach. Skrzywiło drobną buzię i Kagan się przestraszył, że zaraz zacznie płakać.

— Nie możemy pozwolić, żeby zaczęło hałasować, lest głodne. Musimy je nakarmić i przewinąć. Możesz to zrobić? Możesz mu pomóc? Zrób coś, byle nie płakało.

Dziecko zakwiliło, przytulając się do Meredith.

— Cole — zaczął Kagan nagłaco — pomożesz mamie i mnie? Czy w domu jest sypialnia od frontu? Czy stoi tam telewizor?

Chłopiec miał zaskoczoną minę.

— Moja.

— Idź tam i włącz telewizor. Zaciągnij zasłony, ale zostaw szczelinę, żeby przez okno było widać blask telewizora. Niech myślą, że wszystko jest normalnie.

Cole zmarszczył czoło.

— Potem idź do pokoju i wyjrzyj przez okno. Udawaj, że podziwiasz padający śnieg. Jeśli kogoś zobaczysz, nie reaguj. Rób taką minę, jakbyś czekał na Świętego Mikołaja.

— Jestem za duży, żeby wierzyć w Świętego Mikołaja.

— Oczywiście. Nie wiem, co sobie myślałem. Jasne, jesteś za duży, żeby wierzyć w Świętego

Mikołaja. Ale chodzi o to, żebyś wyprowadził w pole każdego, kto może obserwować dom. Podziwiał śnieg. Udawaj, że jesteś szpiegiem. Chciałbyś się nauczyć, jak być szpiegiem?

— Czy właśnie tym jesteś? — zapytała Meredith z nutką przerażenia.

— Tak. — Kagan zgarbił się na krześle, pokonany przez zmęczenie. — Boże, dopomóż, jestem szpiegiem.

•••

Andriej tropił ślady na uliczce, śledząc wzrokiem te, które skręcały w kierunku budynków stojących za wysokimi do piersi murkami, stanowiąc dowód, że ktoś wrócił do domu.

A może właśnie tak mam myśleć, Piotrze? Może jeden z tych tropów należy do ciebie?

Samotne ślady prowadziły do bramy po prawej stronie. Andriej spojrzął przez padający śnieg w stronę okna pokoju. Obok świątecznych świateł na kominku mężczyzna podnosił smakowity kąsek, podczas gdy dalmatyńczyk spoglądał cierpliwie i czekał na nagrodę.

Andriej przełożył glocka do prawej ręki i schował lewą do kieszeni, ogrzewając palce w cienkiej rękawiczce. Szedł wzdłuż śladów, przyglądając im się uważnie, ale już nie skupiał wzroku przed sobą jak myśliwy, który jest o krok od schwytania ofiary. Teraz miał szerokie pole widzenia, rejestrował drzewa i cienie po obu stronach, wypatrywał zasadzki. Wcześniej, gdy szedł z Michailem i Jakowem po I tokach, był pewny, że Piotr wciąż będzie uciekał.

Ale teraz, gdy tylko ja jestem celem? — zastanawiał się. Piotrze, zaryzykujesz atak na mnie, gdy zostałem sam?

Coś błysnęło. Powietrze wypełnił gryzący zapach.

Andriej odwrócił się na pięcie, niemal pociągając za spust, gdy płonący przedmiot spadł na śnieg. Natychmiast zrozumiał, że to plastikowa torba na śmieci, pełniąca funkcję balonu na rozgrzane powietrze. Wewnątrz na Krzyżaku z drewna balsa stał rząd płonących świeczek. Ciepło płomieni sprawiało, że worek unosił się w powietrzu. Ale do czasu. Świeczki zapaliły torbę. Gdy spadła na ziemię, strzeliły iskry, płomienie przygaśły, buchnął dym.

Andriej nie pozwolił, żeby rozproszył go ten surrealistyczny incydent. Odwrócił się, zlustrował wzrokiem cieniistą okolicę. Pytania kłębiły mu się w głowie.

Czy kierowanie się w tę stronę miało sens dla Piotra? Kannego? Z dzieckiem? Tutaj, z dala od tłumy, Piotr był bezradny. Jeśli zemdleje wskutek utraty krwi, oboje z dzieckiem zamarzną na śmierć.

Może się mylę, pomyślał. Może uznał, że ma większe szanse w tłumie na Canyon Road.

A może chce, żebym tak myślał.

Andriej sięgnął po radio pod kurtką i przełączył je na częstotliwość używaną przez zespół na początku misji, tę, która umożliwiła mu wcześniejszą rozmowę z Piotrem. Miał nadzieję, że brzmienie oddechu powie mu, czy Piotr wciąż jest w ruchu, czy może się zatrzymał i urządził zasadzkę.

Ale tym razem niczego nie usłyszał. Cisza w eterze.

Wyłączyłeś nadajnik, żeby odgłosy nie zdradziły, gdzie jesteś? — zastanawiał się. Cóż, niewiele ci to da. Znajdę cię, przyjacielu.

Przełączył radio na inną częstotliwość. Przez cały czas wypatrywał kryjówek po obu stronach alejki.

Z pistoletem gotowym do strzału szedł wzdłuż coraz mniej licznych śladów.

•••

— Dzięki, że zaprosiłeś mnie do domu, Andrieju. To zaszczyt jeść kolację z twoją żoną i córkami.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Piotrze. Ocaliłeś mi życie.

- Zrobiłbyś to samo dla mnie. Po to są przyjaciele, by wzajemnie strzec swoich tyłów.
- Tak. By strzec tyłów. Inni ludzie pachana uciekli. Tylko ty pomogłeś mi wydostać się z pułapki. I sukinsyn naprawdę dał ci popalić za podjęcie ryzyka. Z przyjemnością pozwoliby mi umrzeć, byleby ocalić resztę swoich ludzi.
- Niezłe życie wybraliśmy.
- Wybraliśmy, Piotrze? Naprawdę wierzysz, że dokonaliśmy wyboru?
- Jesteśmy tutaj, prawda?
- A gdzie indziej mógłbyś pójść i nie przyciągnąć uwagi? Masz fałszywe dokumenty. Myślisz, że mógłbyś zostać księgowym czy agentem nieruchomości w jakimś mieście w Omaha? Jak sądzisz, po jakim czasie agenci i rządowi zapukaliby do twoich drzwi? A wcześniej pachan wysłałby ludzi, by poderżnęli ci gardło, żebyś nie wygadał rządowi, co ci o nim wiadomo.
- Wierz mi, Andrieju, wcale się nie skarzę.
- Jasne, że nie. Czujesz, jak zimno? Spójrz na lód na plaży. Synoptyk w telewizji mówi, że spadnie następne sześć cali śniegu. Mimo to nie wiem, dlaczego ktoś miałby narzekać. Brighton Beach jest niczym w porównaniu z zimą w rosyjskim wojsku.
- Albo w więzieniu na Syberii. Może powinniśmy wrócić na deser. Twoja żona gotowa pomyśleć, że nie smakują nam jej oładki.
- Za chwilę. Najpierw omówimy interesy. Dlatego poprosiłem, żebyśmy wyszli na werandę.
- Czemu robisz taką gniewną minę, Andrieju? Coś nie w porządku? Przysięgam, że się nie skarżyłem.
- Ha, mam cię. Po prostu chciałem, żebyś się zmartwił, bo wtedy niespodzianka będzie tym lepsza. Mam dobre nowiny, przyjacielu. Dostałeś awans.
- Awans?
- Pachanowi podoba się, co o tobie mówię i co sam widzi. Podoba mu się twoje zaangażowanie w pracę. Podobają mu się wyniki. Nie rób planów na Boże Narodzenie. Ty, ja i paru innych, łącznie z pachanem, pojedziemy do Santa Fe.
- Gdzie to?
- W Nowym Meksyku.
- Na pustynię? To dobrze. Nie mam nic przeciwko ciepłym świętom picia rumu z colą przy basenie.
- To nie taka pustynia, o jakiej myślisz, Piotrze. To wysoka pustynia. Sosny. Zimno i prawdopodobnie śnieg. Niedaleko terenów narciarskich w górach Sangre de Cristo.
- Sangre de Cristo?
- Sprawdziłem nazwę w Google. Jest hiszpańska. Oznacza „Krew Chrystusa”. Najwyraźniej pierwsi badacze tej krainy uznali, że ją właśnie przypomina śnieg w czasie zachodu słońca.
- Andrieju, nie rozumiem, dlaczego pachan chce jechać na wakacje tam, gdzie jest zimno.
- Nie jedziemy na wakacje. Jedziemy po dziecko.

•••

- Szpieg? — Meredith podniosła głos. — Nie powinnam sprowadzać cię do domu. Odejdź. Wynoś się.
  - Dziecko. To dziecko potrzebuje pomocy.
  - Zrobiłam straszny błąd. Idź. Jeśli mój mąż cię zobaczy, gdy wróci...
  - Czy to on cię pobił?
- Pytanie ją zaskoczyło.  
Kagan zwrócił się do Cole'a:
- Czy to ojca chciałeś walnąć kijem baseballowym?
- W blasku lampki nocnej Cole poprawił okulary na

nosie.

— Nie chciałem go wpuścić do domu, żeby znów nie •krzywdził mamy. Śnieg oblepił mi szkła. Ledwo coś widziałem. Nie przypuszczałem, że to może być ktoś inny.

— Ale nie uderzyłeś, gdy zrozumiałeś, że to nie on.

— Gdyby to był on, użyłbym kija. Przysięgam, użyłbym.

— Wierzę. — Kagan krzepiącym gestem położył rękę na chudym ramieniu chłopca.

Dziecko zaczęło płakać, wodząc ustami po piersi Meredith.

— Proszę — powiedział do niej Kagan — zrób coś. jeśli ludzie na zewnątrz usłyszą...

— Skąd mam wiedzieć, że to nie ty jesteś niebezpieczny?

Choć skupiała uwagę na Kaganie, odruchowo kołysała niemowlę. Jej podniesiony głos sprawiał, że dziecko niespokojnie wymachiwało rączkami.

— Czy wyglądam, jakbym chciał was skrzywdzić? — Kagan czuł, jak krew ścieka z ręki na ceglana podłogę. Musiał opatrzyć ranę, zanim straci jeszcze więcej krwi, ii wraz z nią siły. — Czy wyglądam, jakbym mógł was skrzywdzić? — powtórzył.

— Tyle się wydarzyło. Mój mąż...

— Więcej cię nie uderzy — zapewnił Kagan. — Obiecuję.

To zrobiło wrażenie. Meredith zamarła. Wpatrując się w niego, już nie odwracała twarzy. Nawet w przyćmionym świetle było widać, że policzek ma bardziej fioletowy i oko bardziej zapuchnięte niż wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Rozcięcie w kąciku ust też było większe, niż się z początku wydawało. Ale mimo to uznał, że kiedyś była atrakcyjną kobietą.

Z nerwów jest taka chuda, uświadomił sobie.

— Więcej mnie nie uderzy? — spytała Meredith cicho. — Chciałabym w to wierzyć.

— Słuchaj, jest Boże Narodzenie. Życzenia się spełniają.

— Jeśli zrobisz coś Tedowi, odegra się później na mnie.

— Tak ma na imię? Ted? Nie martw się. Nie zrobię niczego, co mogłoby sprawić, że chciałby cię skrzywdzić.

— W takim razie jak go powstrzymasz?

— Hej, nie lubisz prezentów niespodzianek? Pomóż dziecku, a obiecuję, że Ted nigdy cię nie uderzy.

Kagan nie przypominał sobie, by ktoś wpatrywał się w niego bardziej intensywnie.

— Sama nie wiem czemu, ale ci wierzę — powiedziała.

Dziecko krzyknęło, kopiąc jej rękę.

Sięgnęła pod kocyk.

— Pielucha jest mokra. Ale nie mam niczego, by... Ścierka do naczyń. — Przytrzymała dziecko jedną ręką i wyjęła dwie ścierki z szuflady. — Zobaczmy, czy pamiętam, jak się to robi.

Rozłożyła ścierkę na ladzie, a z drugiej zrobiła prowizoryczną poduszkę. Ułożyła dziecko i rozpięła niebieskie śpioszki.

Kagan zobaczył, że Cole jeszcze nie spełnił jego prośby. Ponaglił go:

— Idź do sypialni, włącz telewizor. Przejdź do pokoju i stań przy oknie. Sprawdź, czy ktoś obserwuje dom. Jeśli tak, zachowuj się, jak mówiłem.

— A jeśli ktoś obserwuje dom? — zastanowił się chłopiec. Jego oczy wydawały się wielkie za szklami okularów.

— Nie będą próbowali wdrzeć się od razu. Przede wszystkim nie wiedzą na pewno, że tu jestem.

— Myśli pan, że ktoś się włamie? — Cole'owi załamał się głos.

Ruch sprawił, że Kagan odwrócił się w stronę Meredith. Gdy zdjęła śpioszki, dziecko podniosło nóżki do piersi, jakby podkreślając swoją bezbronność. Potrząsnęło rączkami i zapłakało.

— Nie włamają się, dopóki nie usłyszą płaczu — powiedział Kagan.

— Robię, co w mojej mocy — burknęła Meredith. — Przy tej lampce niewiele widzę.

— Nie, nie o to mi chodziło — rzekł szybko. — Przepraszam.

— Co? — Meredith spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Przypuszczam, że odezwałem się z dezaprobatą. Nie chciałem. Pewnie masz dość dezaprobaty. Dziecko nie może prosić o więcej, niż możesz mu dać.

Przyglądała mu się, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Potem skierowała uwagę na niespokojne niemowlę. Szarpnęła samoprzylepne paski na pieluszcze.

Cole wciąż był w kuchni.

Muszę go wciągnąć do współpracy, pomyślał Kagan.

Odpiął maleńki mikrofon spod biletów na wyciąg narciarski. Włożył go głęboko do kieszeni spodni, żeby materiał stłumił głosy. Potem wyjął radio spod kurtki i podał je chłopcu.

— Co to jest? — zapytał Cole, ciekawość w jego głosie mieszała się z podejrzliwością.

Kagan wyjął słuchawkę z ucha, wytarł ją w spodnie i podał chłopcu.

— Elementy aparatu nadawczo-odbiorczego. To słuchawka, a to radio. Z wierzchu jest włącznik. Z boku regulator głośności. Po drugiej stronie wybieranie kanałów. Grasz w gry wideo?

— Jasne. — Cole wydawał się zaskoczony pytaniem, jakby uważał, że wszyscy grają w gry wideo.

— W takim razie powinieneś być dobry w wielo-zadaniowości. Wypatrując ruchu za oknem, będziesz miał słuchawkę w uchu i słuchał, zmieniając kanały. Może znajdziesz ten, którego używają ludzie na zewnątrz. Może usłyszysz, co planują.

Cole przyjrzał się urządzeniu.

— Udawaj, że słuchasz iPod'a — podsunął Kagan.

— Dobrze. iPod'a. — Chłopiec obejrzał sprzęt i pokiwał C.łową. — Mogę to zrobić. — Zebrał się na odwagę i pokuśtykał do pokoju.

W czasie rozmowy Kagan czuł, że Meredith go obserwuje. Potem dziecko fiknęło i zdjęła pieluszkę.

— Chłopiec — mruknęła. — Ma nie więcej niż cztery, może pięć tygodni.

— Pięć. Trafna ocena — powiedział Kagan. — Gdyby zaczął jeszcze trochę, byłby prezentem pod choinkę.

Meredith wrzuciła pieluchę do kosza pod zlewem.

— Zapomniałam, jakie maleńkie są niemowlęta. Patrz. Ma znamie na lewej pięcie. Przypomina różę.

— Dziecko pokoju.

— Co?

Kagan spostrzegł się, że powiedział za dużo.

— Czy nie to zwiastują noworodki o tej porze roku? Iak mówi kolęda, „A na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Meredith znów przyjrzała mu się uważnie. Potem skierowała uwagę na dziecko.

— Nie jest Angelo.

— Angelo? — zapytał Kagan.

— Tak miejscowi nazywają białych. Ale nie wygląda leż na Latynosa ani na rdzennego Amerykanina. Ma cynamonową skórę. Wygląda...

— Bliski Wschód. — Kagan wstał i zachwiał się. 7. trudem zachowując równowagę, podszedł do zlewu i wyjrzał ostrożnie przez okno.

— Nie mam dość dużych agrafek, żeby spiąć ścierkę jak pieluchę — powiedziała Meredith.

Kagan skrzywił się i zdjął skafander, uwalniając się od ciężaru pistoletu. Gdy Meredith rozpięła suwak i wyjęła dziecko, nie rozchyliła pół. Dlatego nie poczuła, że coś ciąży w prawej kieszeni. Położył skafander na stole, uważając, żeby pistolet nie stuknął w drewno, gdyż mogłoby to wywołać pytania.

— Masz taśmę klejącą?

— Taśmę klejącą? Tak, może zastąpić agrafki. Jak na to wpadłeś?

— Taśma ma wiele zastosowań. Gdzie jest?

— W dolnej szufladzie, na lewo od zlewu. Mieliśmy przeciek w odpływie.  
Kagan otworzył szufladę i wyjął rolkę taśmy. Oderwał dwa kawałki i przycisnął je na wysokości bioder dziecka, gdzie Meredith przytrzymywała złożoną ścierkę. Potem oddarł jeszcze kilka dłuższych pasków i przykleił je do krawędzi blatu.

— Na razie nie będą mi potrzebne — powiedziała.

— Posłużą do czegoś innego.

Stanął plecami do niej, rozpiął koszulę i ściągnął ją ostrożnie. Nie chciał, żeby Meredith się wystraszyła na widok rosyjskich tatuaży więziennych na jego piersi. Drżał, choć skórę miał śliską od potu. W blasku lampki nocnej zobaczył, że kula przeszła przez mięsień lewego ramienia. Rana była opuchnięta, ale kość ani większe naczynie krwionośne nie zostały uszkodzone.

Cóż, to dobra wiadomość wśród złych wiadomości, pomyślał.

Przygotował się na to, co musiał zrobić. Dasz radę, powiedział sobie, walcząc z bólem. Stając za jego plecami Meredith dobrze widziała ranę.

— Co ci się stało?

Kagan nie odpowiedział.

— Czy...? Boże, to rana po kuli? Zostałeś postrzelony?

— Gdy ratowałem dziecko.

Próbując zapanować nad zawrotami głowy, Kagan pochylił się nad zlewem i namydlił ranę.

— Masz apteczkę? — Starał się nie krzywić, gdy /mywał krew ciepłą wodą.

Meredith nie mogła się skupić.

— Apteczkę? — Była tak poruszona, że miała kłopoty /e zrozumieniem. — Apteczkę? W następnej szufladzie od góry.

Kagan wyjął apteczkę z szuflady. Otworzył ją i z zadowoleniem zobaczył krem bakteriobójczy. Ostrożnie nacierając ranę, patrzył przez szczelinę w zasłonach nad zlewem. Śnieg wciąż sypał gęsto. Spojrzał obok dwóch drzew w kierunku płotu kojotów i uliczki. Nikogo nie dostrzegł. Może będziemy mieli szczęście, pomyślał.

Na pewno.

Zauważył suchą ścierkę przy zlewie. Zagryzając wargę, przycisnął ją do rany i paskami taśmy przykleił do skóry. Krople potu zrosiły mu twarz, gdy mocno owijał taśmę wokół ręki, tworząc opaskę uciskową. Czekał, mając nadzieję, że nie zobaczy krwi.

Malec kwilił. Kapłan spojrział przez ramię i zobaczył, że zaczyna ssać własną piąstkę.

— Co zrobimy, żeby go nakarmić? — zapytała Meredith.

— Masz mleko?

— Dzieci nie powinny pić zwyczajnego mleka.

— Światowa Organizacja Zdrowia ma przepis do stosowania w sytuacjach wyjątkowych. Trzeba rozcieńczyć wodą i dodać cukru.

— Nie mamy mleka. Cole go nie trawi. Mieliśmy mleko ryżowe, ale już je zużyliśmy.

— W takim razie rozpuść pół łyżeczki soli w pół litrze wody.

— Soli?

— Dodaj pół łyżeczki sody oczyszczonej i trzy łyżki cukru.

— Ty to wymyśliłeś?

— Klinika Mayo.

Kagan wetknął palec w dziurę po kuli w koszuli. Szarpnął, rozdzierając rękaw, by zrobić miejsce dla grubego opatrunku. Gdy włożył koszulę, powiedział:

— Podgrzewaj wodę, dopóki sól, soda i cukier się nie rozpuszczą.

— Światowa Organizacja Zdrowia? Klinika Mayo? Od kiedy szpiedzy znajdują się na karmieniu niemowląt?

— Kiedyś eskortowałem grupę lekarzy w Somalii.

Zadecydował, że odpowiedź jest dość bliska prawdy, by brzmieć wiarygodnie. W rzeczywistości

był to Afganistan, a on nie eskortował lekarzy. Jego zadanie polegało na udawaniu, że należy do zespołu medycznego, podczas gdy próbował zdobyć od afgańskich wieśniaków informacje o lokalizacji obozów szkoleniowych terrorystów. Wiedza, jak ocalić życie dziecka, niekiedy zapewniała daleko idącą współpracę.

— Dzieci głodowały — wyjaśnił. — Lekarze powiedzieli mi, co robić. Dobrze było nieść pomoc.

Jakby dla podkreślenia jego słów Meredith podniosła dziecko do piersi.

— Mieszanka nie zastąpi jedzenia. Zapewni mu elektrolity i zapobiegnie odwodnieniu — mówił. — Może przyjąć dwanaście uncji w ciągu dwunastu godzin. Ale później musi dostać mieszankę dla niemowląt.

Dwanaście godzin, pomyślał. Jeśli do tej pory zagrożenie nie minie, nie będzie miało znaczenia, czy dziecko dostanie jedzenie, czy nie.

— Ktoś idzie — powiedział Cole z pokoju.

•••

Zwracając baczna uwagę na cienie po obu stronach, Andriej szedł tropem.

Śnieg sięgał już po kostki. Odciski stóp stawały się ledwo widoczne.

Dwie pary skręciły w stronę domu po prawej. Dalej dwie następne odbiły w lewo. Ślady biegły równolegle, bez śladów przepychania. Andriej przypuszczał, że gdyby Ziotr użył broni, chcąc zmusić kogoś, by zabrał go do łomu, zapewne celowałby tej osobie w plecy. W takim wypadku jeden trop biegłby przed drugim. Poza tym troki z przodu byłyby nierówne, świadcząc o popychaniu.

Dalej w nikłym świetle odbitym od śniegu Andriej zobaczył, że została tylko jedna para świeżych śladów. Biegły równolegle do niemal zasypanych odcisków, które prowadziły w przeciwnym kierunku, najwyraźniej z domu w głąbi uliczki.

Czy ten świeży trop należy do ciebie, Piotrze? Miał nadzieję, że tak. Czy to znaczy, że niemal cię dopadłem? V może prowadzisz mnie w pułapkę.

Zwolnił, lustrując wzrokiem śnieżną mgłę. Policzki drętwiały mu z zimna, co sprawiło, że wrócił myślami w przeszłość. Podczas służby wojskowej kiedyś maszerował przez dwadzieścia cztery godziny w śnieżycy. Nic de jadł ani nie pił, bo woda i racje żywnościowe zamarzły, drobiliśmy to, żebyście stali się jeszcze twardsi, powiedzieli oficerowie.

Cóż, dranie dopięli swego, pomyślał Andriej z goryczą. Kikt nie może być twardszy. Piotrze, niebawem dowiesz się, co to znaczy.

Przed nim świeże odciski skręciły w lewo, ku cedrowemu płotowi kojotów. Dotarły do bramy. Andriej zauważył, że drugie ślady, te prawie niewidoczne, wiodą do tej samej furtki.

Doszedł do wniosku, że należą do kogoś, kto wybrał się obejrzeć świąteczne dekoracje, a potem wrócił. Podniecenie polowania przygaszało. Szedłem za kimś, kto mieszka w sąsiedztwie. Straciłem cenny czas. Powinienem zostać z Michailem i Jakowem, kontynuować poszukiwania w pobliżu Canyon Road.

Czekaj. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, powtarzał w duchu.

Idąc alejką, skupił uwagę na dwóch parach śladów. Stare wychodziły z lewej strony domu. Nowe skręcały w tę samą stronę i znikwały w ciemności, która, jak przypuszczał, skrywała boczne drzwi. Patrząc w skupieniu, zdołał zobaczyć szopę i garaż przy domu. Przeniósł spojrzenie na dom, zauważył, że ma charakterystyczną architekturę dla Santa Fe — płaski dach, zaokrąglone narożniki, tynk w kolorze ziemi.

Świąteczne światła wisały nad wieńcem na drzwiach frontowych. Po lewej przyćmiony blask sączył się przez zasłonki w małym oknie, prawdopodobnie w kuchni. Na prawo od drzwi przez duże okno widać było pokój, mroczny, oświetlony tylko przez przygasający ogień w kominku i lampki na choince. Dalej na prawo, w innym pokoju, za zasłonkami mrugał telewizor.



Zdecydowany poznać jak najwięcej szczegółów Andriej spojrzął na dach. W nikłym odbiciu światła pod drzwiami frontowymi zobaczył śnieg gromadzący się na talerzu anteny satelitarnej.

Nie przyglądał się domowi w ostentacyjny sposób. Obserwował wszystko, gdy przechodził, jakby podziwiał malowniczą zimową scenerię. Szmer śniegu niemal tłumiał jego kroki. Po dwudziestu sekundach stracił dom z oczu, co również znaczyło, że on też nie jest stamtąd widoczny.

Nie było śladów do tropienia, więc dalszy marsz uliczką nie miał sensu. Znów poczuł rozczarowanie. Zatrzymał się i ocenił sytuację. Niechętnie zdecydował, że jego pierwsze przypuszczenie musiało być trafne. Ślady należały do jednej osoby.

Ale jeśli ktoś niedawno wrócił do domu, czy wewnątrz nie paliłoby się więcej światła? Czy można założyć, że osoba, która tam mieszka, wcześniej położyła się do łóżka w Wigilię, w noc, na której punkcie większość Amerykanów ma bzika, bo nie może doczekać się prezentów?

Która godzina?

Andriej podciągnął rękaw skafandra, odsłaniając zegarek cyfrowy. Posłuszny nawykowi z wojska osłonił tarczę dłonią i dopiero wtedy wcisnął guzik, który zapalił czerwone cyfry. Szybko je zgasił. 9.41.

Jeśli w tym domu mieszka starsza osoba, mogła pójść wcześniej spać w Wigilię, doszedł do wniosku. Migotanie telewizora sugerowało, że ktoś jest w łóżku i ogląda jeden z tych świątecznych filmów, może *To wspaniałe życie*, tytuł, który zawsze skłaniał go do drwin.

*Wspaniałe życie*? Jedynymi prawdziwymi postaciami w filmie byli dwaj faceci: stary, który gubi pieniądze z kasy, i bogaty, który chce przejąć kontrolę nad bankiem, żeby podwyższyć oprocentowanie i odebrać ludziom domy. Gdyby to była historia z życia wzięta, bohater — luk mu tam? James Stewart — zginąłby marnie, gdy skoczył do na wpół zamrożonej rzeki.

I dlaczego był tak cholernie chudy? — zastanawiał się Andriej. Czy się głodził? Tylko w Ameryce, gdzie jest tyle jedzenia, ludzie głodzą się, żeby mieć szczupłą sylwetkę. Idźcie walczyć z buntownikami w Czeczenii z połową racji, jakie my dostawaliśmy. Szybko zmienicie zdanie na temat odchudzania.

Nagle w słuchawce pod czapką zabrzmiał wściekły głos pachana.

— Znalazłeś go?

— Jeszcze nie — mruknął Andriej do mikrofonu ukrytego na kurtce, maksymalnie ścisząc głos.

— Jak klienci się dowiedzą, że nie mamy tego, za co zapłacili...

— Szukamy usilnie.

— Jeśli będę musiał oddać pieniądze, przysięgam, że pomogę im cię wytropić.

— Już mi mówiłeś. Nie zapomniałem.

Nigdy nie byłem wobec ciebie nielojalny, pomyślał Andriej. Zawsze robiłem więcej, niż chciałeś.

— Po prostu potrzebuję jeszcze trochę czasu — powiedział do mikrofonu, skrywając rozgoryczenie.

— Koszkajob, chyba nie masz pojęcia, jak niewiele czasu ci zostało.

Andriej poczuł skurcz w dołku. Nie cierpiał obelg i pogrózek, ale o wiele bardziej rozwścieczyło go, że pachan postanowił wystąpić po stronie obcych przeciwko niemu.

— Nie mogę dłużej rozmawiać. — Bardziej z gniewu niż z konieczności szybko zakończył rozmowę.

Zawrócił w przysłoniętej przez śnieg uliczkę. Wiedział, że musi się spieszyć, żeby dołączyć do Michała i Jakowa, przeszukać inne miejsca, nadrobić stracony czas.

Ale instynkt powstrzymywał go od pośpiechu.

Znów zobaczył dom, teraz po prawej stronie. Znów mu się przyjrzał, gdy go mijał. Tym razem podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć w mroku. Mruganie telewizora. Świąteczne światła. Dogasający ogień w kominku. Ślady prowadzące tam i z powrotem. Furtka.

Furtka.

Coś nie dawało mu spokoju, ale nie potrafił tego sprecyzować. Szedł, dopóki dom nie zniknął z

poła widzenia. Zatrzymał się, odwrócił i przykucnął, pilnując, żeby głowa nie wystawała nad ogrodzenie.

Przesuwał się w stronę bramy, starając się trzymać blisko ziemi.

Przygarbiony, miał odsłonięty kark i padający śnieg mroził mu skórę. Prawie tego nie czuł, skupiony na furtce. Przysunął się bliżej. Gałęzie cedru zrobiły się większe. Coś tu było nie w porządku. Coś, czego nie powinien zostawiać bez sprawdzenia.

Przy bramie opadł na kolana. Nie zwracając uwagi na chłód sączący się przez spodnie, przysunął twarz do furtki i kory na gałęziach. Popatrzył na śnieg, który zebrał się na spiłowanych końcach.

Trochę śniegu spadło, strącone ruchem furtki. To było do przewidzenia. Ktoś, kto otworzył furtkę, mógł nawet musnąć szczyt i zrzucić więcej śniegu.

Otarł się o furtkę, pomyślał Andriej.

Wytężył oczy w nikłym świetle odbitym od śniegu. Furtka otwierała się do wewnątrz w lewo. Nie byłoby dziwne, gdyby ktoś otarł się o nią lewym bokiem w czasie przechodzenia.

Skupiając wzrok, znalazł ciemną smugę w pobliżu zasuwy.

Narosło w nim podniecenie. Smuga znajdowała się na wysokości męskiego ramienia. Ledwo ją zauważył i prawie zbagatelizował, gdy przechodził uliczką, przypisując ją przebarwieniu w drewnie.

Teraz miał wrażenie, że prąd przepłynął przez jego nerwy. Palcem dotknął smugi i stwierdził, że na skórze rękawiczki zostało trochę ciemnej substancji. Lepkiej, prawie zamrożonej.

W mroku Andriej nie mógł rozróżnić koloru, ale nie miał wątpliwości, że to krew.

•••

— Paul, terroryści muzułmańscy podziękowali Allaliowi, gdy znaleźli mafię rosyjską.

W krajach Bliskiego Wschodu radykałowie z Al-Kaidy

nie różnią się wyglądem od innych ludzi, którzy po prostu chcą żyć w spokoju. Ale gdy opuszczają swoje ojczyste kraje i próbują przeprowadzać operacje na Zachodzie, wyróżniają się w tłumie.

Przed jedenastym września mogli poruszać się wśród nas swobodnie. Serdecznie witaliśmy gości. Byliśmy nieświadomi. Teraz terroryści z Bliskiego Wschodu wiedzą, że zostaną namierzeni, jeśli zrobią coś, co choćby trochę odbiega od normalności, dlatego potrzebują kogoś, kto będzie odwalać za nich mokrą robotę, kogoś, kto wtapia się w tłum.

Znalezienie skłonnych do współpracy ludzi z Zachodu okazało się prawie niemożliwe. Ostatecznie nawet najbardziej bezduszny kryminalista ma instynkt, który zabrania mu kłaść własne gniazdo. Nie mówię o miłości do kraju, Paul. Ta koncepcja jest zbyt szlachetna dla elementu, o którym mówimy. Ale prawie każdy, niezależnie jak zepsuty, odmówi zrobienia czegoś, co narazi jego zakątek świata — jego dzielnicę, ulicę, dom czy mieszkanie. To podstawowy instynkt samozachowawczy.

Z wyjątkiem mafii odeskiej, Paul. Są tak oderwani od przybranej ojczyzny, że nie dbają nawet o własne domy. Gdyby ktoś im zapłacił za podłożenie brudnej bomby na Manhattanie, bomby, która spowoduje rozprzestrzenienie się opadu radioaktywnego na pobliskie Brighton Beach, po prostu spakują się i wyprowadzą przed zdetonowaniem. Zapłać im dość, a zrobią wszystko.

I będą pracować nie tylko dla Al-Kaidy. Biorą pieniądze również od Hamasu.

•••

— Przed domem jest jakiś człowiek — powiedział Cole.

Kagan zamarł w trakcie zapinania koszuli. Wątpił, czy w przyćmionym blasku lampki nocnej widać go przez zasłonki w oknie kuchennym. Mimo to cofnął się w głąb pomieszczenia.

Jego normalny puls wynosił sześćdziesiąt pięć uderzeń na minutę. Teraz oceniał, że wzrósł do stu dziesięciu i przyspiesza. Podniósł skafander ze stołu i poczuł krzepiący ciężar broni w prawej

kieszoni.

Przystanął w sklepionym przejściu do pokoju.

— Co widzisz? — zapytał.

— Mężczyznę — odparł Cole słabym głosem.

Tylko jeden? — pomyślał Kagan. Nie, byłoby ich

więcej. Potem przyszło mu na myśl, że myśliwi mogli się rozdzielić, by przeszukać większy obszar.

A może to fałszywy alarm.

— Cole, pamiętaj, udawaj, że nie zwracasz na niego uwagi. Patrz na śnieg.

— Nie stoję przy oknie. Nie wie, że go obserwuję.

— Co to znaczy?

— Siedzę w fotelu, który stoi daleko od kominka i choinki. Tutaj jest ciemno. Nie może mnie zobaczyć.

— Jesteś pewien?

— Przecież jestem tylko dzieciakiem. Nikt nie zwraca uwagi na dzieciaka skulonego w fotelu. Chociaż nie wiem, jak mógłby mnie zobaczyć.

— Co robi?

— Po prostu idzie. Wygląda, jakby patrzył na światła i śnieg. Teraz zniknął.

— Może rzeczywiście podziwia światła i śnieg. Może mieszka w pobliżu.

— Przeprowadziliśmy się tutaj na początku lata. Nie znam wszystkich sąsiadów, ale nie widziałem go wcześniej.

— Niewykluczone, że idzie w odwiedziny. Opisz go.

— Nie widziałem go wyraźnie. Wysoki — tyle zobaczyłem. Szerokie ramiona. Ma czapkę naciągniętą na uszy. Obcisłą.

— To tak zwana czapka stróża. — Kagan poczuł przemykający cień śmierci. — Jaki kolor płaszcza?

— Był oproszony śniegiem, ale chyba ciemny.

— A czapka? Też ciemna?

— Za dużo śniegu. Nie wiem.

Nie pozwól, żeby chłopiec wyczuł twój strach, pomyślał Kagan.

— Dobrze powiedziane, Cole. Zawsze podziwiam ludzi, którzy przyznają, że nie znają odpowiedzi. Pewien szpieg kiedyś tak bardzo chciał zachować pracę, że zamiast prawdy mówił szefom to, co chcieli usłyszeć. To naraziło świat na wielkie kłopoty. Z której strony przyszedł ten mężczyzna?

— Z prawej.

Z Canyon Road, pomyślał Kagan.

Cole znów się odezwał:

— Ciemna... jak ją nazwałeś — czapka stróża? Czy i no takie noszą faceci podobni do ciebie? Chwileczkę. znowu idzie. Teraz z lewej. Wraca.

Kagan rozpaczliwie chciał wejść do pokoju, przykucnąć i zerknąć przez okno. Ale nie śmiał ryzykować, że mężczyzna go zobaczy.

— Tym razem jakby się spieszy — powiedział Cole.

Kagan zrozumiał. Ktokolwiek tam był — przypuszczalnie Andriej, biorąc pod uwagę opis Cole'a — tropił wszystkie ślady, aż ostatnia para doprowadziła go do tego domu. Ale jego sztuczka się powiodła i Andriej zdecydował, że ślady zostawiła ta sama osoba, która najpierw wyszła, a potem wróciła.

Teraz jest zły, że stracił czas.

— Znów zniknął — zameldował Cole.

— To dobrze. Ale patrz dalej.

W tle Judy Garland śpiewała: Urządź sobie wesołe małe Boże Narodzenie. Jedynym innym

dźwiękiem był trzask kłód na kominku i kwilenie dziecka.

Musimy coś zrobić, żeby przestało płakać.

Starannie ukrywając napięcie, Kagan odwrócił się w stronę kuchni, gdzie Meredith trzymała niemowlę.

— Jak idzie przyrządzanie mieszanki?

Meredith stała w rozsądnej odległości od garnka na kuchence, trzymając dziecko z dala od płomienia.

— Podgrzewam. Ale jak go nakarmię? Nie mam butelki ze smoczkiem.

— Masz kieliszek?

— Chyba gdzieś znajdě. — Jej głos zdradzał zdenerwowanie.

Kagan zauważył, że spojrzała gniewnie na butelkę whisky na ladzie. Butelka była prawie pusta. Obok stał kieliszek.

— Rozumiem, o co ci chodzi.

— Mam nadzieję, że nie zaczniesz pić — mruknęła.

— Nie ma obawy. — Kagan wziął kieliszek i podszedł do zlewu, trzymając się jak najdalej od okna. Gorącą wodą wypłukał alkohol z kieliszka. — Dziecko może pić z czegoś tak małego.

— Nie. Gdy Cole się urodził, pediatra powiedział, że bym nie podawała mu kubka, dopóki nie skończy czterech miesięcy.

— W rzeczywistości dziecko może pić z małego pojemnika wkrótce po urodzeniu.

— Zmyślasz. Naprawdę się spodziewasz, że uwierzę, że tego też się dowiedziałeś od Światowej Organizacji Zdrowia?

— To się sprawdza. Sztuka w tym, jak to zrobić. — Kagan podszedł do niej, ułożył rękę pod odpowiednim kątem i zademonstrował technikę. — Odchyl malca lekko do tyłu. Trzymaj rękę pod głową, żeby chronić szyję. Przyłóż kieliszek do górnej wargi. Nie lej, bo się zakrztusi. Jeśli pozwolisz mu pić po swojemu, wszystko będzie dobrze.

Kagan rzucił czujne spojrzenie na okno, podszedł do kuchenki i zamieszał wodę, żeby cukier i sól prędzej się i rozpuściły. Łyżka zazgrzytała o dno.

— Cole, jakieś oznaki ruchu? — Pomimo zewnętrznego spokoju, Kagan szacował, że puls przyspieszył do stu dwudziestu. Tętnice rozszerzały się pod wpływem ciśnienia krwi.

— Nie — odparł chłopiec.

— Dobra robota. Patrz dalej.

Dziecko poruszyło się, jakby zamierzało płakać.

Kagan szybko nalał łyżką odrobinę mieszanki na wnętrze nadgarstka.

— Ciepłe. Może być. — Wyłączył kuchenkę i nalał płyn do kieliszka. — Napełniłem do kreski jednej uncji. Możemy zmierzyć, ile wypije.

Meredith ułożyła dziecko, jak jej pokazał, chroniąc główkę przed nadmiernym odchyleniem.

— Proszę, kolego. — Wzięła kieliszek od Kagana. — Ma jakieś imię?

Nie odpowiedział.

— Przepraszam — powiedziała. — To chyba coś, czego nie powinnam wiedzieć.

— Prawdę mówiąc, nie znam jego imienia. — Choć instynkt nakazywał, żeby unikać wyjawiania informacji, w pewien sposób to już nie miało znaczenia. Jeśli ludzie zewnątrz dopadną Meredith, wynik będzie jednakowo brutalny bez względu na to, czy będzie wiedziała coś o dziecku, czy nie.

Zmienił temat.

— Ubrałaś się jak na przyjęcie.

— Rodzice szkolnego kolegi Cole'a zaprosili nas do siebie. — Meredith sprawiała wrażenie przybitej myślą o tym, co ją ominęło.

— Nie pójdziesz? — zapytał szybko. — Czy będą się zastanawiać dlaczego? Jeśli nie skontaktują się z tobą przez telefon, czy zaniepokoją się na tyle, żeby...

— Zanim Ted rozbił telefony, zadzwonił do nich i powiedział, że Cole jest chory.

— Aha — mruknął. — Spryciarz.

— Tak. Spryciarz. — Meredith odetchnęła głęboko i popatrzyła na dziecko. — Zapomniałam, jak to jest, gdy się trzyma w ramionach bezradną istotę. To przyjemne uczucie, kolego. Pij. Załóżę się, że jesteś spragniony. Nie bój się. Mamy tego mnóstwo, i wszystko dla ciebie.

— Niezupełnie. — Odwodnionemu wskutek utraty krwi Kaganowi bardzo chciało się pić. Sięgnął do apteczki, otworzył pojemnik tylenolu i wrzucił cztery tabletki do suchych ust. Kucając, żeby jego sylwetka nie pokazała się w oknie, wrócił do kuchenki, sprawdził rączkę rondla, żeby się nie sparzyć, i nalał trochę mieszanki do szklanki znalezionej przy zlewie.

Przełknął tabletki, popijając je dwoma wielkimi łykami. Czuł smak soli i cukru. Żołądek natychmiast się skurczył, nasilając mdłości powodowane przez ranę. Odczekał, potem wypił jeszcze jeden łyk, czując, jak usta chłoną ciepły płyn.

— Widzisz coś, Cole?

— Wygląda na to, że odszedł — powiedział chłopiec z pokoju.

— Mimo wszystko czuwaj. Ostrożności nigdy nie za wiele. Szpieczy nie mogą przyjmować niczego za rzecz oczywistą.

— Zmieniam kanały w radiu, które mi pan dał, ale nic mc słyszę. Może nie robię tego właściwie.

— Jeśli grasz w gry wideo, jestem pewien, że umiesz obsługiwać odbiornik. — Mikrofon w kieszeni spodni znajdował się za daleko od ust, żeby Andriej mógł cokolwiek usłyszeć, gdyby przypadkiem słuchał na częstotliwości wcześniej używanej przez zespół. — Ci ludzie mc gadają bez potrzeby. Istnieje tylko cień szansy, że znajdziesz częstotliwość, jakiej używają, akurat w chwili nawiązania łączności. Ale musimy próbować wszystkiego. I doskonale sobie radzisz.

Kagan wyłączył lampkę nocną, świadom, że Meredith uła mu na tyle, by nie wyrazić sprzeciwu. Ukryty w głębszych cieniach, lekko rozchylił zasłonki.

W padającym śniegu widział pionowe słupki płotu kojotów. Wypatrywał ruchu w cieniach po drugiej stronie.

— Meredith, opisz rozkład domu.

• • •

Andriej czołgał się pospiesznie przez śnieg wzdłuż płotu. Jego oddech przyspieszył, gdy gorączka podjętego polowania przepędziła zimno z policzków. Kiedy znalazł się na tyle daleko, że uznał, iż może bezpiecznie się podnieść, zrobił to i spojrzął na słup.

Dwa druty biegły w stronę domu. Wyteżył oczy i w nikłym blasku odbitym od śniegu dostrzegł, że jeden z nich jest przymocowany do izolatora — linia elektryczna. Drugi obsługiwał albo telefony, albo telewizję kablową. Potem przypomniał sobie o antenie satelitarnej na dachu i doszedł do wniosku, że to musi być przewód telefoniczny.

W odpowiednich warunkach strzelał wyjątkowo celnie. Ale teraz oddał cztery strzały, zanim kula przecięła gruby przewód. Z powodu padającego śniegu tłumik na broni był jeszcze skuteczniejszy niż zwykle, a cichy brzęk, gdy pocisk uderzył w drut, nie mógł przyciągnąć uwagi.

Natychmiast wyjął częściowo opróżniony magazynek, wsunął go do kieszeni spodni i załadował nowy z piętnastoma nabojami. Dopiero wtedy przemówił do mikrofonu, nagłym szeptem:

— Znalazłem go.

W słuchawce pod czapką usłyszał gwałtowny wydech.

— Dzięki Bogu — powiedział pachan z napięciem w głosie.

Andriej pomyślał, że to ironia, iż jego szef, również wychowany w ateistycznym Związku Radzieckim, używa takiego wyrażenia.

— Nasi klienci już są — podjął pachan. — Nigdy nie widziałem, żeby ktoś się tak wściekał. Jak szybko dostarczysz paczkę?

— Nie wiem.

- Co?
- Piotr ukrył się w domu. Muszę wykombinować, jak go dorwać.
- Nie pozwól mu znowu uciec — ostrzegł pachan.
- Nie tym razem. Mamy go.
- On głównie mnie obchodzi! Załatw go szybko! Paczka! Przynieś paczkę!

Andrieja zaniepokoiło to, że pachan czuje się taki zagrożony. Zwykle zadowolony był świadczeniem byle jakich usług. Jeśli klient się skarżył, rozkazywał komuś ze swoich podpalić jego dom. Ludzie, którzy zwracali się do mafii odeskiej, od początku byli zdesperowani. Pachan uważał, że powinni być wdzięczni za pomoc, jaką otrzymywali.

Ale ci klienci to zupełnie inna historia. Trzy miliony dolarów za tygodniową pracę — na dodatek w kurorcie — stanowiły zbyt wielką pokusę, żeby pachan mógł się oprzeć. Wtedy nazwał to łatwym zyskiem.

— Poczynili wszelkie przygotowania. Przekupili, kogo trzeba. Poznali rozkład dnia celu, określili dokładnie, kiedy i gdzie można wykonać robotę. Z tym sobie poradzili. Ale nie mogą wykonać zadania. Potrzebują nas, bo my możemy wtopić się w tłum w Santa Fe, podczas gdy oni od razu zostaną zauważeni. Dlatego kazałem zapłacić przeklętym Arabom tyle, ile tylko możliwe. Przywykli do wzbudzania, a nie odczuwania strachu, pachan teraz rozumiał, jaka kara grozi za wchodzenie w interesy z klientami, którzy są bardziej bezlitośni niż on.

Andriej podszedł do świerku. Ukryty za grubym pnem, mógł obserwować dom.

- Słyszycie wszyscy? — szepnął do mikrofonu.
- Tak — odparł Jaków. — Gdzie jesteś?
- Idź uliczką, którą wybrałem.

Parę minut później, gdy zobaczył dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn spieszących przez śnieg, powiedział do mikrofonu:

— Jestem na prawo od was. Przy świerku.

Mężczyźni przystanęli, spojrzeli w jego stronę.

— Tam jesteś — mruknął Michaił. — Dobrze. Lepiej, żebyśmy nie postrzelili cię przez pomyłkę. — Śmiejąc się ze swojego żartu, razem z Jakowem skrył się za drzewem i obejrzał dom.

— Ilu ludzi jest w środku? — Pytanie Jakowa ledwo było słychać.

— Nie wiadomo — odparł cicho Andriej. — Wcześniej ktoś wyszedł i zostawił te ślady, ale przez furtkę w stronę domu prowadzą ślady Piotra.

- Skąd wiesz?
- Krew na furtce.
- Aha.

— Widać światło w pokoju po prawej, pewnie z telewizora. — Andriej wskazał ręką. — Może jest tam ktoś, kto nie ma pojęcia, że Piotr się zakradł. A może nikogo nie ma i Piotr włączył telewizor, żeby dom nie wyglądał na pusty.

— Mnóstwo może — zauważył Michaił. — Zgubił komórkę. Ale jeśli tam jest, może wezwać policję ze stacjonarnego.

— Przestrzeliłem drut — powiedział Andriej.

— Mógł zadzwonić, zanim to zrobiłeś. Albo może w domu jest komórka.

— W takim razie dlaczego policja jeszcze nie przybyła? Dlaczego nie słychać syren?

Jaków wzruszył ramionami.

— Na Canyon Road jest Wigilia. Tłum utrudni dojazd.

— Ale nie możemy odejść ani wpaść nagle do domu tylko dlatego, że myślimy, że być może jedzie policja — oświadczył Andriej. — Jeśli spieszymy robotę, lepiej od razu zwiewajmy. Będziemy uciekać do końca życia, bo znamy naszych klientów, a pachan też nie przestanie na nas polować.

I na moją rodzinę, dodał w duchu. Jeśli nie znajdzie mnie, zajmie się moją żoną i córkami.

— Co zatem proponujesz? — zapytał Michaił.

— Pójdziemy do domu z trzech stron — zdecydował Andriej. — Piotr nie może się bronić na trzech frontach. Przynajmniej dwaj z nas go dorwą.

— Całkiem niezłe szanse, dopóki to nie ja zostaną zastrzelony — powiedział Jaków.

— Piotr jest ranny i osłabiony z powodu utraty krwi — zaznaczył Andriej. — To wpłynie niekorzystnie na jego celność. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszyscy ujdziemy z życiem.

— „Duże prawdopodobieństwo” nie budzi mojego zaufania. Ten, kto pójdzie od frontu, podejmie największe ryzyko. Jak zdecydujemy, kto...

— Zrządźcie jak stare baby. Ja pójdę od frontu — warknął Andriej z irytacją.

Spojrzeli na niego.

— Piotr wie, że to mnie powinien najbardziej się obawiać. Pokażę się przed domem. To go zdekongruje. W ten sposób będziecie mieli większe szanse, żeby wejść do domu z boku. Jeśli dokładnie zgramy atak...

— Mamy towarzystwo — ostrzegł Jaków. Andriej odwrócił się w stronę uliczki. Z początku się bał, że to policja, ale przybysz był sam. Przez śnieg brnął mężczyzna w jasnoszarym płaszczu i czapce z nausznikami. Szedł z nisko pochyloną głową, wyglądał na zmęczonego.

Świąteczna chandra? — zastanowił się Andriej. A może tylko osłania twarz przed śniegiem. Nagle wpadła mu do głowy kolejna myśl. Może to policjant grający komedię. Jeśli tak, nie jest sam. Zastawia pułapkę. Andriej pomyślał o pachaniu, klientach i Piotrze. O swojej żonie i córkach. Mężczyzna podszedł bliżej, skracając na drugą stronę alejki, ku furcie.

Zaryzykuje, postanowił Andriej.

• • •

— Jedziemy do Santa Fe po dziecko?

— Tak, Piotrze. Po dziecko pokoju.

— Nie rozumiem.

— Nie czytasz gazet? Nie oglądasz wiadomości w telewizji?

— Wiadomości? Ha. Wszystko, co nam mówią, to propaganda, tak samo jak w Rosji.

— Więc nie słyszałeś o Ahmadzie Hasanie?

— Tak nazywa się dziecko?

— Ojciec. Jest położnikiem.

— Andriej, mój angielski nie jest...

— Hasan odbiera porady dzieci. Jest chirurgiem, który kiedyś specjalizował się w leczeniu Palestyńczyków postrzelonych w starciach z Izraelczykami. Przez lata operował dwa tysiące rannych. „Ale nic się nie polepszyło”, powiedział. Dlatego zmienił specjalizację i został lekarzem dziecięcym. Przyjął na świat tysiące dzieci, znacznie więcej, niż wynosi liczba rannych, którymi się zajmował. Jak mówi swoim wyznawcom, wybrał życie zamiast śmierci, nadzieję zamiast nienawiści.

— Swoim wyznawcom? Mówisz tak, jakby Hasan był jakimś przywódcą religijnym.

— W pewien sposób jest. Nie ma żadnej władzy religijnej, ale wygłasza przemówienia z takim żarem, że sama jego obecność inspiruje wielu ludzi. Mówi jak prorok i codziennie przyciąga nowych uczniów. Wierzą, że ma wizję. Hasan głosi, że wojna pomiędzy Palestyńczykami i Izraelczykami zniszczy region i resztę świata. Wielu się z nim zgadza, ci, którzy są zmęczeni dziesięcioleciami zabijania i zniszczenia.

„Dzieci — przypomina im Hasan. — Myślcie o naszych dzieciach. Jeśli naprawdę je kochamy, jeśli cenimy tak bardzo, jak mówimy, dajmy im przyszłość i stwórzmy trwałą pokój”.

— Pokój. Użyłeś tego słowa na opisanie dziecka.

— Tak, Piotrze. Dziecko pokoju. Dziecko Hasana. Jego wrogowie płacą nam trzy miliony

dolarów, żebyśmy je dla nich ukradli.

• • •

— Rozkład domu? — Meredith nie kryła z troską. — Po co ci on?

W cienie kuchni Kagan widział jej sylwetkę. Wyprężyła się z napięcia, przykładając kieliszek do ust dziecka.

— Bez szczególnego powodu — odparł. — Standardowe środki ostrożności. Sposób na zabicie czasu.

— Środki ostrożności?

— Żebym wiedział, czego się spodziewać.

— Czego mógłbyś się spodziewać? Słyszałeś Cole'a. Mężczyzna odszedł.

— Prawdopodobnie. Ale zawsze dobrze jest mieć plan awaryjny.

W nikłym świetle Kagan nie widział jej oczu, ale był pewien, że przygląda mu się nerwowo. Skinęła głową w stronę ciemnego wejścia obok dwudrzwiowej lodówki w głębi kuchni.

— Tam jest kotłownia i pralnia — powiedziała. — I mała łazienka, tylko sedes i umywalka.

— Są okna?

— Nie.

Kagan odetchnął z ulgą, wdzięczny za tę drobną łaskę.

— A reszta domu? Cole powiedział, że ma pokój od frontu.

— Tak. Od frontu jest salon, łazienka i sypialnia Cole'a.

— A na tyłach?

— Za salonem jest gabinet Teda. Obok nasza sypialnia.

— Naprzeciwko Cole'a?

— Tak. Na końcu korytarza, który dzieli tę część domu.

— Ile jest drzwi na zewnątrz?

Kagan zauważył, że głos się jej załamał. Nie mogła /ignorować logiki kryjącej się za jego pytaniami.

— Troje. Drzwi frontowe, boczne w kuchni i te w gabinecie Teda. Wychodzą na ogród.

— A zewnętrzne wejście do piwnicy?

— Nie mamy piwnicy. Większa część Santa Fe jest /budowana na skałach.

Kolejna rzecz, o jaką nie trzeba się martwić, pomyślał Kagan.

— Strych?

— Nie ma, dach jest płaski.

— Drzwi w gabinecie Teda są drewniane czy rozsuwane ze szkła?

— Drewniane.

Przynajmniej niełatwo będzie się włamać, pomyślał.

— Zamknięte na klucz?

— Tak. Sprawdziłam, gdy myślałam, że wyjdziemy z domu na przyjęcie. Potem drugi raz, po wyjściu Teda.

— A inne drzwi? — Kagan podszedł i obejrzał te w kuchni. Były zamknięte.

— Gdy Ted stracił panowanie nad sobą, wszystkie drzwi zostały zamknięte na klucz, możesz mi wierzyć.

Kagan wyjrzał ostrożnie przez okno.

— Nie zawsze był taki — powiedziała Meredith.

— To znaczy? — Kagan podtrzymywał rozmowę w nadziei, że to ją uspokoi.

— Wie, że ma problem z alkoholem. Kiedy przenieśliśmy się tutaj z Los Angeles, był zdecydowany zacząć życie na nowo. Prawdę mówiąc, dlatego tu przyjechaliśmy. Zeszłej wiosny odwiedził Santa Fe, uczestniczył w jakiejś konferencji. Po powrocie przez cały czas mówił tylko o górach, świetle i powietrzu, które jest takie czyste, że można zobaczyć koniec świata. Powtarzał, że



stan jest zwany „Krainą oczarowania”. Zrozumiałam. Zdecydowanie potrzebowaliśmy trochę magii.

— Więc przeprowadziliście się tutaj?

— Dwa miesiące później, w czerwcu, zamieszkaliśmy w tym domu. Czwartego lipca, pamiętam, tysiące ludzi przyszły na śniadanie naleśnikowe na Plaża. Siedzieliśmy pod drzewami i patrzyliśmy, jak muzycy grają bluegrass na estradach. Ludzie tańczyli, świetnie się bawili. Ted spojrzał na mnie, szeroko się uśmiechając, i powiedział: „Jest Dzień Niepodległości. Obiecuję”. Dwa razy w tygodniu chodził na spotkania Anonimowych Alkoholików. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Wędrowaliśmy po górach. Jeździliśmy przez dolinę do Los Alamos, żeby zobaczyć, gdzie skonstruowano bombę atomową. Badaliśmy ruiny w kanionie Bandolier. Targ Hiszpański, targ Indiański, Fiesta. To było najlepsze lato w moim życiu. We wrześniu Ted miał nawał pracy i nie mógł pędzać z nami wiele czasu. Nie skarżyłam się. Rachunki trzeba płacić. Zrobiłam swoje i podjęłam pracę w jednym z muzeów. W Święto Dziękczynienia przyniósł do domu butelkę wina. Musiałam mieć zaniepokojoną minę, bo powiedział: „Słuchaj, nawet nie jest czerwone. To białe wino. To nic. Pracowałem siedem dni w tygodniu. Czym jest kolacja z indykiem bez odrobiny białego wina?”.

— A teraz, miesiąc później... — Kagan zawiesił głos.

— Nowe miejsce. Stare problemy. Przypuszczam, że nie ma czegoś takiego jak nowy start. — Po chwili niezręcznego milczenia Meredith zmieniła temat. — Mały śpi. — Odstawiła kieliszek na stół i zabrała niemowlę do ciemnego pomieszczenia za lodówko-zamrażarką.

Kagan słyszał, jak szuka czegoś po omacku, i zastanowił się, co robi. Coś zazgrzytało o podłogę. Zobaczył cień Meredith. Wchodziła tyłem do kuchni, ciągnąc wiklinowy kosz.

— Był w pralni. Wyłożyłam go ręcznikami — powiedziała. — Prawie tak dobry jak kołyska. — Ułożyła dziecko w koszu i przykryła ręcznikiem.

— Czy w pralni jest miejsce w kącie za pralką i suszarką? — zapytał. — Żebyś mogła przykucnąć?

— Tak. — Głos Meredith wyrażał zaskoczenie.

— Jeśli coś się stanie, zabierz dziecko i schowaj sit; tam. Sprzęt może was ochronić

— Ochronić nas przed...?

Kagan ruszył do salonu.

— Cole, słuchasz?

— Tak.

— Ochronić przed kulami? — dokończyła Meredith.

— Trzymanie się razem to zły pomysł — powiedział Kagan. — W ten sposób stanowimy jeden cel. Cole, gdyby coś się stało, czy masz jakąś kryjówkę?

Chłopiec zastanawiał się w milczeniu.

— Jest tutaj wielka szafka pod telewizor. Chyba mogą się za nią wcisnąć — odparł niepewnym głosem.

— Jeśli będziesz musiał to zrobić, połóż się na podłodze. Musisz to sobie przećwiczyć w głowie. Jeśli zobaczysz w wyobraźni, powtórzysz i zrozumiesz, co masz zrobić, nie będziesz dezorientowany, gdy nadejdzie pora. Jeśli coś się stanie...

— Nie boję się.

— Dobrze.

— Bałem się, gdy tata uderzył mamę, ale teraz...

— Tak? Co teraz?

— Czuję się odrętwiały.

• • •

Z punktu obserwacyjnego za świerkiem Andriej patrzył, jak mężczyzna brnie w padającym śniegu.

Ramiona miał przygarbione. Głowę spuszczone.

Po chwili znalazł się tak blisko, że Andriej doszedł do wniosku, iż pierwsze wrażenie było słuszne — wyglądał na zmęczonego, jakby dźwigał ciężar świata. Podniósł głowę tylko raz, żeby sprawdzić, gdzie jest, i skręcił w lewo, do furtki w płocie.

— Proszę pana.

Andriej wyszedł z cieni i zatrzymał go, zanim ktoś mógłby zobaczyć ich z domu. — Jestem z policji.

— Z policji? — Mężczyzna nie krył strachu. Był chudy, wysoki na jakieś sześć stóp. Ręce trzymał wsadzone głęboko w kieszenie płaszcza.

W rozproszonym przez śnieg słabym świetle trudno było dokładnie ocenić jego wiek. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Miał wąsy i owalną, wymizerowaną twarz. Jego oddech pachniał whisky, ale nie mocno, czyli facet pił parę godzin temu.

— Co tu robi policja? — Mężczyzna wyrwał się z ponurego nastroju, z niepokojem podniósł głowę.

— Mieszka pan w tym domu? — Andriej wskazał ręką.

— Tak, ale...

— Jak się pan nazywa?

— Brody. Ted Brody. O co chodzi? Co się dzieje?

— W sąsiedztwie zdarzył się wypadek.

— Wypadek?

— Wie pan, ile osób jest w pańskim domu, panie Brody?

— Moja żona i syn. Dlaczego na... Boże, czy coś im się stało?

— Panie Brody, proszę odpowiadać na moje pytania. Ile lat ma syn?

— Dwanaście, ale...

— Proszę opisać dom. Narysować szkic na śniegu.

— Szkic? Nie rozumiem.

— Pokoje. Okna. Drzwi na zewnątrz. To bardzo ważne. Proszę mi pokazać lokalizację wszystkich drzwi.

— Jezu, mówi pan, że ktoś się włamał? — Brody odepchnął go, zmierzając do furtki.

Andriej złapał go za ramię i pociągnął z powrotem.

— Niech pan przestanie... muszę... — Brody się szamotał. — To boli. Zabierz pan łapy.

— Proszę ciszej — polecił Andriej. — Nie powinien wiedzieć o naszej obecności.

— Kto?

Andriej szarpnął go w tył.

— Niech pan nie podnosi głosu. Ścigamy zbiega. Wszedł do pańskiego domu, zanim zdołaliśmy go powstrzymać.

— W takim razie muszę tam iść. Muszę... Andriej stanął przed nim i oburącz chwycił go za ramiona. Mówił z naciskiem, ale po cichu, przysuwając twarz do jego twarzy.

— Proszę słuchać uważnie, panie Brody. Jeśli pan wejdzie, zbieg zyska kolejnego zakładnika. Niech pan nie pogarsza sytuacji rodziny.

— Ale...

Andriej nie pozwolił mu dokończyć.

— Najlepsze, co może pan zrobić, to służyć nam pomocą. Ma pan komórkę? Jeśli nie, pożyczę panu swoją.

— Komórkę? Po co?

— Jest szansa, że zbieg nie wie, że go tropimy. Chcę, żeby zadzwonił pan do żony i spróbował się dowiedzieć, co się tam dzieje, w którym pokoju przebywa ona i syn. Musimy znać wszelkie szczegóły, które pomogą brygadzie antyterrorystycznej. — Andriej sam uszkodził linię telefoniczną, ale musiał się dowiedzieć, czy w domu jest telefon komórkowy.

— Brygada antyterrorystyczna? — jęknął Brody. — Dlaczego do tego dopuściłem? Co ja

zrobiłem? Nie powinienem był zostawiać rodziny.

— Proszę się uspokoić, panie Brody. Przećwiczę z panem rozmowę telefoniczną. Musimy założyć, że zbieg będzie słuchał pańskiej rozmowy z żoną. Powiem panu, jak formułować pytania, żeby się nie wystraszył. Musimy wiedzieć, gdzie jest...

— Chwileczkę. — Brody spojrział w bok.

— Co się stało?

— Kim są ci ludzie? — Brody wskazał w stronę świerka.

— Funkcjonariusze z zespołu. Detektyw Hardy i Grant.

Michał i Jaków podnieśli ręce w powitalnym geście, próbując wcielić się w swoje role.

— W rozmowie będzie ważne, żeby mówił pan naturalnie, żeby pański głos nie zdradzał niepokoju — wyjaśnił Andriej. — Najlepiej będzie...

— Proszę dać sobie spokój. To na nic.

— Słucham?

— Telefonowanie nie ma sensu.

— Nie ma sensu...? Ale dlaczego?

— Telefony nie działają.

Andriej poczuł, jak napinają mu się mięśnie. Czy mężczyzna zauważył przestrzelony drut? Spróbował wydobyć z niego więcej informacji.

— Nie działają? Co to znaczy?

— Są zepsute.

— Chce pan powiedzieć, że śnieg zerwał linie telefoniczne?

— Nie, chodzi mi o telefony. — Brody wydawał się rozdrażniony, że Andriej nie rozumie takiej prostej sprawy.

— Wszystkie telefony w domu? Jak mogły zepsuć się wszystkie naraz?

Brody strzepnął śnieg z wąsów, ale nie odpowiedział.

— Proszę pana, nie stać nas na zwłokę — powiedział Andriej. — Od pana zależy bezpieczeństwo żony i dziecka. Jak zepsuły się telefony?

— Ja to zrobiłem.

— O czym pan mówi?

— Rozbiłem je motkiem. — Brody sprawiał wrażenie doprowadzonego do rozpacz.

Andriej nie zdołał ukryć zaskoczenia. A już myślał, że nic nie może go zaskoczyć.

— Dlaczego, u licha, rozbił pan telefony?

— Żeby żona nie mogła was wezwać.

— Nas? — Andriej z konsternacją pokręcił głową.

— Was. Policję. — Brody wlepił oczy w buty. — Przestałem panować nad sobą — wyjaśnił z nutą rozpacz. — Pokłóciłem się z żoną. Nie pamiętam o co, pewnie o picie. Ja...

— Ale dlaczego pan się bał, że wezwie policję?

— Bo ją uderzyłem. — Brody wciąż wbijał wzrok w ziemię. Wstyd sprawił, że jego głos opadł do szeptu.

— Aha — mruknął Andriej. Ostatecznie nie było to coś nadzwyczajnego.

— Stało się to pierwszy raz. Gdy zrozumiałem, co zrobiłem, czekałem przez parę godzin, żeby wytrzeźwieć, a potem wrócić i błagać o wybaczenie. — Nagle podniósł głowę. — To wyłącznie moja wina. Gdybym nie wyszedł z domu, byłbym tam, gdy ten facet się włamał. Mógłbym...

— Czy pan nie rozumie? Ma pan naturalny pretekst, żeby do niej zadzwonić.

— To znaczy?

— Może pan jej powiedzieć, że przeprasza, i dowiedzieć się, co się dzieje. To oczywisty powód, zbieg nie nabierze podejrzeń. Jest pan pewien, że rozbił wszystkie telefony? Żona nie ma komórki?

— Zabrałem ją. Mam w kieszeni.

— Syn ma telefon?

— Nie.

Andriej z trudem skrywał zadowolenie. Nie musiał się martwić, że Piotr wezwał policję przed przecięciem linii. Nie mogąc zadzwonić, był zdany wyłącznie na siebie.

— Proszę narysować szkic domu.

•••

— Piotrze, rywale Hasana kilka razy próbowali go zabić. Pokój jest ostatnią rzeczą, jakiej pragną. Zbyt wiele pieniędzy płynie na podkładanie bomb w samochodach na targowiskach i strzelanie z ukrycia do żołnierzy izraelskich na patrolach.

Co tydzień rozprowadzane są papierowe torby z gotówką z datków zbieranych na całym świecie, miliony od sympatyków, którzy myślą, że sprawa dotyczy kraju czy religii, podczas gdy chodzi również o ludzi, którzy mają bardzo specyficzny zawód — specjalizują się w szerzeniu przemocy i zadawaniu śmierci. Przez dziesięciolecia był to jedyny zawód, jaki znaliśmy. Gdyby nastąpił pokój, skąd wzięliby papierowe torby z gotówką? Hasan ma zdumiewający wpływ na swoich zwolenników, ale jest wątpliwe, żeby doprowadził do pokoju. Mimo wszystko rywale obawiają się wzrostu jego wpływów i chcą mieć pewność, że poniesie porażkę.

Gdy Hasan się dowiedział, że jego żona jest w ciąży, zaczął się bać o jej bezpieczeństwo. Wysłał ją do Stanów Zjednoczonych. Od lipca mieszkała w ukryciu w Santa Fe, gdzie jest mała diaspora muzułmańska wierna sprawie Hasana. W listopadzie przyjechał tu potajemnie, żeby nadzorować ostatnie etapy ciąży i odebrać dziecko. Ale żałował, że kazał żonie się ukryć. Uświadomił sobie, że nie może prosić zwolenników o poświęcenie, jeśli on i jego rodzina nie będą gotowi zrobić tego samego. Gdy tylko dziecko będzie dość silne do podróży, Hasan planuje wrócić do Strefy Gazy. Chce stanąć przed zwolennikami i podnieść swoje dziecko jako symbol nadziei. Zamierza nazwać je dzieckiem pokoju i powiedzieć, że wszyscy rodzice mają dzieci pokoju. Jego rywalom zależy na tygodniowych wypłatach gotówki tak bardzo, że zrobią wszystko, aby uniemożliwić mu zdobycie kolejnych sympatyków.

•••

W ciemności Kagan przeszukał szafkę pod kuchenką i znalazł drugi garnek. Napełnił go wodą, postawił na kuchence i włączył palnik.

— Po co gotujesz wodę? — zapytała Meredith. — Dziecko ma dość mieszanki.

— Czasami wrząca woda się przydaje.

— Do czego? Czy twoja rana wymaga oczyszczenia?

— Masz folię aluminiową?

— Po co ci... — Meredith nie dokończyła i ze zdezorientowaną miną wskazała na lewo od kuchenki. — Środkowa szuflada.

Kagan otworzył szufladę, wyjął pudełko, oddał dwa kawałki folii i zmiął je lekko.

— A klej szybkoschnący?

Pomimo konsternacji, tym razem o nic nie spytała.

— Szuflada niżej.

— Dzięki. — Kagan wysunął szufladę i z zadowoleniem zobaczył dużą plastikową tubkę kleju, prawie pełną.

Podszedł do mikrofalówki, która stała na ladzie na prawo od kuchenki. Lada znajdowała się tuż przy kuchennych drzwiach prowadzących na zewnątrz. Otworzył mikrofalówkę, włożył do środka dwie zmięte kule folii, pomiędzy nimi położył tubkę z klejem i nastawił zegar na dwie minuty.

— Czekać — przestrzegła Meredith. — Włączanie mikrofalówki z czymś takim nie jest bezpieczne.

— Niczego nie ruszaj. Nie przestawiaj zegara. — Kagan obrócił mikrofalówkę przodem do drzwi.

Jego skafander leżał na ladzie. Wyjął pistolet z prawej kieszeni, rozciętej, żeby zmieścił się tłumik przykręcony do lufy.

Nawet w półmroku było widać, że Meredith wytrzeszczyła oczy. Kagan wyobrażał sobie, jakie wrażenie zrobił na niej pistolet. Z cylindrem na lufie wyglądał groteskowo.

— Miałeś to przy sobie przez cały czas? — zapytała.

— Chwila wydaje się mało odpowiednia, żeby o tym mówić.

— Mógłbyś nas zabić, gdybyś chciał.

— Fakt, że nie groziłem ci bronią, powinien cię przekonać, że istnieje wielka różnica pomiędzy mną a ludźmi na zewnątrz.

— O ile jeszcze tam są.

Kagan pozwolił jej czerpać pociechę z tej myśli.

— Nie lubię pistoletów — powiedziała.

— Ja też nie mam bzika na ich punkcie, ale czasami bywają pomocne. Szczerze mówiąc, ten może się przydać. Czy twój mąż ma strzelbę?

— Ted nie jest myśliwym.

— Niektórzy ludzie trzymają coś takiego w domu na wypadek włamania.

— Nie my. Nie broń. Zwłaszcza nie z Cole'em. I nie z...

Kagan domyślił się, jak miał brzmieć ciąg dalszy: Nie z problemem alkoholowym Teda.

Odruchowo sięgnął do lewej kieszeni skafandra i znalazł tylko podarty materiał. Rozpoczął noc z dwoma zapasowymi magazynkami, ale wypadły razem z telefonem, gdy kieszeń została rozdarta w czasie ucieczki.

Mam tylko amunicję w pistolecie, pomyślał. Piętnaście naboji w magazynku plus jeden w komorze. Niewiele.

— Gdzie trzymasz pojemniki ze środkami w aerozolu? Do czyszczenia okien, mebli, coś takiego.

Meredith znów powstrzymała się od pytań.

— W szafce nad lodówką.

Kagan otworzył szafkę i wyjął cztery pojemniki. Dwa postawił przy kuchennych drzwiach.

Dziecko zakwiliło.

Trzymając dwie pozostałe puszki, Kagan podszedł do kosza na pranie i spojrzał na dziecko. Miał nadzieję, że nie zacznie płakać.

— Tylko śni — powiedziała Meredith.

— Niemowlęta śnią?

— Czy Światowa Organizacja Zdrowia nie powiedziała ci tego?

Kagan popatrzył na nią.

— Przepraszam — szepnęła, odwracając wzrok.

— Humor zawsze jest mile widziany. Podnosi morale. — Jeszcze raz zerknął na niemowlę. —

Dziwne, jakie sztuczki płata umysł.

— Sztuczki?

— Na Canyon Road, gdy uciekałem przed pościgiem, dziecko kopało mnie od czasu do czasu. Byłem oszołomiony do tego stopnia, że prawie wierzyłem, że mnie prowadzi, mówi mi, w którą mam iść stronę, jakby chciało, żebym przyszedł tutaj.

— Jak powiedziałeś, byłeś oszołomiony.

W tle Rosemary Clooney śpiewała: Będę w domu na Boże Narodzenie.

Kagan odetchnął głęboko.

— Chyba lepiej wezmę się do roboty. — Wsunął pistolet za pas, przygarbił się i ostrożnie wszedł do salonu.

Na lewo od wejścia znajdował się kominek w stylu Południowego Zachodu, podobny do tego w

holu jego hotelu. Komora paleniskowa, umieszczona stopę nad podłogą, miała owalny otwór i zakrzywione boki. Płomienie przygasły, więc było mało prawdopodobne, że ktoś dostrzeże go w blasku żaru. Spojrzał w drugą stronę, czując, jak pistolet wbija się w prawy bok. Pośrodku cienistego pokoju naprzeciwko okna stał wielki skórzany fotel.

— Radzisz sobie, Cole?

— Trudno patrzeć na coś tak długo. — Głos chłopca płynął z drugiej strony oparcia fotela. — Wciąż nie złapałem niczego przez radio.

— Radzisz sobie wspaniale. Niebawem zajmę twoje miejsce.

Pod ścianą w głębi stała choinka. Pochylając się nisko, Kagan podszedł i wyłączył lampki.

Jest dość późno, zdecydował. Zgaszenie światełek nie wyda się niezwykle.

Drzwi frontowe były na prawo od okna. Podczołgał się do nich i sprawdził, czy są zamknięte na klucz. Potem postawił przy nich dwa pozostałe pojemniki z aerozolem.

Wrócił na tyły pokoju. Z otwartych drzwi na prawo od kominka płynęła piosenka Rosemary Clooney. W gabinecie znalazł trzy monitory i klawiaturę na stole. Pod stołem stał komputer. Pomimo ciemności miał wrażenie, że otaczają go półki z elektroniką.

— Meredith, czemu tu jest tyle sprzętu?

— Ted projektuje strony WWW dla firm. Czasami pracuje jednocześnie nad trzema projektami.

Kagan poczuł iskierkę nadziei.

— W takim razie mamy dostęp do Internetu. Możemy wysłać e-mail z prośbą o pomoc.

— Nie. Ted zabezpieczył hasłem dostęp do Internetu. Nie wiem jakim.

Podniecenie Kagana przygasło.

— Ted myśli o wszystkim.

Zobaczył iPoda podłączonego do stacji dokującej i zestaw głośników. To było źródło muzyki. Teraz Rose-mary Clooney śpiewała, że może tylko marzyć o powrocie do domu na Boże Narodzenie. Gdy wyłączył głośniki, w domu zapadła cisza, maćona tylko przez trzask węgla w kominku i cichy szmer telewizora w pokoju Cole'a, znajdującym się w głębi korytarza.

Kagan sprawdził, że drzwi na tyłach gabinetu rzeczywiście są zamknięte na klucz. Skrywały go zaciągnięte zasłony, gdy pchnął stół pod okno. Stół sięgał do połowy drzwi i stanowił barykadę. Zabolęła go zraniona ręka, gdy podniósł krzesło i postawił obok monitorów na stole. Intruzi mogą wytluc szyby i pokonać przeszkody, ale nie szybko, nie bez hałasu, nie bez ryzyka obrażeń.

W trakcie pracy Kagan wciąż się martwił, że jeśli Meredith mu nie ufa, może skorzystać z okazji, żeby zabrać Cole'a i uciec z domu. W tej chwili mogli otwierać boczne drzwi. Wyjrzał z gabinetu i zerknął w prawo, w stronę kuchni, gdzie zobaczył sylwetkę kobiety. Patrzyła na dziecko w koszu.

Może zrobi to za chwilę, pomyślał. Jeśli zniknę z pola widzenia na dłuższy czas, pewnie zbierze się na odwagę, by zabrać syna i uciec. I dziecko — prawdopodobnie zabierze dziecko.

Mógł się tylko modlić, że Meredith nie ulegnie lękom

i nie zabije ich wszystkich.

• • •

Mogę zrobić to teraz, pomyślała Meredith.

W ciemnej kuchni jedynym źródłem światła był płomień kuchenki i zegar mikrofalówki. Nieznajomy włożył do mikrofalówki dwa kawałki zmiętej folii aluminiowej i tubkę kleju szybkoschnącego i ustawił ją naprzeciwko bocznych drzwi.

Meredith wciąż miała w pamięci obraz groteskowego pistoletu z długą lufą, który wsunął za pas. To przyprawiło ją o drzenie.

Nogi stołu zazgrzytały w gabinecie Teda. Z jakiegoś powodu nieznajomy przestawiał meble. Barykaduje okno? — zastanowiła się. Mogę to zrobić, póki jest zajęty. Mogę zabrać Cole'a i zabrać dziecko. Damy radę uciec. Nic nie wiem o tym człowieku. A jak ukradł dziecko rodzicom? Może

szuka go policja. Może postrzelił go policjant.

Zdołam to zrobić, powtórzyła w duchu. Mogę zrobić (o teraz).

Obserwując dziecko, wyobraziła sobie, jak wchodzi do salonu i przykłada palec do ust, prosząc Cole'a o zachowanie milczenia. Skinie, żeby poszedł za nią. Szybko podniesie dziecko, otworzy drzwi i wybiegnie z synem w noc.

Nie zdążą zabrać płaszczy. W padającym śniegu przytuli dziecko do siebie, osłoni je kocykiem. Nie zaryzykuje, żeby wstąpić do sąsiada i prosić o pomoc. Nieznajomy mógłby ich dogonić. Przebiegnie z Cole'em całą drogę do Canyon Road.

Tam będziemy bezpieczni, pomyślała. Czy Cole zdoła biec tak daleko? Może nie będziemy dość szybcy.

Zastanowiła się, czy nieznajomy będzie do nich strzelał. Wzdrygnęła się na myśl o bólu, gdy kula uderzy ją w plecy. A może nic nie poczuje, tylko zginie na miejscu.

Nie, zdecydowała. Wiedziała na pewno tylko jedno: dziecko jest ważne dla tego człowieka. Sposób, w jaki o nim mówił. Sposób, w jaki na nie patrzył. Nie zrobi niczego, co naraziłoby je na niebezpieczeństwo.

Czy zatem uważanie go za porywacza jest logiczne?

Usłyszała, jak hałasuje w biurze Teda, jakby coś ciął. Co tam robi? Gdy dźwięki nie cichły, pomyślała, że to idealna okazja.

Zrobiła krok w stronę pokoju, gotowa podejść do Cole'a, ale przypomniała sobie, jak mężczyzna spojrzał na nią i powiedział: „Obiecuję, że Ted więcej cię nie uderzy”. Coś w jego spojrzeniu, w krzepiącym tonie, w zdecydowanym wyrazie twarzy przekonało ją, że mówił poważnie.

„Nie lubisz prezentów niespodzianek? — zapytał. — Pomóż dziecku, a obiecuję, że Ted więcej cię nie uderzy”.

Nie powiedział: „Pomóż mi”. Powiedział: „Pomóż dziecku”. Nie, zdecydowała, ten człowiek pod żadnym pozorem nie skrzywdzi niemowlęcia. Możemy uciekać bez obaw, że zacznie strzelać.

W gabinecie Teda odgłosy cięcia ustąpiły dźwiękom piłowania.

To nasza szansa! — pomyślała Meredith.

A jeśli powiedział prawdę? Jeśli na zewnątrz rzeczywiście są ludzie, którzy zrobią wszystko, żeby zabrać dziecko? Jeśli wyjdziemy z domu, możemy wpaść prosto na nich. Nie mogę ryzykować. Nie mogę narażać życia Cole'a.

„Obiecuję, że Ted więcej cię nie uderzy”.

Była przekonana, że nieznajomy dotrzyma obietnicy, ale wierzyła też w coś innego. Z powodu krótszej prawej nogi dorośli czasami traktowali jej syna tak, jakby nie był mądry albo nawet jakby nie przebywał z nimi w jednym pokoju. Ale nieznajomy patrzył mu prosto w oczy i mówił do niego, jakby chłopiec miał więcej niż dwanaście lat. Poprosił go o obserwowanie okna. Powierzył mu radio, żeby nasłuchiwał głosów. Szacunek, z jakim traktował jej syna, nie pozostawiał wątpliwości, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nikt Cole'a nie skrzywdził.

• • •

Pistolet nie był jedyną bronią, jaką nosił Kagan.

Czarna metalowa klamerka na zewnątrz prawej kieszeni spodni ledwo się odznaczała na tle czarnego materiału. Przymocowana do ukrytego w kieszeni składanego noża Emersona, ułatwiała złapanie go bez szukania. Gdy Kagan wyjmował nóż, haczyk na grzbiecie ostrza zahaczał o skraj kieszeni i otwierał je. Doskonale wiedział z doświadczenia, że umiejętność otwierania noża jedną ręką może ocalić życie.

Podszedł do lampy na biurku, wyciągnął wtyczkę i przycisnął ostrze do przewodu. Bez kłopotu przeciął gumową powłokę, ale miedziane druty stawily opór i musiał mocno naciskać, bardziej, piłując niż tnąc. Ignorował ból w rannej ręce, którą trzymał przewód na stole.

Po odcięciu sznura przywiązał go do nogi krzesła, przeciągnął na wysokości łydki przez gabinet i

okręcił wokół ciężkiej skrzynki na dolnej półce. Na szczęście był ciemny. Jeśli intruz wedrze się przez okno i pokona przeszkody na stole, będzie taki zadowolony, że stoi na podłodze, iż może nie zauważyć przewodu w mroku.

— Meredith, mówiłaś, że na tyłach jest ogród?  
Słyszając jej głos płynący z kuchni, Kagan odetchnął z ulgą. Została w domu.

— Mały. Suche powietrze na tej wysokości sprawia, że trudno cokolwiek uprawiać, trzeba ciągle podlewać.

— Łatwo się tam dostać? Są furtki po bokach?

— Nie. Po prostu można wejść od tyłu.

— Albo przez płot sąsiada? — Kagan uczepił się tej myśli. — Może sąsiedzi zauważą intruza i wezwą policję.

— Nie dzisiaj. Pojechali z wizytą do chorej krewnej w Albuquerque. Para po prawej uwielbia grać w blackjacka. Wybrali się do jednego z tych indiańskich kasyn.

Kagan przypomniał sobie jazdę na północ do Santa Fe z wielkiego lotniska w Albuquerque. Zdawało się, że co dwadzieścia mil stoi indiańskie kasyno.

— Krupierzy blackjacka są pewnie przebrani za Świętych Mikołajów, ale śmiem wątpić, czy kierownicy sal uważają, że lepiej dawać, niż dostawać — zauważył.

Chciał zażartować, żeby uspokoić zdenerwowaną Meredith. Ogród przypomniał mu o halucynacjach, jakich doznał w drodze do tego domu.

— Meredith, zdawało mi się, że w śniegu przy wejściu rosną kwiaty.

— Rosną.

— Zimą? — Kagan starał się mówić lekkim tonem, żeby się odprężyła. — Jak to możliwe? Dlaczego nie zmarzły?

— To tak zwana róża Bożego Narodzenia.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Czując nacisk w skroniach, Kagan kucnął, wyszedł z gabinetu i skręcił w lewo, przesuwając się wzdłuż korytarza. Minał łazienkę po prawej. Potem, naprzeciwko pokoju Cole'a, wszedł do sypialni jego rodziców.

Pomimo panujących tu ciemności zdołał zobaczyć dwa okna, jedno wprost nad łóżkiem, drugie na prawo od niego. Zaslony były zaciągnięte.

Na łóżku leżały walizki.

— Planowałaś wyjazd? — zapytał.

— Jak najdalej od męża, gdy tylko otworzą Canyon Ko ad dla mchu kołowego.

— Pewnie żałujesz, że nie wyszłaś wcześniej.

— Wtedy ominęłaby mnie cała ta wigilijna zabawa.

— Tak, niezła impreza.

Postawił krzesło na łóżku obok walizek, potem dołożył jeszcze szafkę nocną i dwie lampki, piętrząc przeszkody, które mogły zatrzymać kogoś, kto wedrze się przez to okno. Przesunął wysoką komodę przed drugie okno, częściowo przysłaniając szybę i utrudniając włamanie się do domu. Podszedł do lampy, wyciągnął wtyczkę i odciął sznur. Przywiązał go do nogi szafy przy drzwiach i przeciągnął do toaletki, zastawiając kolejną pułapkę.

W sąsiadującej z sypialnią łazience zobaczył w nocnym świetle pojemnik z lakierem do włosów w aerozolu i drugi z pianką do golenia. Wyszedł z sypialni i ustawił oba na końcu korytarza.

Kiedy zakradł się do pokoju Cole'a, w małym telewizorze Bing Crosby śpiewał cicho Białe Boże Narodzenie grupie żołnierzy w gospodzie. Tylina ściana się otworzyła, odsłaniając widok na zaśnieżony most nad potokiem. Przejechały zaprzężone w konia sanie. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych.

Kagan wyłączył telewizor.

Pokój Cole'a miał tylko jedno okno — od frontu. Kagan przepchnął przed nie komodę, ale nie była



taka wysoka jak tamta w sypialni rodziców. Musiał postawić na niej telewizor, żeby zatarasować okno.

Odciał trzeci sznur. Potem wysunął szuflady z komody i rozstawił je na podłodze. Podobnie postąpił z szufladami komody w sypialni rodziców. Wyjął też te z toaletki i ułożył tu i ówdzie w korytarzu.

Pistolet mocniej wbił się w jego bok, gdy skulony wrócił do kuchni. Płomyk pod garnkiem z wodą zapewniał tylko odrobinę światła.

— Powiedziałaś, że to róża Bożego Narodzenia? — Bliski utraty sił, opadł na krzesło i oddychał mywaniem.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Meredith.

— Nie mogłoby być lepiej — skłamał. — Opowiedz mi o róży Bożego Narodzenia.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Wierz mi, nie prosiłbym, gdybym nie chciał.

— To roślina zimozielona.

Kagan pokiwał głową, zachęcając ją do kontynuowania.

— W niektórych częściach Europy łatwo ją hodować zimą. Przystosowuje się do chłodu i często kwitnie w okresie Bożego Narodzenia. Ma duże białe kwiaty.

— A zatem nie miałem halucynacji.

— Jest nawet związana z nią legenda.

— Opowiedz.

— Mała dziewczynka zobaczyła dary, jakie Trzej Królowie przynieśli Dzieciątku Jezus: złoto, kadzidło i mirrę.

— I? — Kagan chciał, żeby mówiła.

— Dziewczynka zapłakała, bo nie miała niczego, co mogłaby podarować. Wtedy pojawił się anioł, odgarnął śnieg z ziemi i dotknął odsłoniętej gleby. Dziewczynka zobaczyła, że w miejscu, gdzie spadły jej łzy, wyrosły białe kwiaty. Teraz miała podarunek dla Dzieciątka: różę Bożego Narodzenia.

Kagan zebrał siły i wstał. Zachowując bezpieczną odległość od okna kuchennego, wypatrywał cieni poruszających się w padającym śniegu.

— Białe kwiaty. To zobaczyłem.

— W Los Angeles lubiłam zajmować się ogrodem — podjęła Meredith. — Słyszałam o różach Bożego Narodzenia, ale nigdy nie mogłam ich wyhodować. Kiedy przeprowadziliśmy się tutaj, pomyślałam o nowym starcie, o którym ci wspominałam, i postanowiłam spróbować jeszcze raz. Pracownik w miejscowej szkółce powiedział, że tracę czas, bo kwiatom nie odpowiada luźna, skalista gleba, jaką tu mamy. Ale chyba pomyślałam, że jeśli zdołam je wyhodować, to będzie znak świadczący, iż Ted i ja naprawdę zostawiliśmy nasze kłopoty za sobą. Niezupelnie cud, ale coś w tym rodzaju, i róża Bożego Narodzenia naprawdę zakwitła. To...

Głos jej się załamał.

— Przepraszam — powiedział Kagan.

— Pewnie to po prostu uparty kwiat. Jutro wyjadę z Cole'em. — Znaczenie tych słów ją przybiło. — Jutro.

Pozwól jej mieć nadzieję, pomyślał Kagan.

— Rano ci pomogę.

•••

W padającym śniegu Brody pochylił się i palcem w rękawiczce wyrysował plan domu.

— Od frontu po prawej jest pokój Cole'a. Obok łazienka. — Wskazał drzwi w korytarzu. — Tu salon.

Andriej, Michaił i Jaków stali przy nim, przyglądając się niewyraźnym liniom na śniegu.

— A na tyłach? — ponaglił Andriej.

— Główna sypialnia po prawej — odparł Brody. — Obok łazienka, do której można wejść tylko z sypialni. I mój gabinet, na tyłach salonu.

— Kuchnia jest po lewej, gdy się patrzy od frontu? Co jest za nią? — zapytał Andriej.

— Pralnia i następna łazienka.

Mnóstwo łazienek, pomyślał Andriej. Choć od dziesięciu lat mieszkał w Stanach, wciąż nie mógł się przyzwycząić do tych wszystkich łazienek. Gdy był mały, on i jego matka dzielili jedną z sześcioma innymi rodzinami.

— Proszę pokazać, gdzie są wszystkie okna.

Brody spełnił polecenie.

— Czy na tyłach — zaczął Andriej — jest coś, na czym ktoś z naszego zespołu mógłby stanąć i zajrzeć do środka? Zobaczyć, co się tam dzieje?

Brody wskazał miejsce za domem.

— Ceglany taras z daszkiem. Jest tam grill, metalowy stolik i metalowe krzeselka. Można postawić krzesło pod oknem i stanąć na nim.

— Dobrze. Teraz niech pan pokaże wszystkie drzwi na zewnątrz.

Brody dodał je do planu.

— Mam nadzieję, że anty terroryści, gdy w końcu się zjawią, nie przypuszczą ataku. Jeśli dojdzie do strzelaniny, Meredith i Cole mogą...

— Nie ma obawy. Nasi ludzie to zawodowcy. Nie strzelają na chybił trafił. Sprawdzają, czy mają właściwy cel, i nie pociągają za spust, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

— Jeśli coś się stanie mojej żonie i synowi... Co zrobił ten facet?

— Napadł na sklep monopolowy.

— To znaczy, że ma broń?

— Proszę ciszej, panie Brody. Tak, podejrzewamy, że jest uzbrojony.

Brody jęknął.

— Gdyby mnie nie poniosło... gdybym nie zostawił ich samych... — Jakaś myśl przydała mu siły. — Może posłucha głosu rozsądku. Może będziecie mogli negocjować i nie dopuścicie, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

— Trudno negocjować bez telefonu. Ale może jest inna ewentualność...

Brody zrobił krok w jego stronę.

— Jaka?

— To ryzykowne.

— Proszę mi powiedzieć.

— Niewykluczone, że nie miałem racji — zaczął Andriej.

— O co panu chodzi? Z czym nie miał pan racji?

— Nie wpuszczając pana do domu.

Brody z konsternacją pokręcił głową.

— Ale powiedział pan, że jeśli tam wejść, nic dobrego z tego nie wyniknie. Zostałbym kolejnym zakładnikiem.

— Tak sądziłem, zanim powiedział mi pan o zepsutych telefonach. Musimy z nim negocjować, a pan się idealnie do tego nadaje. Ma pan powody, żeby wejść do domu. Gdy pańska żona wyjaśni, kim pan jest, bandyta nie będzie podejrzewał, że pracuje pan z nami. Detektyw Hardy wyposaży pana w miniaturowy mikrofon i słuchawkę.

— Słuchawkę?

— Coś w rodzaju zatyczki do uszu, która działa jak odbiornik radiowy. Mikrofon pozwoli nam słyszeć wszystko, co pan powie, i być może również słowa bandyty. Przez słuchawkę będę przekazywał panu instrukcje.

— Jakie?

— To, na co ma pan zwracać uwagę. Do tej pory pewnie obmyślił jakiś system obrony.

Pułapki. Wypadnie naturalnie, jeśli da pan wyraz zdziwieniu na widok czegoś niezwykłego. Pańskie pytania nie wzbudzą podejrzeń. Dzięki temu antyterrorysty uzyskają lepszy obraz sytuacji, jeśli będą musieli wkroczyć.

— Wkroczyć? — Brody znów się przestraszył. — To znaczy, że wyłamią drzwi i...

— Pewnie do tego nie dojdzie. — Andriej rozłożył ręce w uspokajającym geście. — Jest pan bystrym człowiekiem. Może zdoła go pan nakłonić, żeby pozwolił wszystkim odejść.

Brody przemyślał jego słowa.

— Tak — powiedział z nadzieją. — Spróbuję go przekonać, żeby posłuchał głosu rozsądku.

— Właśnie.

— A jeśli się nie zgodzi?

— Zawsze mamy plan awaryjny. W takim wypadku, jeśli nie puści pana i pańskiej rodziny, mikrofon i słuchawka umożliwią mi bezpośrednio negocjacje.

Przez chwilę mężczyzna milczał, jakby sparaliżowany przez dylemat.

— Naprawdę wierzy pan, że się uda? — zapytał w końcu.

— Podejrzany wielokrotnie był aresztowany za napady, ale nigdy nikogo nie zastrzelił. Nie wiem, czy będzie tak głupi, żeby zacząć teraz. Istnieją spore szanse, że wszystko dobrze się skończy. Pytanie, czy chce pan uratować żonę i syna?

— Czy chcę ich uratować? Do diabła, przeze mnie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Gdybym się nie upił i nie stracił panowania nad sobą, wszyscy bawilibyśmy się na przyjęciu.

Andriej pocieszająco poklepał go po ramieniu.

— Może więc nadszedł czas, żeby postąpić jak należy.

• • •

— Piotrze, dzień po Bożym Narodzeniu Hasan, jego żona i nowo narodzony syn polecą prywatnym odrzutowcem na Bliski Wschód.

Ale Hasan postanowił sprawić żonie prezent, ostatni luksus na długi czas — cztery dni w apartamencie w hotelu na Plaża w Santa Fe. Niemowlę ma trzech ochroniarzy i opiekunkę. Wiedząc, że dziecko jest pod dobrą ochroną, żona będzie mniej nerwowa i bardziej skłonna wyjść z hotelu, żeby obejrzeć słynne świąteczne dekoracje w mieście.

Santa Fe jest stolicą Nowego Meksyku. O ósmej wieczorem w Wigilię Hasan i jego żona pojedą na przyjęcie do rezydencji gubernatora, piętnaście przecznic od hotelu. Tam, wśród licznych kamer telewizyjnych, I Hasan wygłosi płomienną mowę o tym, co chce osiągnąć na Bliskim Wschodzie.

Choć jest muzułmaninem, wykorzysta Wigilię, żeby przemawiać za wzajemnym zrozumieniem i tolerancją. Użyje swojej wyjątkowej elokwencji, by mówić o dziecku pokoju, które przypadkiem jest jego synem, ale reprezentuje wszystkie palestyńskie dzieci. Powie światu, że zabiera nowo narodzonego potomka z powrotem na Bliski Wschód jako symbol swoich nadziei na przyszłość wszystkich dzieci w regionie. Będzie dowodził żarliwie, że jeśli ludzie naprawdę kochają swoje dzieci, zrobią, co w ich mocy, żeby żądać trwałego rozejmu.

Piotrze, Hasan nie zdaje sobie sprawy, że choć strażnicy dziecka są lojalni, opiekunka pracuje dla jego rywali, którzy ani trochę nie są zainteresowani pokojem. Zależy im wyłącznie na pozostaniu w biznesie przemocy, który przynosi im mnóstwo pieniędzy — więcej niż ty czy ja możemy sobie wyobrazić.

Pięć po ósmej jutro wieczorem opiekunka otworzy zasuwki w drzwiach apartamentu. Przyklei z boku paski

plastiku, żeby zatraski nie mogły wsunąć się w futrynę. Podczas gdy Hasan i jego żona będą w rezydencji gubernatora, my wejdziemy do apartamentu, zastrzelimy ochroniarzy i zabierzemy dziecko.

• • •

Kagan przytrzymał się stołu i wstał.

— Cole, zajmę twoje miejsce.

Wypił jeszcze trochę mieszanki, którą przygotowała Meredith. Czuł smak soli i cukru, gdy letni płyn spływał w głąb wyschniętego gardła. Żołądek przyjął napój bez mdłości, jakie pojawiły się wcześniej.

Daj mi dość siły, żebym nie przestał funkcjonować, powiedział w duchu, niepewny, do kogo kieruje te słowa.

W ciemnym pokoju podkradł się do skórzanego fotela. Usiadł, gdy Cole zwolnił miejsce, i skóra zatrzeszczała. Położył pistolet na kolanach, czując jego krzepiący ciężar, i spojrzał przez okno.

Świąteczne lampki nad wieńcem na drzwiach frontowych oświetlały część podwórka. Za dwoma bezlistnymi drzewami rysował się płot kojotów, wysokie do piersi cedrowe słupki kontrastowały ze śniegiem, ale uliczka była niewidoczna. Gdyby nie zagrożenie, które tam czyhało, mógłby porównać widok z tym, który widział jakiś czas temu w telewizji w pokoju Cole'a: Bing Crosby śpiewa Białe Boże Narodzenie, podczas gdy w tle prószy śnieg, tworząc piękną scenerię.

Nagle spostrzegł, że chłopiec wciąż stoi obok niego. Patrzy na pistolet? Czy to jeszcze bardziej go wystraszyło?

— Muszę... — chłopiec był wyraźnie speszony — muszę iść do...

Kagan odprężył się trochę, rad, że chłopiec nie spanikował na widok broni.

— Lepiej skorzystaj z łazienki przy pralni — powiedział. — Rozstawiłem pułapki w korytarzu. Dojście do innych łazienek może być utrudnione. — Kagan nie pamiętał, kiedy ostatni raz ulżył pęcherzowi, ale nie czuł takiej potrzeby. Rana odwodniła go bardziej, niż przypuszczał. — Jak skończysz, przyjdź do pokoju, dobrze?

— No pewnie. Nie chcę być sam.

— Przynies swój kij baseballowy. Nie rozstawaj się z nim. — Kagan zauważył szafkę z dużym telewizorem w lewym kącie od frontu. Cole wspominał o niej wcześniej. — Wyobrażaj sobie, jak wciskasz się za szafkę i siedzisz cicho, jeśli coś się stanie.

— Może nie będę musiał.

— Mam nadzieję. Wygląda na to, że sytuacja odwraca się na naszą korzyść. Ale, jak powiedziałem, szpiegzy nigdy nie przyjmują niczego za pewnik.

— To może być...

— Co może być?

— Chyba nie chcę być szpiegiem — rzekł Cole.

— W tej chwili ja też nie. — Kagan słuchał dźwięku nierównych kroków, gdy chłopiec szedł po ceglanej podłodze do kuchni. — Meredith?

— Tak? — Jej cichy głos płynął zza sklepionego przejścia.

— Przynies tu dziecko, proszę, i usiądź przy nim na podłodze. Bądź gotowa zabrać je do pralni, jeśli usłyszysz, że ktoś próbuje włamać się do domu.

— Jeśli — powiedziała. — Ale może nie przyjdą.

— Zgadza się. Może jednak będziemy mieli spokojną Wigilię.

Kagan nie spuszczał oka z widoku za oknem, skupiając się na płocie i uliczce.

Pomyślał o człowieku, z którym przyjaźnił się na niby. Czy wywiódłem cię w pole, Andrieju? Czy szukasz mnie w pobliżu Canyon Road? Gdy mnie nie znajdziesz, czy wrócisz tutaj, by jeszcze raz rzucić okiem? Często gościłem w twoim domu. Wiele razy jadłem kolację z twoją żoną i córkami. Poprosiłeś mnie o pomoc w wyprawieniu urodzin żony. Raz, gdy byłeś pijany, nazwałeś mnie bratem. Nawet nasza broń jest identyczna: dziesięciomilimetrowe glocki z partii, po którą pachan wysłał nas do handlarza bronią w Marylandzie. Wy próbowaliśmy je na strzelnicy dealera. Wciąż uzyskiwaliśmy taki sam wynik w strzelaniu w głowę. Ponieważ cię zdradziłem, ponieważ cię oszukałem, wiem, że nigdy nie przestaniesz na mnie polować. Jeśli nie dziś, znajdziesz mnie jutro albo innego dnia. Tego jestem pewien.

Kagan pamiętał wiele ich wspólnych misji. Nienawidził siebie za akty przemocy, jakich się dopuszczał, żeby zdobyć zaufanie Andrieja. Dzięki sekretom, jakie poznał, i spiskom, jakie odkrył — wyrzutnie pocisków, plastyczne materiały wybuchowe, broń biologiczna i inna broń terrorystyczna przemykana do kraju — ocalał wiele niewinnych istnień ludzkich.

Ale nie mógł zablokować wspomnień o grzechocie zębów, które wyrwał właścicielowi restauracji i rzucił na podłogę, o spalonych domach, o kobietach bitych na oczach Andrieja i pachana.

Meredith i Cole są niewinni jak ci, których uratowałem. Przeze mnie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Jeśli coś im się stanie...

Hałas w toalecie za kuchnią przerwał mu tok myśli. Szum wody zabrzmiał głośno w ciszy. Usłyszał, jak Cole kuśtyka do pokoju i siada przy ciemnej choince. Kij baseballowy zazgrzytał o podłogę.

— Lubisz grać w baseball, Cole?

— Nie mogę z taką nogą.

— W takim razie po co ci kij?

— Tata mi dał na urodziny. Miał nadzieję, że gdy podrosnę, noga się jakoś wyrówna i będę mógł grać. Po jakimś czasie przestał ze mną ćwiczyć. Ale lubię pomarzyć.

Zaszurał wiklinowy kosz, gdy Meredith wciągnęła go do pokoju. Kagan słyszał, jak sadowi się pod ścianą. Dziecko zakwiliło i umilkło.

Grzeczny malec, pomyślał. Proszę, nie płacz.

— Cole, widziałem prezenty pod choinką.

— Chyba tak.

— Masz jakiś wymarzony prezent?

— Chciałbym, żeby tata przestał pić.

— Cóż, gdy to się skończy, porozmawiam z nim. — Umyślnie powiedział „gdy”, żeby nie stracili wiary w przyszłość i nie upadali na duchu.

— Nie posłucha.

— Zdziwisz się. Umiem przekonywać. Kiedy wspomniałem o prezentach, myślałem, że może jest coś szczególnego, co chciałbyś dostać. Przecież są święta. Jak myślisz, Meredith?

Milczała przez dłuższą chwilę.

— Tak, otwórz coś, Cole — powiedziała cicho. — Nie ma powodu czekać.

Ale Cole nie sięgnął po prezent.

— Cole? — ponaglił Kagan.

— Chyba nie jestem w nastroju.

— Jasne. Rozumiem. Ale gdybyś zmienił zdanie... Pomimo pobudzającego go napięcia Kagan czuł, jak

ciężą mu powieki. Rana i zmęczenie dawały mu się we znaki.

— Meredith, może zrobisz kawę. Z kofeiną, jeśli masz. I cukrem. Przyda mi się cukier.

Usłyszał, jak kobieta wraca do kuchni. n — Cole, czy na stole przy choince widziałem szopkę?

— Szopkę?

— Żłóbek. Figurki Jezusa, Maryi i Józefa. Osiołki, jagnięta i inne zwierzęta, które były w stajence. Pasterze.

— Tak, jest na stole. Trzej Królowie. Zapomniał pan ich wymienić. Stoją obok pasterzy.

— Trzej Królowie, tak. Nie wolno o nich zapominać. W ewangeliiach jest o nich tylko krótka wzmianka, ale są ważniejsi, niż większość ludzi zdaje sobie sprawę.

Ogarniało go znużenie, gdy tak siedział w ciemności. Jednocześnie jego serce biło w denerwującym tempie, huczało mu w uszach i tracił energię. Musiał coś zrobić, żeby powstrzymać płuca od łapczywego, coraz szybszego i głębszego zasysania powietrza, gdyż to wyczerpie go jeszcze bardziej.

Użył rytmu strzelca, licząc do trzech, gdy kolejno wstrzymywał oddech, powoli robił wdech, zatrzymywał powietrze w płucach i wydychał je powoli.

Jak na ironię, potrzebował kawy, która przyspieszy bicie serca. Widział, że bez środka pobudzającego zabraknie mu adrenaliny, a wówczas dojdzie do katastrofy.

Nie mogą pozwolić, żeby Meredith i Cole dostrzegli, co się ze mną dzieje. Muszę rozpraszać ich uwagę, pomyślał.

Trzej Królowie.

Wspomnienia zabrały go czternaście lat w przeszłość, do Akademii Przemysłowej Rocky Mountain, tajnego szpiegowskiego ośrodka szkoleniowego w górach pod Fort Collins w Kolorado. Przypomniało mu się coś, co usłyszał od jednego z instruktorów, Roberta McCaddama, legendarnego szefa siatki szpiegowskiej, który, jak wieść niesła, kiedyś był księdzem jezuickim.

McCaddama, mającego wówczas siedemdziesiąt pięć lat, bawiło znajdowanie nawiązań do szpiegostwa we wszelkiego rodzaju sytuacjach. Przed Bożym Narodzeniem lubił stawać przy kominku, zapalał fajkę i opowiadał to, co nazywał prawdziwą historią tego wydarzenia.

— Cole, coś ci opowiem. Posłuchasz? Wprawi nas w świąteczny nastrój.

— Co takiego? — Głos Cole'a zdradzał powątpiewanie, czy cokolwiek może go wprawić w świąteczny nastrój.

— O Trzech Królach. — Kagan zagryzł wargę, żeby zapanować nad bólem w sztywniejącej ręce. — Ale najpierw musisz zrozumieć, że tak naprawdę nie byli oni królami.

— A kim?

— Będziesz zaskoczony.

## **CZĘŚĆ TRZECIA TRZEJ KRÓLOWIE**

— W Nowym Testamencie tak zwani Trzej Królowie są wspomniani tylko raz, na początku Ewangelii św. Mateusza — powiedział Kagan.

Patrzył w okno, wypatrując ruchu w padającym śniegu.

— Cole, czytałeś historię narodzin Chrystusa w Biblii? Chłopiec milczał.

— A może słyszałeś, jak ktoś czyta tę część Ewangelii Mateusza w kościele?

— Obawiam się, że dawno już nie byliśmy w kościele. — Meredith mówiła cicho, wciąż zajęta parzeniem kawy w kuchni.

— Na pewno nie dawniej niż ja — odparł Kagan. Rozminął się z prawdą — powiedział to tylko dlatego,

żeby podtrzymać więź. Po południu spędził godzinę w katedrze w Santa Fe, oglądając stajenkę. Z zamętem w głowie, próbował zadecydować, co zrobić.

— Wzmianka o Trzech Królach jest bardzo krótka.

Tylko kilkadziesiąt zdań. To zdumiewające, gdy weźmie się pod uwagę, ile napisano o nich od tamtego czasu. Aby zrozumieć, kim byli naprawdę, trzeba uświadomić sobie, że Ewangelia Mateusza została napisana po hebrajsku albo grecku. Na przestrzeni dziejów tłumaczono ją na

mnóstwo innych języków. Zakradły się zmiany. W angielskiej wersji słowo „królowie” pojawiło się całe stulecia później. Gdy językoznawcy próbują określić znaczenie pierwotnych słów, większość tłumaczy je jako „astrologowie” albo „magowie”.

Czując suchość w ustach z powodu napięcia i odwodnienia, Kagan słuchał, jak Meredith wlewa wodę do ekspresu.

— Nazywanie ich astrologami ma sens, bo twierdzili, że podążają za gwiazdą. Ale ja wolę zwać ich magami. Czy znasz to słowo, Cole?

— Niezupełnie.

— Są z nim spokrewnione słowa „magia” i „magik”.

Kagan usłyszał, że oddech chłopca zdradza rosnące

zainteresowanie. Pochylił się, skupiając wzrok na czymś, co przemknęło w śnieżnej mgłę za płotem, ale uznał, że mu się zdawało. Przynajmniej taką miał nadzieję.

— Ewangelia mówi, że przybyli ze Wschodu. Jeśli spojrzysz na mapę i weźmiesz pod uwagę ówczesne wydarzenia, dojdiesz do wniosku, że najprawdopodobniej pochodzili z Persji. Dziś kraj ten zwie się Iranem. Słyszałeś o Iranie, Cole?

— Czasami słyszę. Gdy mama i tata oglądają wiadomości w telewizji.

— Ten kraj wywarł ogromny wpływ na historię. Dziś kojarzy się nam z napięciem i przemocą. Dwa tysiące lat temu sytuacja niewiele się różniła. Zasadniczo Persja chciała przejąć kontrolę nad otaczającym ją obszarem, w tym nad Izraelem, gdzie niedługo miał się narodzić Jezus. Persowie nie najechali Izraela tylko dlatego, że cesarstwo rzymskie uznało te ziemie za swoje. Zaatakowanie Izraela równałoby się napaści na Rzym, a to był zły pomysł. Persowie czasami przekraczali granice i atakowali wioski, próbując skłonić rzymskich żołnierzy do pościgu, aby zwabić ich w zasadzkę. Ale nie mieli środków na zmasowany atak, dlatego uciekli się do innej taktyki, najstarszej i niezawodnej, znacznie bardziej skutecznej niż bitwa — wysłali szpiegów.

— Szpiegów? — zapytał Cole.

Kagan znów spojrzął ze zmarszczonymi brwiami na coś, co wyglądało na cień poruszający się w padającym śniegu. W chwili gdy skupił spojrzenie na uliczce za płotem, cień rozplątał się jak miraż.

— Magowie byli kapłanami o ogromnych wpływach politycznych. Za ich współczesnych irańskich odpowiedników zapewne można uznać ajatollahów. Wiele razy słyszałeś tę nazwę w wiadomościach. Ale w starożytności wierzono, że magowie mają tajemną, potężną wiedzę, równoznaczną z magią.

Ewangelia Mateusza nie wspomina, ilu dokładnie

magów przybyło do Izraela. Tradycja wymienia trzech, bo w Ewangelii przynoszą trzy dary Dzieciątku Jezus. Z uwagi na okoliczności byłoby niemądrze, gdyby w większej liczbie wyruszyli w drogę. Im mniej, tym lepiej. Woleli nie przyciągać uwagi.

Kagan poczuł aromat parzonej kawy. Usta mu zwilgotniały.

— Poza sceną ze żłóbkiem, Cole, co ci przychodzi do głowy, gdy myślisz o magach?

— W telewizji albo na obrazkach, które oglądałem, jadą na wielbłądach ku wielkiej, jasnej gwiazdzie w oddali.

— Zgadza się. Niektórzy ludzie snują teorie, że w rzeczywistości była to kometa, a może zdarzające się czasami skupienie planet, dające światło jaśniejsze niż zwykle. A może naprawdę była to gwiazda, która eksplodowała. Cokolwiek to było, dostrzegasz jakiś problem związany z próbą podążania za gwiazdą?

Cole rozważył pytanie.

— Gwiazdy się poruszają.

— Jesteś bardzo spostrzegawczy.

— Nigdy ich nie widziałem, gdy mieszkaliśmy w Los Angeles. Tam jest tyle latami na ulicach, że nie widać nieba. Ale tutaj niebo jest czyste, widać wszystkie gwiazdy. Moją ulubioną konstelacją jest Orion, z gwiazdami ustawionymi w kształt miecza. Ale o różnych porach jest w



różnych miejscach.

— Zgadza się. Poza paroma tak zwanymi gwiazdami stałymi, z których jedną jest Gwiazda Polarna, ciała niebieskie przesuwały się nad horyzontem. Najpewniej w trakcie wędrówki przez pustynię magowie kierowali się Gwiazdą Polarną. Nie mogli liczyć, że kometa, grupa planet czy eksplodująca gwiazda wskażą im drogę, bo ich położenie zmieniałoby się w ciągu nocy. W zależności od pory światło mogło płonąć wysoko nad ich głowami albo wskazywać kierunek przeciwny do tego, w którym podążali. Tylko cud mógłby utrzymać je w tym samym miejscu, żeby wskazywało im drogę. Nie mówię, że to nie był cud, ale nie tego dotyczy historia. Magowie musieli mieć inny powód, by wędrować przez pustynię po nocy. Nasuwa się pytanie jaki.

— Aby uniknąć gorąca za dnia.

— Dobra odpowiedź.

— W szkole omawialiśmy pogodę, epoki zlodowaceń i tak dalej, żeby się dowiedzieć, czy naprawdę zmienił się klimat. Nauczyciel mówi, że dawniej pustynie pewnie były mniej gorące niż dzisiaj.

— Czytałem to samo. — Kagan skupił się na śniegu za oknem. — Przypuśćmy, że wędrówka przez pustynię za dnia nie była równie niebezpieczna jak dzisiaj. Z jakiego innego powodu magowie chcieliby podróżować nocą? Na wielbłądach. Co najmniej przez miesiąc. W ciemności wielbłąd łatwo mógł się potknąć i złamać nogę. To zdecydowanie byłoby niebezpieczne. Jaka więc jest zaleta nocy?

Cole nie znał odpowiedzi.

— Przypuśćmy, że to opowieść wojenna — podsunął Kagan.

— Może nie chcieli, żeby zobaczyli ich rzymscy żołnierze?

— Cole, powinieś dobrze się zastanowić, czy na pewno nie chcesz zostać szpiegiem. Magowie podróżowali w ciemności, bo brali udział w tajnej misji i nie chcieli, żeby dostrzegli ich żołnierze.

• • •

— Mikrofon na szpilkę — powiedział Andriej. — Przypiąłem go pod kołnierzem płaszcza. Jest włączony, więc usłyszysz wszystko, co pan powie, i większość tego, co powiedzą inni. Od czasu do czasu będę przekazywał instrukcje przez słuchawkę.

Umieścił ją w lewym uchu Brody'ego.

— Ale czy bandyta jej nie zobaczy? — Mężczyźnie drżał głos, nie tylko zimna.

— Proszę nie zdejmować czapki i nauszników tak długo, jak tylko się da. W końcu będzie pan musiał to zrobić, ale słuchawka jest mała i ma cielisty kolor: trudno ją dostrzec nawet w dzień. Bandyta zgasił światła. Gwarantuję, że ich nie zapali.

— Zgasły nawet lampki na choince i telewizor — zameldował Michaił, obserwując dom zza pnia świerku.

— Mikrofon i słuchawka mają małe baterie — powiedział Andriej do Brody'ego. — Są zasilane przez ten aparat nadawczo-odbiorczy, który zwykle nosi się przy pasie. Ale jeśli podejrzany pana przeszuka, a zakładam, że to zrobi, znajdzie go, nawet po ciemku. Dlatego musimy go ukryć. Najlepszym miejscem są rękawiczki. Proszę je zdjąć, gdy zbliży się pan do domu, i położyć gdzieś, gdy tylko będzie pan w środku. Nastawiłem pański sprzęt na nowy kanał. W ten sposób nie będę panu przeszkadzał, gdybym rozmawiał z centralą. Teraz sprawdzimy, czy działa. Detektywie Grant, proszę odejść w głąb uliczki i powiedzieć coś do mikrofonu.

Po chwili Andriej usłyszał w słuchawce głos, ale nie Jakowa.

Pachan mówił podniesionym tonem:

— Nasi klienci są przekonani, że wziąłem ich pieniądze, nie mając zamiaru dostarczyć paczki!

Twierdzą, że kłamię! Twierdzą, że planuję sprzedać dziecko komuś innemu!

W tle coś trzasnęło. Mężczyzna z arabskim akcentem krzyknął:

— Chcesz, żebym odciął ci kciuki? Uszy?

— Jaja! — zagroził drugi silnie akcentowany głos. — Każemy ci je zeżreć! Tak postępujemy z tymi, którzy nas oszukują!

Andriej popatrzył na Brody'ego, ale nie zdradził, czego słucha.

— Mam telefon. Przepraszam.

Ponieważ Brody wiedział o mikrofonach, Andriej nie musiał markować rozmowy przez komórkę, jak wcześniej w tłumie na Canyon Road. Ale teraz miał inny powód, by udawać, że z niej korzysta. Wyjął telefon z kieszeni i otworzył. Umyślnie chwycił go niezdarnie i upuścił w śnieg.

— Cholera.

Kontynuując przedstawienie, grzebał w śniegu. Cienkie skórzane rękawiczki słabo chroniły palce przed zimnem. W końcu znalazł aparat, cały oblepiony śniegiem. Wytarł go, ostentacyjnie wcisnął klawisz i ze ściągniętymi brwiami popatrzył na ekran.

— Coś się stało.

— Nie działa? — zapytał Brody.

— Pewnie śnieg dostał się do środka. Pożycz mi pan swój telefon?

Brody podał mu komórkę. Andriej wcisnął numer i odszedł kawałek dalej, udając, że rozmawia przez telefon, podczas gdy w rzeczywistości mówił do mikrofonu na skafandrze.

— Dzwoniłeś do mnie?

— O co ci chodzi? — zapytał pachan ostro, nie kryjąc wściekłości.

— Musiałem coś zrobić. Wyjaśnię później.

— Słyszałeś, co powiedziałem? Klienci twierdzą, że ich oszukałem! Ale nie wezmę winy na siebie, ponieważ to ty spieprzyłeś sprawę! Dopilnuję, żeby wiedzieli, kogo ukarać!

Andriej z trudem hamował gniew.

— Powiedz im, że dostaną paczkę przed północą.

— Gwarantujesz?

— Kiedy ją doręczymy, zażądaj przeprosin i premii.

— Odpowiedz! Gwarantujesz dostawę?

Pomimo zimna Andriej czuł, jak pałą go policzki. Mimo wszystko zdołał zapanować nad brzmieniem głosu i nerwami. Prawie.

— Cholera, tak. A teraz pozwól mi pracować. Udał, że się rozłącza.

— Co się stało? — zapytał Brody.

— Ma pan problemy rodzinne. Ja też.

Andriej usłyszał, jak w głębi uliczki Jaków szepcze:

— Próba mikrofonu. Raz, dwa, trzy.

W odpowiedzi Brody przycisnął palec do słuchawki w lewym uchu.

— Słyszę go.

Gdy Jaków wrócił, Andriej zapytał:

— Detektywie Grant, czy mikrofon pana Brody'ego działa? Czy słyszał go pan w słuchawce?

— Wyraźnie.

— Doskonale. — Wykorzystując zamieszanie, Andriej wsunął komórkę Brody'ego do kieszeni.

Mężczyzna niczego nie zauważył.

— W porządku — powiedział Andriej. — Teraz przećwiczymy, co ma pan zrobić.

•••

Śnieg oblepiał ich kurtki, gdy wyszli z klatki schodowej, minęli windę i ruszyli hotelowym korytarzem do drzwi z zamkiem elektronicznym.

Było ich pięciu — Andriej, Kagan, Jaków, Michaił i Wiktor, chudzielec, niedawno przybyły z

Rosji, którego Kagan spotkał tylko parę razy. Andriej przeciągnął przez szczelinę hotelowy klucz w kształcie karty kredytowej. Zamek elektroniczny otworzył się z cichym metalicznym trzaskiem. Andriej miał skórzane rękawiczki, żeby nie zostawić odcisków palców, gdy przekreśli klamkę. Koordynując swoje działanie dzięki słuchawkom i ukrytym mikrofonom, weszli do hotelu różnymi wejściami, by nie przyciągać uwagi. Spuszczali głowy, mijając kamery ochrony. Zrobili to samo, przechodząc pod ostatnią kamerą.

Zamknęli drzwi i znaleźli się na drugim korytarzu w ekskluzywnej części hotelu. Po lewej stronie widniały numerowane drzwi. Atrakcyjna, rudowłosa, elegancko ubrana recepcjonistka uśmiechnęła się do nich zza biurka i wskazała płatki śniegu topiące się na kurtkach.

— Widzę, że nie przestało śnieżyć.

— Cudowna noc na spacer — odparł Andriej.

— Byli panowie na Canyon Road?

— Naprawdę robi wrażenie.

— To wielka atrakcja w Wigilię. Przez cały rok, prawdę mówiąc. Cieszę się, że panowie mieli okazję obejrzeć dekoracje. Czy mogę coś dla panów zrobić?

— Dziękujemy, nie.

— Musieliście się zameldować, gdy nie pełniłam dyżuru. Nie przypominam sobie, żebym panów widziała.

— Ja też sobie pani nie przypominam. Wracamy do pokoi tylko po prezenty, które zabieramy na przyjęcie.

— Miłej zabawy.

— Dziękujemy.

Jak było do przewidzenia w Wigilię z pokoi nie płynęły żadne dźwięki. Goście wyszli na kolację, podziwiać widoki, a może na mszę w pobliskiej katedrze. Ale choć praktycznie nie istniało ryzyko, że ktoś im przeszkodzi, musieli działać szybko.

Podczas gdy Andriej rozmawiał z recepcjonistką, Michaił stanął za nią, wbił igłę w jej szyję i nacisnął tłok strzykawki.

— Hej! Co pan...

Szybko działająca trucizna sprawiła, że kobieta zadygotała. Pięć sekund później bezwładnie osunęła się na biurko.

Pozostali mężczyźni zdjęli grube rękawice, zostawiając lateksowe. W starannie przećwiczonej kolejności Michaił zabrał z biurka klucz uniwersalny, wrócił do drzwi na początku korytarza i otworzył je. Kagan i Jaków chwycili martwą kobietę i wynieśli ją do gospodarczej części hotelu. Po powrocie na korytarz pociągnęli drzwi, które zamknęły się automatycznie.

Tymczasem Andriej i Wiktor weszli po spiralnych schodach i stanęli przed trojgiem drzwi apartamentu celu.

Pozostali dołączyli do nich.

Andriej spojrzął na zegarek i skinął głową. Wszystko szło zgodnie z planem. Sześć minut wcześniej, o dwudziestej, stali w padającym śniegu na zatłoczonej przez turystów Plaży, obserwując, jak Hasan, jego żona i czterech ochroniarze wsiadają do limuzyny, żeby pojechać na przyjęcie do rezydencji gubernatora Nowego Meksyku. O dwudziestej pierwszej Hasan miał wystąpić przed kamerami telewizyjnymi i wygłosić pierwsze z porwijających przemówień, dotyczące nowo narodzonego dziecka pokoju i nadziei na poprawę przyszłości Bliskiego Wschodu. Ale tuż przed wystąpieniem zadzwoniła komórka jego żony. Kobieta odbierze, bo na wyświetlaczu ukaże się numer opiekunki dziecka.

Usłyszysz męski głos. Rozmówca opowie w drastycznych szczegółach, co się stało z dzieckiem. Da do zrozumienia, że jeśli Hasan kocha syna, odwoła przemówienie.

I nigdy nie wygłosi następnego.

•••

Kagan patrzył przez okno, wyteżając wzrok, żeby w padającym śniegu odróżnić cienie od złudzeń.

Jeden z nich spróbuje przyciągnąć moją uwagę od frontu, pomyślał. Pewnie Andriej. Urządzałem z nim wiele zasadzek. To w jego stylu. W tym czasie Michaił i Jaków zaatakują z boków.

Ale dlaczego jeszcze nie wykonali mchu? — zastanawiał się. Może naprawdę wyprowadziłem ich w pole. Może są na Canyon Road.

Dziecko zakwiliło.

— Meredith — powiedział.

— Jest tylko niespokojny. Pewnie kolejny sen.

— Chyba niezbyt miły.

— Przyłożyłam mały palec do jego ust. Possał trochę. Już się uciszył.

— Nie pozwól mu się rozplakać.

— Jest grzeczny. Nie będzie płakał.

Kagan ani razu nie spojrzął w jej stronę. Z pistoletem na kolanach pilnie wpatrywał się w okno.

Opowiadał historię, starając się uspokoić Cole'a i jego matkę, mając nadzieję, że to pozwoli mu przezwyciężyć zmęczenie i zachować czujność.

— W owych czasach stolicą Izraela była Jerozolima. Rządziła nią rzymska marionetka, niejaki Herod, który okrzyknął się królem żydowskim. Był prawdziwym paranoikiem. Czterdzieści lat wcześniej wybuchł bunt i wypędzono go z Izraela. Rzymianie odpowiedzieli zaciekłym atakiem, wysyłając tysiące zaprawionych w boju żołnierzy, żeby przywrócić mu władzę. Później Herod tłumiał najmniejsze oznaki buntu, posunął się nawet do zabicia jednej ze swoich żon, jej matki i kilku synów. Pewnego dnia o świcie strażnicy na wschodnim murze Jerozolimy zameldowali, że nadciąga trzech obcych na wielbłądach. Ich pewne siebie postawy wskazywały, że są ważnymi osobistościami. Gdy dotarli do bramy, oznajmili, że są kapłanami wypełniającymi świętą misję, i zapytali, czy mogą złożyć hołd Herodowi. Jak myślisz, Cole, jak zareagował Herod?

— Nie był zadowolony, że go zaskoczyli.

— Właśnie, zwłaszcza że magowie pochodzili z kraju będącego największym, najbliższym wrogiem Izraela. Wpadł we wściekłość i zażądał wyjaśnienia od swoich straży. Jak magowie mogli niezauważenie przebyć całą drogę do Jerozolimy? Dlaczego nie zostali zatrzymani przez rzymskich żołnierzy? Jaką miał ochronę, skoro cudzoziemcy przemierzali pustynię, jakby byli niewidzialni? Mówiłem ci, że wówczas wierzono, iż magowie tworzą tajną grupę obdarzoną mocami magicznymi. Gdy postawiono ich przed Herodem, opisali niezwykłą gwiazdę, która przywiodła ich do Jerozolimy. Herod nie krył zdumienia. „Gwiazda? — zapytał. — Jaka gwiazda?”. Magowie odpowiedzieli: „Gwiazda, która zwiastuje narodziny nowego króla Żydów”.

Kagan usłyszał kroki — Meredith przyniosła kawę. Chciał powiedzieć, żeby się pochyliła, ale nie musiał. Był z niej dumny, gdy kucnęła obok niego, trzymając głowę poniżej parapetu okna.

— Dzięki. — Trzymając prawą dłoń na pistolecie, zignorował ból w ramieniu i zeszywniałą lewą ręką podniósł kubek do ust. Dmuchnął na parujący płyn i wypił trochę, rozkoszując się aromatem i smakując cukier.

— Woda, którą nastawiłeś na kuchence, już wrze — poinformowała go Meredith.

— Dobrze. Niech się gotuje. I dalej, gdyby wyparowała. — Kagan uparcie wpatrywał się w okno. Słuchał, jak Meredith przesuwają się po podłodze i siada przy dziecku.

— Na czym skończyłem, Cole? — Nie potrzebował przypomnienia, ale chciał, żeby chłopiec odpowiadał na pytania.

— Na Herodzie i gwieździe.

— Racja. — Znów wróciły do niego słowa szpiega sprzed lat. — W owym czasie w całym żydowskim i rzymskim świecie narastała wiara, że niebawem narodzi się ktoś wyjątkowy, kto odmieni bieg historii. W Starym Testamencie, w Księdze Daniela, która powstała setki lat wcześniej, Daniel ma wizję o znaku na niebie, zapowiadającym tajemniczego przywódcę, który

ustanowi nowe, wieczne królestwo. Istniało wiele podobnych przepowiedni. Nawet ówczesni historycy rzymscy, jak Swetoniusz i Tacyt, wspominali prorocтва o człowieku z Izraela, który zawładnie światem. Jeden z wielkich poetów rzymskich, Wergiliusz, przepowiedział, że dziecko zstąpi z nieba, prawdopodobnie z konstelacji Virgo, czyli Panny, i ustanowi złoty wiek.

— Brzmi tak, jakby mówił o Marii Pannie — zauważył zaintrygowany Cole.

— A może jest inne wyjaśnienie. Może Wergiliusz próbował zrobić wrażenie na kimś ważnym, na przykład polityku, którego żona miała urodzić i której cnotę słał. Przepuszczalnie dziecko miało być boskim twórcą pokoju, który Wergiliusz przepowiada w swoim poemacie. Mógł nawet nawiązywać do cesarza Rzymu. Prorocтва te mogą mieć różnorodne wyjaśnienia, ale nie o to chodzi. Ważne jest to, że dwa tysiące lat temu ludzie w nie wierzyli, naprawdę wierzyli. Herod z całą pewnością. Kiedy usłyszał o magicznej gwieździe, wpadł w szal i wezwał swoich kapłanów. Zapytał, co sądzą o twierdzeniach magów. „Gwiazda w istocie występuje w wielu prorocत्वach”, przyznali kapłani. Herod krzyknął: „Ale czy prorocтва mówią, gdzie narodzi się nowy król?!”. Kapłani odpowiedzieli: „Tak”. Zacytowali starożytny tekst, który mówi: „A ty, Betlejem, ze wszech miar nieznaczące, dopóki nie wydasz przywódcy Izraela”. „Betlejem”, mruknął Herod. Pamiętaj, Cole, to był żądny władzy socjopata, który zabił własnych synów, ponieważ podejrzewał, że spiskują przeciwko niemu. Co się stanie, gdy uwierzy, że nowy rywal zagraża jego tronowi? Był po siedemdziesiątce i bał się stracić władzę. Zapewne nie dożyłby czasów, gdy dziecko by mu zagroziło, ale zwolennicy dziecka to zupełnie inna sprawa. Jeśli planowali rewolucję, Herod musiał ją powstrzymać wszelkimi możliwymi środkami. Cole, jak myślisz, co naprawdę się działo?

— Nie rozumiem.

— Magowie byli szpiegami. Jak sądzisz, na czym polegała ich misja? Zjawili się jakby za sprawą czarów i opowiedzieli historię o zdumiewającej gwieździe i nowo narodzonym rywalu. Co chcieli osiągnąć, mówiąc mu o tym?

— Jestem pewien, że Herod wpadł w złość.

— I? Wyciągnij wniosek.

— Może taki był cel — rozgniewać go.

— Zdecydowanie masz instynkt szpiega. Wykorzystując prorocтва oraz ze swoją reputacją magów obdarzonych wiedzą tajemną, rzekomo umożliwiającą im przepowiadanie przyszłości, wprowadzili w ruch siły, które miały zdestabilizować rządy Heroda.

— Zdestabilizować?

— Doprowadzić do upadku. Ze szpiegowskiego punktu widzenia taktyka była genialna. Jeśli Herod rozkaże swoim ludziom wypatrywać wszelkich oznak buntu i szukać tajemniczego dziecka, nie zdoła skupić się na rządzeniu krajem. Persja nasiliła ataki na granicę Izraela, podczas gdy obrona Hertoda stanie się tak chaotyczna, że kraj zawali się od środka. Cesarstwo rzymskie nie będzie wiedziało, na kim wziąć odwet, bo upadek Izraela nastąpi z winy samego Heroda.

— Ma pan rację. — Cole był po wrażeniu. — To, co zrobili, było skuteczniejsze niż toczenie bitwy.

— Gdyby plan się powiódł. Ale Herod pokazał, jaki jest sprytny i dlaczego przez tak wiele lat utrzymał się przy władzy. Instynkt ostrzegał go przed potencjalną pułapką. Nie znaczy to, że podejrzewał magów. Nawet jego kapłani przyznali, że przybysze mają autorytet proroków.

Nie, trafiło go Betlejem. Znajdowało się zaledwie osiem mil na południe od Jerozolimy, na bogatym obszarze rolniczym, gdzie mieszkańcy mieli mnóstwo pieniędzy, żeby zorganizować rewolucję. Miasteczko leżało wśród wzgórz, było łatwe do obrony. Sąsiedztwo z Jerozolimą czyniło je tym bardziej podejrzane, ponieważ łatwo byłoby stamtąd przypuścić najazd na stolicę.

Rozwścieczony Herod gotów był wydać rozkaz plądrowania Betlejem, dopóki wojska nie znajdą i nie zabiją dziecka. Ale bał się, że w ten sposób może wywołać bunt, który przecież chciał stłumić. Postanowił więc spróbować innego sposobu i wpadł na pomysł tak niespodziewany, że nawet magowie byli zaskoczeni.

Postanowił zwerbować ich jako swoich szpiegów. „Dziecięciu, którego szukacie, pisane jest

wspaniałe przeznaczenie — powiedział im. — Ruszajcie w dalszą drogę. Jedźcie do Betlejem. Znajdźcie zbawcę, którego przepowiedziały gwiazdy. Złóżcie mu pokłon. Potem wróćcie tutaj i powiedzcie mi, gdzie jest dziecko, żebym ja też mógł oddać mu cześć".

Klasyka. Magowie byli tak przekonujący, że Herod nie zdawał sobie sprawy, kim są jego prawdziwi wrogowie. Stali się tymi, których eksperci wywiadu nazywają podwójnymi agentami: szpiegami udającymi, że pracują dla jednej strony, podczas gdy w rzeczywistości pracują dla drugiej.

Musieli być ogromnie zadowoleni, gdy podróżowali na południe do Betlejem. Zdobyli zaufanie Heroda i teraz mogli mówić mu wszystko, co chcieli, z przekonaniem, że on uwierzy. Zyskali więcej, niż przypuszczali. Ich zmyślane raporty sprawiają, że Herod roześle żołnierzy po królestwie, fatalnie osłabiając obronę, gdy będzie ścigał wiatr w polu. Ale w Betlejem stało się coś ważnego, co wszystko zmieniło.

— Co takiego? — zapytał Cole.

— Zaczęto wierzyć, że fałszywe informacje, jakie podsuwali Herodowi, w rzeczywistości są prawdą.

• • •

— Rozumie pan, co ma zrobić? — zapytał Andriej. — Dowiedzieć się jak najwięcej. Rozmawiać w sposób jak najbardziej naturalny, żeby podejrzany nie domyślił się, że słuchamy. Jesteśmy szczególnie zainteresowani podjętymi środkami obrony.

— Tak, ale... — zaczął Brody.

— Zmienił pan zdanie? Nie chce pan pomóc żonie i synowi? Nie chce pan wynagrodzić jej pobicia?

— Przysięgam na Boga, nigdy w życiu niczego bardziej nie żałowałem.

— W takim razie proszę im to udowodnić. Może zdoła pan przekonać podejrzanego, że nas tu nie ma, że jest bezpieczny i może uwolnić pańską rodzinę.

— Ale...

Andriej mu przerwał.

— W porządku, skoro nie chce pan pomóc żonie i synowi, nic nie szkodzi. Potrafię zrozumieć, dlaczego nie chce pan nadstawiać karku. W naturze ludzkiej leży dbałość przede wszystkim o własne interesy. Kiedy anty terrorysty rozmieszczają snajperów, wymyślę jakiś inny sposób.

— Snajperów? Na litość boską, nie.

— Panie Brody, nie mam za dużego wyboru.

— W porządku, zgoda. Pójdę.

— Jest pan pewien? Nie zmieni pan zdania?

— Powiedziałem, że pójdę!

— Ciszej. Podejrzany może usłyszeć.

— Przepraszam. To wszystko jest zbyt...

Andriej uspokajająco poklepał go po ramieniu.

— Rodzina będzie z pana dumna. Tylko to się liczy. A teraz jeszcze tylko parę szczegółów. Proszę dać mi klucze.

— Klucze? Po co?

— W garażu jest samochód?

— Rangę rover.

— Podejrzany może próbować nim uciec. Canyon Road już powinna być otwarta. Może go kusić, żeby skorzystać z okazji.

Brody podał Andriejowi klucze.

— Jeśli Canyon Road jest już otwarta, dlaczego jeszcze nie ma tu brygady antyterrorystycznej? Mieli dużo czasu.

— Dobrze pytanie. Zadzwońię do centrali i dowiem się. — Andriej wyjął komórkę Brody'ego, otworzył, zaczął wciskać cyfry i znów umyślnie upuścił ją w śnieg.

— Cholera — zaklął. — Że też nie włożyłem grubych rękawic. Ręce mi przemarzły, nie mogę niczego utrzymać.

Sięgnął w śnieg, pomacał i podniósł komórkę. Otrzepał ją ze śniegu i udał, że próbuje zadzwonić.

— Cholera. Teraz i ta nie działa. — Nie chciał, żeby Brody wszedł do domu z telefonem. Piotr bez wątpienia znalazłby go i użył do wezwania pomocy. — Ogromnie mi przykro. Niech mi pan pożyczy telefon żony.

— Pożyczyć...? — Brody się spiał. — Co tu się dzieje?

— Proszę się nie martwić. Wydział policji wyda panu nowy — obiecał Andriej.

— Mówił pan, że jak się nazywa?

— Nie mówiłem. Detektyw Parker.

— Powiedział pan, że przez mikrofon i słuchawki może pan porozumiewać się z centralą, po co więc panu telefon mojej żony? To... Coś tu jest nie w porządku. Proszę pokazać odznakę.

— Odznakę?

— Wszyscy panowie. Pokażcie mi swoje legitymacje.

— Mówiłem, ciszej — przypomniał Andriej. — Mam legitymację w kurtce. — Otrzepał się ze śniegu. — Naprawdę chce pan, żebym zamarzł? Może pan po prostu...

Brody się cofnął.

— Co pan robi, panie Brody?

Gdy Brody odwrócił się, chcąc uciec, Andriej pchnął go mocno i przewrócił na śnieg. Pochylił się, oparł ciężkie kolano na karku mężczyzny i wbił jego twarz w zaspę. Potężną ręką trzymał głowę, nie pozwalając mu oderwać twarzy od śniegu.

Brody szamotał się i krztusił, ale Andriej ignorował jego wysiłki, coraz mocniej wciskając twarz w zaspę.

— Posłuchaj mnie — wyszeptał blisko jego lewego ucha. — Zrobisz, co chcę, albo umrzesz. Czujesz, jak śnieg zalepia ci nozdrza? Część się topi. Wdychasz wodę. Zaraz się udusisz.

Unieruchomiony w zaspie Brody zaczął kaszleć. Dźwięk był stłumiony przez śnieg. Wygiął plecy w łuk, a raczej próbował to zrobić. Klatka piersiowa unosiła się ciężko.

— Słyszysz? — zapytał cicho Andriej, mocniej naciskając na plecy. — Chcesz umrzeć w zaspie w Wigilię czy wolisz spędzić święta z żoną i synem?

Brody zakrztusił się, próbując coś powiedzieć.

Andriej natychmiast wsunął rękę pod jego czapkę, złapał go za włosy i poderwał głowę. Brody miał śnieg na policzkach. Kaszlnął, chcąc udroźnić nos i usta, ale Andriej przycisnął dłoń w rękawiczkę do jego twarzy, żeby stłumić dźwięk.

— Jak mają na imię twoja żona i syn? — zapytał. Oderwał dłoń od ust, jednocześnie przyciskając glocka do prawej skroni mężczyzny.

Smark wisiał na wąsach Brody'ego.

— Meredith. Moja żona ma na imię Meredith. Mój syn... Cole.

— Ładne imiona. Założę się, że są cudowni. Mam rację?

— Tak.

— Kochasz ich, Ted? — Czubek tłumika wbił się w skórę mężczyzny. Andriej wyobrażał sobie, jaki twardy i zimny w dotyku jest metal.

— Czy ich kocham? — wyksztusił Brody. — Oczywiście.

— Udowodnij to, Ted. Udowodnij, że kochasz Meredith i Cole'a. Udowodnij, jak bardzo żałujesz, że uderzyłeś żonę. Masz szansę zostać bohaterem. Ocal ich. Ocal swoją rodzinę, Ted.

— Tak. — Brody drżał. — Zrobię dla nich wszystko.

— W takim razie nic się nie zmieniło. Wejdiesz do domu. Wypatrzysz zabezpieczenia. Zapytasz o nie. Będziemy słyszeli, co mówisz. Będziemy wiedzieli, czego się spodziewać.

— Meredith i Cole...

— Dbamy o ludzi, którzy współpracują, Ted. Właśnie o czymś pomyślałem. — Nagle Andrieja opadły straszne wątpliwości. — Czy w domu jest komputer? Czy przebywający tam człowiek mógł wysłać e-mail z prośbą o pomoc?

— Założyłem hasło.

Andriej odetchnął, uwalniając trochę napięcia.

— Dobrze. Zanim wejdziemy do domu, powiemy ci, że ruszamy. Uprzedzimy cię. Wystarczy, że każesz rodzinie położyć się na podłodze. Gdy tylko damy nauczkę naszemu przyjacielowi, odejdziemy. Ty, twoja żona i syn będziecie dalej cieszyć się życiem.

— Boże, nie chciałbym...

— On ukradł nam coś ważnego. Masz dopilnować, żebyśmy dostali to żywe.

— Żywe?

— To niemowlę.

— Nie... Co tam robi niemowlę?

— Nie twoja sprawa, Ted. Po prostu mów o dziecku, gdy je zobaczysz. Powiedz mi, gdzie jest. Gdy wejdziemy, chcę mieć pewność, że nie zostanie ranne.

— Ale co z moją rodziną?

— Mówiłem, połóżcie się na podłodze. Obiecuję, że tobie, żonie i synowi nic się nie stanie. Za godzinę będzie po wszystkim. Odejdziemy. Rodzina będzie zawdzięczać ci życie. Staniesz się ich bohaterem. Twojej żonie nie pozostanie nic innego, jak ci wybaczyć, że ją uderzyłeś. Rozumiesz, Ted? Czy wszystko jasne?

•••

Kagan stał z Andriejem, Michaiłem, Jakowem i nowym, Wiktorem, w korytarzu przed trojgiem drzwi. Zza środkowych płynął stłumiony dźwięk telewizora, jedyny hałas w korytarzu. Wszyscy inni goście zapewne wyszli ze swoich pokoi, żeby oddawać się świątecznym rozrywkom.

Przez szum krwi w żyłach Kagan słyszał, jak w programie telewizyjnym mała dziewczynka pyta kogoś, czy naprawdę jest Świętym Mikołajem. W odpowiedzi starszy mężczyzna zapewnił, że tak.

W środkowym pokoju przebywali trzej ochroniarze.

Koncentrując się na kontrolowaniu oddechu, Kagan patrzył, jak Andriej wyjmuje komórkę z kieszeni. Była nastawiona na cichy sygnał. Andriej czekał na telefon od opiekunki z apartamentu. Nie znaczyło to, że odpowie. Wystarczy, że poczuje wibracje przez rękawiczkę.

I sprawdzi numer dzwoniącego. Telefon będzie sygnałem, że opiekunka zabezpieczyła drzwi po lewej i prawej stronie, mocując paski plastiku na wysokości sprężynowego zatrzasku, żeby się nie zamknęły.

Następnie miała zabrać dziecko do łazienki i położyć się z nim w wannie.

Wanna nie była dość mocna, żeby zatrzymać kule, ale strzały raczej nie będą padać w tym kierunku. Na wszelki wypadek rywale Hasana przedsięwzięli środki ostrożności. Zapłacili opiekunce, żeby położyła się na boku, plecami do zamkniętych drzwi łazienki, trzymając dziecko po drugiej stronie. Wtedy, jeśli do łazienki wpadnie zbłąkana kula, dziecko będzie miało żywą tarczę.

Telefon zabrzączał cichutko. Andriej popatrzył na ekran, żeby sprawdzić numer dzwoniącego. Skinął głową do swoich ludzi, schował komórkę i wyjął glocka z kieszeni kurtki.

Kagan i pozostali wyjęli broń. Na wszystkich lufach były tłumiki.

Każdy z nich pociągnął suwadło i spojrzął, czy nabój jest w komorze. Robili to kilka razy przed rozpoczęciem misji, ale niezależnie od tego, ile razy to powtarzali, czuli, że muszą to zrobić ponownie. Był to obsesyjny nawyk ludzi uczestniczących w strzelaninach.

Kaganowi pociły się ręce w lateksowych rękawiczkach.

Andriej skinął głową ostatni raz. Rozdzielili się. Kagan i Michaił podeszli do drzwi po prawej, za



którymi, jak im powiedziano, odpoczywała opiekunka, gdy żona Hasana zajmowała się dzieckiem. Jaków i Wiktor zbliżyli się do tych po lewej. Andriej — który lubił frontalnie rozpraszać uwagę przeciwnika — stanął przed środkowymi.

Andriej zapukał głośno, bez wątpienia strasząc ochroniarzy. Kagan przycisnął rękę do drzwi po prawej dokładnie w tej samej chwili, gdy Jaków zrobił to po lewej.

Przez pełną napięcia sekundę Kagan czuł opór. Zastanowił się, czy pasek plastiku rzeczywiście powstrzymał zatrask. Potem Andriej zapukał głośniej i gdy Kagan pchnął, jego drzwi się otworzyły. Michaił natychmiast wycelował obok niego, sprawdzając, czy pokój jest pusty.

Andriej załomotał w środkowe drzwi trzeci raz, wołając głośno:

— Obsługa! — W tym czasie Kagan i Michaił wbiegli do pokoju. Jak opiekunka obiecała, wewnętrzne drzwi łączące dwa pomieszczenia były otwarte. Kagan udał, że łóżko zagrodziło mu drogę, pozwalając Michaiłowi się wyprzedzić. Michaił przykucnął, strzelając na wysokość głowy i piersi do środkowego pokoju.

Tłumik sprawiał, że strzały ledwo było słychać. Czując zapach spalonego prochu, Kagan przebiegł obok Michaiła i strzelił, jego kule trafiły ochroniarzy, którzy praktycznie już nie żyli. W przeciwległych otwartych drzwiach Jaków i Wiktor kucali i też strzelali w górę, dzięki czemu żadna ze stron nie mogła wpaść w krzyżowy ogień.

Krew tryskała z ran trzech ochroniarzy. Jęcząc, leżeli na podłodze, jeden na dwóch pozostałych.

Michaił wszedł do pokoju i strzelił każdemu w głowę.

Kagan pobiegł przez sypialnię do drzwi, które wcześniej otworzył. Wyrzwał na korytarz i skinął na Andrieja, każąc mu wejść. W chwili gdy Andriej minął go pospiesznie, Kagan zdarł pasek plastiku z boku drzwi, zwalniając zatrask. Zamknął drzwi i zasunął rygiel, potem poszedł za Andriejem do środkowego pokoju, gdzie w powietrzu wisiał silny metaliczny zapach krwi.

Przestąpili nad ciałami i dołączyli do reszty zespołu w trzeciej sypialni. Jaków już zatrzasnął drzwi na korytarz.

Andriej trzy razy stuknął w drzwi łazienki, najpierw dwa razy, a następnie jeszcze raz, jak było umówione.

Po chwili drzwi się otworzyły. Kagan zobaczył Palestynkę. Miała zasłoniętą twarz, więc trudno było powiedzieć, ile ma lat i jak wygląda. Jej ciemne oczy wyrażały zdenerwowanie. Nosila czarny szal i skromną, swobodną czarną suknię.

W ramionach trzymała arabskie dziecko, ubrane w niebieskie śpioszki i owinięte koczykiem.

Przestraszona spojrzała w kierunku środkowego pokoju.

— Po wszystkim — powiedział Andriej.

Znała angielski na tyle, by zrozumieć. Andriej wyjął grubą kopertę.

— To reszta należności. Daj nam dziecko.

Kobieta spojrzała ze ściągniętymi brwiami na kopertę, jakby żałując, że się zgodziła wziąć w tym udział.

— Bierz pieniądze — ponaglił Andriej. — Zarobiłaś. Uciekaj.

Kobieta się zawahała.

— Wiktor — powiedział Andriej — zabierz jej dziecko.

Wiktor posłuchał. Niemowlę wyczuło, że trzyma je obca osoba, i zaczęło się wiercić.

Kobieta miała zatroskaną minę.

— Nie martw się. Nic mu nie będzie — zapewnił ją Andriej.

Gdy wzięła kopertę, Jaków strzelił jej dwa razy w pierś i raz w głowę. Upadła na białe kafelki w łazience. Jaków przeszedł nad ciałem i wyszarpnął kopertę z ręki zabitej.

• • •

— Dalszego ciągu historii nie ma w Ewangelii Mateusza — powiedział Kagan. — Jest u Łukasza, gdzie czytamy, że cesarz rzymski wydał dekret, nakazując spis ludności.

Napił się kawy. Potrzebował energii, jaką zapewniała, i czuł, jak suche usta chłoną gorący płyn. Prawą rękę wciąż trzymał na pistolecie na kolanach.

— Spis był ważny z wielu powodów. Liczba ludności stanowiła podstawę do ustalenia wysokości podatków, którymi należało obłożyć Izrael. Ale zmusił również Żydów do podróży, czasami dalekich, i tym samym przypomniał im, że są na zawołanie cesarza.

— Dlaczego musieli podróżować? — zaciekał się Cole.

— Bo każda rodzina musiała zarejestrować się na terenie plemienia — nazywali je domami — do którego należał mąż. Aby to zrobić, musieli udać się do miasta od początku związanego z danym plemieniem. I tutaj pojawia się Maria i Józef. Mieszkali na północy, w Nazarecie, ale Józef pochodził z domu Dawida, a miastem Dawida było Betlejem, położone siedemdziesiąt pięć mil na południe. Była to trudna podróż przez kilka głębokich wąwozów. Co gorsza, Maria była w zaawansowanej ciąży. To znaczyło, że musieli być ostrożni, co znacznie wydłużyło wędrówkę. W konsekwencji wyprzedziło ich wielu innych i gdy wreszcie dotarli do Betlejem, nie mieli gdzie się zatrzymać. Nie było dla nich miejsca w gospodzie, jak mówi Łukasz w swojej Ewangelii.

W ciemności Kagan dopił kawę i pochylił się, żeby postawić kubek na podłodze. Ból w zranionym ramieniu przypomniał o sobie ze zdwojoną siłą, ale Kagan nie oderwał oczu od okna. Teraz śnieg padał tak gęsto, że ledwo widział płot.

— Maria i Józef musieli nocować w stajni. Tam Maria urodziła, a jedynym miejscem, gdzie mogła ułożyć dziecko, był żłób. To koryto, z którego jedzą zwierzęta. Jeśli kiedyś pojedziesz do Betlejem, Cole, zobaczysz jaskinię, która jest reklamowana jako miejsce narodzin Jezusa. Może to prawda. W Betlejem nie brakuje wapiennych zboczy, a w owych czasach ludzie żłobili w nich stajnie. Podoba mi się pomysł groty. Jest lepsza do obrony niż zwyczajna szopa.

W stajence przy twojej choince Trzej Królowie witają Marię, Józefa i nowo narodzonego Jezusa. Ale było inaczej. Mateusz mówi, że magowie weszli do domu, gdzie zastali Jezusa i jego matkę. Inne szczegóły sugerują, że magowie przybyli jakiś czas po narodzinach.

Po przybyciu do Betlejem zrobili to, czego spodziewał się Herod: wypyтали o nowo narodzone dzieci i czy narodzinom towarzyszyły niezwykle okoliczności. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewali, było znalezienie dowodów popierających ich historyjkę. Zamierzali wprowadzić Heroda w błąd i poprzeć fałszywe informacje na wszelkie możliwe sposoby. Kiedy więc usłyszeli o narodzinach w stajence, prawdopodobnie uznali, że mogą wykorzystać to zdarzenie — wielki król urodzony w skromnym otoczeniu. Porównanie z królewskim bogactwem miało doprowadzić chciwego Heroda do szaleństwa.

Ale gdy magowie zaczęli wypytywać, próbując stworzyć kunsztowną mistyfikację, żeby oszukać Heroda, usłyszeli coś więcej o narodzinach. Wieści były tak niezwykle, że wszystko zmieniły.

— Co to było?

— Coś, co dotyczy drugiej grupy w szopce obok twojej choinki. Już o nich mówiłeś.

— Pasterze?

— Tak. Po Betlejem rozeszła się wieść, że coś dziwnego spotkało pasterzy. W noc narodzin dziecka przebywali na ciemnych pastwiskach, gdzie pilnowali owiec, gdy nagle pojawiła się tajemnicza postać spowita oślepiającym blaskiem. Postać kazała im się zebrać, pójść do Betlejem i szukać noworodka w stajni, głosząc, że dziecko jest wyjątkowe, że jest zbawicielem. Nagle pasterzom ukazały się inne świetlane postaci, oznajmiając: „Chwała na wysokości Bogu. A na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. Potem wszystkie zniknęły, zostawiając pasterzy samych w ciemnościach.

Szczerze, Cole. Gdyby mnie to spotkało, chyba dostałbym ataku serca. Ale pasterze byli ulepieni z twardszej gliny. Otrząsnęli się z szoku i zaciekawieni postanowili pójść do Betlejem i zobaczyć, czy tajemnicza postać powiedziała im prawdę. Jak przepowiedziano, znaleźli dzieciątko w stajence. Magowie usłyszeli, o czym rozprawiają wieśniacy. Natychmiast zapytali, gdzie mogą znaleźć pasterzy, i poprosili o wskazówki, jak trafić na pastwisko, gdzie rzekomo mieli wizję. Na miejscu usłyszeli opowieść z pierwszej ręki. Wydarzenie przykuło ich uwagę. Pamiętaj, wierzyli w magię.

Zaintrygowani zapytali, gdzie jest stajnia z dzieciątkiem, ale, jak wynika z Ewangelii Łukasza, w tym czasie Maria i Jezus przebywali już w jakimś domu.

Interesujące, że Ewangelia nie wspomina o Józefie. Mam co do niego pewną teorię, ale zachowam ją na później. Na razie ważne jest, że magowie byli mistrzami w sondowaniu.

— Nie wiem, co to znaczy — powiedział Cole.

— To sztuka zdobywania zaufania, żeby uzyskać od ludzi informacje, których normalnie nie chcieliby wyjawić. Poprzez subtelne naśladowanie sposobu mówienia i ruchów ciała, a nawet oddechu, możesz sprawić, że obcy ludzie poczują się tak, jakby cię znali od dawna. Doświadczeni magowie nakłonili Marię do wyznania im paru osobistych szczegółów. Między innymi opisała im swoje wizje, podobne do tych, które mieli pasterze na pastwisku. Wyjaśniła, że gdy zaręczyła się z Józefem... Meredith, mogę otwarcie mówić o ciąży?

Cole odpowiedział za nią:

— Jeśli chodzi o seks, dziewictwo i tak dalej, chyba wiem dość, żeby nie musiał pan czuć się skrępowany.

— Ja? — zapytał Kagan. — Skrępowany?

— W porządku — powiedziała Meredith. — Myślę, że będzie wiedział, o czym mówisz.

Sprawiła wrażenie niemal rozbawionej.

Dobrze, pomyślał Kagan. Oderwałem ich uwagę od zagrożenia.

Patrzył w okno, starając się znaleźć słowa, żeby podjąć opowieść.

— Józef był zaręczony z Marią, ale zanim zostali mężem i żoną, Maria powiedziała mu, że jest w ciąży. Ponieważ Józef wiedział, że nie jest ojcem, naturalnie założył, iż zdradziła go z innym mężczyzną. Maria przysięgła, że była mu wierna. Powiedziała, że anioł przyszedł do niej i oznajmił, że choć jest dziewicą, pocznie za sprawą Ducha Świętego.

Co więc zrobił Józef? Mógł oskarżyć Marię o niewierność i ją odtrącić albo uwierzyć w to, co anioł powiedział o cudownym poczęciu.

Był to trudny, bolesny wybór. Józef czuł się zdradzony. Ale jednocześnie kochał Marię całym sercem. Zrozpaczony rozważał możliwości, niezdolny podjąć decyzję. Gniew kontra miłość.

Emocjonalnie wyczerpany zasnął i nagle miał sen, w którym pojawiła się świetlista postać — anioł. Anioł powiedział mu dokładnie to samo, co twierdziła Maria: że ojcem jest Duch Święty.

Sen jest znaczący, bo dom Dawida, do którego należał Józef, wierzył w prawdziwość snów i umiał je interpretować. Ale z pewnością Józef musiał się zastanawiać, czy jego udręczone myśli wywołały sen, czy anioł naprawdę go nawiedził. Wszystko sprowadzało się do jednego — czy chce odrzucić kobietę, którą kocha, ponieważ nosi nie jego dziecko? W końcu postanowił uwierzyć w sen. Schował dumę do kieszeni i dowiódł swojej miłości, żeniąc się z Marią.

Niemowlę zakwiliło.

— Meredith?

— Pieluszka jest sucha. Może znów chce mu się pić, przyniosę trochę mieszanki.

Dziecko krzyknęło głośniej. Kagan usłyszał, jak Meredith idzie pospiesznie do kuchni. Zgrzytnął rondel, gdy wlewała resztkę mieszanki do kieliszka. Wróciła szybko i usiadła na podłodze, biorąc niemowlę w ramiona.

Chwilę później ucichło.

— Pije, ale jest strasznie niespokojny — powiedziała Meredith.

Czy przekazujesz mi wiadomość? — zastanowił się Kagan. Czy tak samo było wtedy, gdy mnie kopałeś, a ja myślałem, że mnie tu prowadzisz?

Potrząsnął głową. Bądź realistą, powiedział w duchu do siebie. Wciąż jesteś wytracony z równowagi z powodu odniesionej rany.

— Więc Józef ją poślubił — podjął. W skroniach czuł ciśnienie krwi tłoczony przez szybko bijące serce. — Ale był pewien problem. Cięża Marii niedługo miała stać się widoczna. Za szybko. Jak wszędzie, wścibscy dobrzy ludzie z Nazaretu mieli zadawać pytania, i możesz się założyć, że nie uwierzyliby w opowieść Marii o aniele. Skandal uczyniłby ją wyrzutkiem.

Maria dowiedziała się, że jedna z jej krewnych, Elżbieta, również jest w odmiennym stanie. Elżbieta mieszkała w dalekim mieście Judei i Maria postanowiła się tam udać — „z pośpiechem”, jak czytamy w Ewangelii Łukasza. Przebywała tam trzy miesiące, pomagając w gospodarstwie, dopóki Elżbieta nie urodziła dziecka, a wtedy nadszedł czas powrotu do Nazaretu, gdzie mieszkańcy z pewnością zauważą, że jest w bardziej zaawansowanej ciąży, niż powinna. Gdy Maria i Józef usłyszeli o zarządzonym przez Rzymian spisie ludności, zdali sobie sprawę, że mają idealną wymówkę do opuszczenia miasta. Zgodnie z wymogami prawa musieli ruszyć do Betlejem i tam się zarejestrować, więc szybko się spakowali.

Magowie przez jakiś czas rozmawiali z Marią. Jej relacja w zadziwiający sposób pasowała do tego, co powiedzieli im pasterze o odwiedzinach aniołów. Kapłani, którzy wierzyli w sny i magię, nie mogli zbagatelizować zdumiewających podobieństw. Zaczęli sprawdzać szczegóły, przepytując ludzi w Betlejem. Szukali niespójności i sprzeczności, czegoś, co rzuciłoby cień wątpliwości na to, co słyszeli. Ale wreszcie magowie doszli do wniosku, że fałszywe informacje, jakimi nafaszerowali Heroda w celu zdestabilizowania jego rządów, w jakiś tajemniczy, niezrozumiały sposób są prawdziwe.

Towarzyszyłem grupie szpiegów, gdy po raz pierwszy usłyszałem tę interpretację historii Bożego Narodzenia — kontynuował Kagan.

Przez chwilę odczuwał tęsknotę. Miał wówczas osiemnaście lat. Czternaście lat temu, pomyślał. A teraz jestem starym człowiekiem.

— Jeden z tych szpiegów powiedział, że mógłby wykazać, iż sami magowie padli ofiarą dezinformacji.

— To znaczy? — zapytał Cole.

— Ich nagłe pojawienie się w Jerozolimie zostało szeroko rozgłoszone. Rozniosły się również wieści o gniewie, z jakim Herod zareagował na ich słowa o gwieździe i nowo narodzonym królu. Herod nie cieszył się popularnością. Jego strach przed buntem był usprawiedliwiony. Może szpieg buntowników na dworze Heroda dowiedział się, że król wysłał magów do Betlejem na poszukiwanie dziecka. Buntownicy mogli namówić pasterzy i Marię, żeby opowiedzieli magom historię, którą opracowali na podstawie tego, co magowie powiedzieli Herodowi. Może magowie zostali oszukani, tak jak sami oszukali Heroda.

— Oszukani? — zapytała Meredith.

— Buntownicy nie wiedzieli, że magowie są zagranicznymi szpiegami, że chcą zdestabilizować rządy Heroda. Dlatego opowiedzieli im historię, którą, jak mieli nadzieję, przekażą Herodowi, powiększając jego dezorientację. Może pasterze i Maria też byli buntownikami. Może chcieli tego samego co magowie, ale żadna ze stron nie zdawała sobie sprawy, że przyświeca im wspólny cel.

— Aż kręci mi się w głowie — powiedziała Meredith.

— Taki jest świat szpiegów. Pewien amerykański szpieg — który mógł w rzeczywistości pracować dla Rosjan — kiedyś nazwał szpiegostwo gąszczem luster.

— Ale nie chcę wierzyć, że Maria i pasterze udawali.

— Ja też nie. I moim zdaniem reszta historii dowodzi, że nie kłamali.

Dziecko pisnęło.

Kagan się spał.

— Jest coraz bardziej niespokojny — powiedziała Meredith.

Obawy Kagana się nasiliły.

— Lepiej skończę.

•••

— Jesteś pewien, że ten sam klucz pasuje do wszystkich drzwi? — zapytał Andriej.

— Tak — odparł Brody.

— Dobrze. To nie powinno być trudne. Idź do domu. Udaj zaskoczenie, gdy zobaczysz intruza. Zadaj naturalne pytania o pułapki, jakie zastawił. Dowiedz się, gdzie jest dziecko.

— Ale facet zobaczy, że jestem zdenerwowany. Może podejrzewać, że pracuję dla was.

— Oczywiście, zobaczy, że jesteś zdenerwowany. Na tym polega piękno sytuacji. Pobiłeś żonę. Przestraszyłeś się, że cię zostawi. Przyszedłeś błagać o wybaczenie. Nagle stwierdzasz, że w domu jest obcy. Kto nie byłby zdenerwowany? On nigdy nie odgadnie, co się naprawdę dzieje. Zrób to, co przeciwczyliśmy. Jutro rano ty i twoi bliscy otworzycie gwiazdkowe prezenty. Dzisiejszy wieczór będzie tylko złym wspomnieniem.

— W Bogu pokładam nadzieję, że masz rację.

Andriej krzepiako ścisnął mu ramię.

— Na pewno sobie świetnie poradzisz. Wierzę w ciebie.

Patrzył, jak Brody niepewnym krokiem idzie w kierunku furtki.

W chwili gdy mężczyzna nie mógł go słyszeć, powiedział do swoich towarzyszy:

— Jaków, gdy tylko Brody wejdzie do środka, idź na lewą stronę domu. Michaił, ty na prawą. Postaw pod oknem sypialni jedno z krzeseł, o których mówił. Ponieważ on ma twoją słuchawkę i mikrofon, będziemy kontaktować się przez komórki. Jaków monitoruje łączność radiową. Gdy się dowiemy, gdzie jest dziecko i gdzie są pułapki, powiem Brody'emu „wesółych świąt”. To sygnał dla was obu. Sekundę później strzelę we frontowe okno i rozpocznę atak.

W tym czasie ty, Michaił, staniesz na metalowym krześle i wejdiesz przez okno do sypialni na tyłach. W brzęku szkła Piotr nie usłyszy, jak Jaków przekręci klucz w zamku i wpadnie do domu. Będziemy strzelać z trzech stron. Zrobi się wielkie zamieszanie, Piotr nie będzie wiedział, w którą stronę najpierw się obrócić. Poza tym będzie miał na drodze wszystkich tych ludzi, wrzeszczących, panikujących, przeszkadzających mu celować.

Gdy podniosłem komórkę, którą zgubił Piotr, znalazłem również zapasowe magazynki. Musiał je trzymać w tej samej kieszeni. Jakie ma szanse w walce z nami wszystkimi, jeśli nie ma amunicji?

— Nie chcesz, żeby coś się stało Brody'emu i jego rodzinie? — zapytał Michaił.

— Przeciwnie. Nie mogą nic powiedzieć policji. Wszyscy muszą zginąć. Z wyjątkiem dziecka. Nie zaatakujemy, dopóki nie będziemy wiedzieli, gdzie jest dziecko.

• • •

Czując w nozdrzach zapach krwi opiekunki, Kagan patrzył, jak Jaków przeciąga kciukiem po grubej kopercie z pieniędzmi, którą zabrał martwej kobiecie.

Andriej wyciągnął rękę.

— Czego? — zapytał Jaków.

— Nasi klienci mogą zażądać zwrotu łapówki. Daj mi to.

— A jeśli zapomną?

— Wtedy pachan będzie chciał dostać swoją dolę.

Kagan był zaskoczony, bo odezwał się nie Jaków, ale Wiktor.

— Wiecznie ten pachan — burknął nowy, trzymając dziecko.

Andriej go zignorował.

— Jaków, koperta.

Mężczyzna podał mu ją z westchnieniem.

— Jak pachan weźmie swoją działkę, podzielę resztę po równo — obiecał Andriej.

— Dopilnujemy, żeby tak było. — Wiktor mocniej ścisnął niespokojne dziecko.

Andriej zwrócił się do niego:

— Jesteś nowy, Wiktorze. Wciąż się uczysz, jak tu jest, więc tym razem zrobię wyjątek. Ale nigdy więcej nie rzucaj mi wyzwania.

Wiktor spojrział na niego dziko.

— Jaków też ci się sprzeciwił. Wcisnąłeś mu kit, tak samo jak mnie.

— Jaków mi się sprzeciwił? Nie sędzę.

Wiktor spojrział na niego spode łba.

— Jak chcesz.

— Teraz zaczynasz rozumieć. Jak chcę.

Dziecko zakwiliło w ramionach Wiktora. Dźwięk — i bezradność, jaką wyrażał — poruszył coś w sercu Kagana.

— Daj paczkę Michaiłowi — polecił Andriej.

— Ja się nią zajmę — sprzeciwił się Wiktor.

— Nie lubi cię. Zrób, jak ćwiczyliśmy, i daj to Michaiłowi, zanim zacznie płakać.

Kagan patrzył, jak Andriej podchodzi do dziecka i skupia spojrzenie na drobnej, nieszczęśliwej buzi. Na twarzy Rosjanina przez moment odmalowały się dziwne emocje, które sam uznał za tak niezwykle, że wprawiły go w zakłopotanie. Gdy Wiktor podał niespokojne dziecko Michaiłowi, Andriej pokręcił głową, jakby na siłę tłumił te obce uczucia. Wepchnął kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki narciarskiej i nacisnął mikrofon ukryty pod biletami na wyciąg.

— Tu Melchior. Mamy paczkę. Wychodzimy ze sklepu. Dwie minuty.

Wiktor i Jaków otworzyli drzwi sypialni. Sprawdzili, czy korytarz jest pusty, potem opuścili pokój. Schowali broń i skinęli na Michaiła, by mszył z dzieckiem za nimi. Kagan i Andriej szli na końcu, ukrywając pistolety i zamykając za sobą drzwi.

Zgodnie z planem Kagan powiesił na klamce tabliczkę z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ. Telewizor mruczał w apartamencie, starszy mężczyzna wciąż przekonywał, że jest Świętym Mikołajem.

Zeszli kręconymi schodami i mszyli wyłożonym chodnikiem korytarzem, mijając biurko, gdzie niedawno powitała ich recepcjonistka, którą chwilę potem zabił Michaił.

Wiktor otworzył drzwi z zamkiem elektronicznym, oddzielające tę ekskluzywną część od reszty hotelu. Otaczając Michaiła, który niósł dziecko, minęli windę, otworzyli drzwi pożarowe. Schodząc po jaskrawo oświetlonych betonowych schodach, zdjęli lateksowe rękawiczki i włożyli skórzane.

Kwilenie dziecka odbijało się echem wśród ich ciężkich kroków.

— Tu Melchior. Będziemy za minutę — powiedział Andriej do mikrofonu.

Trzy piętra niżej znaleźli się na poziomie ulicy. Tutaj w głąb korytarza spoglądała kamera ochrony. Schylili głowy i zacieśnili szyk, osłaniając Michaiła, żeby nikt nie zobaczył dziecka.

Przez szklane drzwi — boczne wyjście z hotelu — Kagan zobaczył śnieg przyćmiewający światła latarni. Ciepło ubrani ludzie przechodzili za szybą. Za pojazdami zaparkowanymi wzdłuż krawężnika zatrzymała się ciemna furgonetka.

Nie mogą tego zrobić, pomyślał.

Tego popołudnia, po raz pierwszy od długiego czasu, ukląkł w niedalekiej katedrze i patrzył na scenę w stajence. Próbował sobie wmówić, że jego kontrolerzy mają absolutną rację, że liczy się tylko życie niewinnych ludzi, jakie ratuje. „Zabierzcie mnie do domu”, błagał od trzech miesięcy w wiadomościach podrzucanych do martwych skrzynek. Czasami udawało mu się uwolnić od Andriej a i zatelefonować. Ale zawsze z jakiegoś powodu kontrolerzy nie chcieli go wycofać. Jesteś za dobrze ustawiony, powtarzali. Nikt nie zdoła równie głęboko zinfiltrować rosyjskiej mafii. Jeśli znikniesz, Rosjanie zrozumieją, że byłeś szpiegiem, przez co próba wprowadzenia następnego agenta w serce ich organizacji stanie się bardziej niebezpieczna.

— W takim razie upozorujcie moją śmierć — podsunął im. — Rosjanie nie będą podejrzewali, że byłem kretem, gdy uznają mnie za martwego. — Ale kontrolerzy mówili o nowych pogłoskach, które dotyczyły plastycznych materiałów wybuchowych, ręcznych wyrzutni rakietowych i broni biologicznej przemycaanej przez porty opanowane przez mafię odeską. Przypominali mu o życiu niewinnych, których miał obowiązek ratować.

Tymczasem słuchał rozkazów pachana, palił domy, łamał ręce i nogi, wybijał zęby i bił kobiety. Jego dusza rozpadała się na kawałki.

Wiktor i Jaków wyszli z hotelu i rozejrzeli się, patrząc na przechodniów w padającym śniegu.

Skinęli głowami, dając znak Michaiłowi, żeby wyniósł dziecko. Andriej i Kagan ruszyli za nim. Kagan czuł chłód na policzkach. Jeszcze większe zimno w żołądku.

Za wiele, pomyślał. Dość tego.

Grupa minęła zasypane śniegiem wozy, zaparkowane wzdłuż chodnika. Przednie światła zabłyśły na ulicy. Wiktor otworzył boczne drzwi furgonetki. Jaków wsiadł. Michaił podszedł z dzieckiem. Andriej i Kagan za nim.

Dziecko zaczęło się wiercić w ramionach Michaiła.

Chciałem polepszyć świat, pomyślał Kagan.

Niemowlę krzyknęło. Michaił przytrzymał je jedną ręką, a drugą chwycił poręcz, żeby wsiąść do furgonetki.

— Nie upuść — przestrzegł Andriej.

Chciałem walczyć z ludźmi, którzy sprawili, że moi rodzice bali się przez tyle lat, pomyślał Kagan.

Dziecko fikało nogami, gdy Michaił usiadł obok Jakowa naprzeciwko bocznych drzwi.

A teraz nie różnię się od tych, z którymi miałem walczyć.

Kagan przepuścił Andrieja. Ponieważ środkowe miejsce było zajęte, Andriej musiał przecisnąć się na tył furgonetki.

Bilem. Torturowałem. Zabijałem, pomyślał Kagan. Ale, na Boga, tego jednego nie zrobię.

Schylił się, jakby chciał wsiąść. Z walącym sercem, podniósł rękę i z udawanym przestachem zapytał:

— Co się dzieje z dzieckiem? Krwawi?

— Co? — zapytał Michaił. — Gdzie? — Rozchylił ręce, żeby obejrzeć dziecko.

Kagan chwycił je, odskoczył od otwartych drzwi, czując za sobą Wiktora, i obrócił się gwałtownie.

Coś szarpnęło go mocno za kurtkę. Oburącz trzymając dziecko, zadał cios z taką siłą, że gdy łokieć uderzył w nos Wiktora, usłyszał trzask kości. Wiedział, że odłamki wniknęły w mózg.

Słyszając krzyki z otwartej furgonetki, popędził ulicą, skręcił pomiędzy zaparkowane auta, wyskoczył na chodnik i wrzasnął do przechodniów, żeby zeszli z drogi. Nagle jego lewe ramię drgnęło gwałtownie, a potem zdrętwiało.

Trafiła go kula. Dzięki tłumikowi na broni, z której oddano strzał, przechodnie się nie zorientowali, dlatego szyba przed nim rozpadła się na kawałki.

Miał rozpaczliwą nadzieję, że to ostatni strzał, jaki oddali. Andriej nie zaryzykuje zranienia dziecka.

Biegąc przez tłum, ranną lewą ręką rozpiął suwak skafandra. Odrętwienie zmieniło się w palący ból. Wyobrażając sobie, jak Andriej, Jaków i Michaił wyskakują z furgonetki, wepchnął dziecko pod skafander i podciągnął suwak, żeby zapewnić mu ciepło.

Wiedział, że Andriej rzuci się w pościg. Jaków i może Michaił wciągną ciało Wiktora do furgonetki, zanim przechodnie zrozumieją, co się stało, i wybuchnie panika. Potem dwaj zabójcy dołączą do polowania.

Usłyszał w słuchawce głos Andrieja:

— Piotrze, do licha, co robisz?

Kagan przyśpieszył, rozpychając ludzi na chodniku.

— Piotrze, oddaj paczkę!

Zamiast odpowiedzieć, Kagan odetchnął głęboko i pobiegł w kierunku katedry, która piętrzyła się na końcu wąskiej ulicy. Dziecko tuliło się do jego brzucha, ciepłe i zaskakująco spokojne.

Ochronię cię, obiecał w milczeniu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci nic nie groziło.

Rozglądał się, wypatrując radiowozu. Kusiło go, żeby prosić o pomoc, ale natychmiast uświadomił sobie, że w czasie potrzebnym na wyjaśnienia Andriej i pozostali go dopadną. Strzelą w głowę jemu i policjantowi i zabiorą dziecko.

Zadzwoń po wsparcie, pomyślał. Desperacko pragnąc skontaktować się z kontrolerami, sięgnął sztywniejącą ręką do lewej kieszeni kurtki. Zakręciło mu się w głowie, gdy stwierdził, że kieszeń jest oddarta, a komórka zniknęła wraz z zapasową amunicją. Przypomniał sobie, jak coś szarpnęło

go za kurtkę. Ktoś musiał się rzucić, żeby go zatrzymać, i rozdarł kieszeń.

Mieć plan, plan awaryjny, a potem drugi plan awaryjny. Instruktorzy wbili mu to do głowy. Wyobraź sobie, co masz zrobić. Powtórz to w myślach, jeśli nie możesz przeciwyczyć. Nigdy nie rób niczego, gdy nie znasz ewentualnych następstw.

Ale decyzję o zabraniu dziecka podjął w ułamku sekundy. Choć przed stajenką w katedrze wyrzucał sobie, że weźmie udział w porwaniu, nie zamierzał wykradać Rosjanom niemowlęcia do chwili, gdy pochylał się i zawołał do Michaiła: „Dziecko krwawi!”.

Dokąd zmierzam? — pomyślał z rozpaczą.

Zobaczył tłum na ulicy na prawo od katedry. Setki ludzi szły w tę samą stronę. Dziecko kopnęło go pod skafandrem, jakby nagłąc, by do nich dołączył.

— Piotr! — Zły głos Andriej a zabrzmiał w słuchawce. — Znalazłem twoją komórkę! Jesteś zdany na siebie! Nie otrzymasz pomocy! Odnieś paczkę!

Oddychając ciężko, skrzywiony z bólu, który narastał w lewym ramieniu, Kagan biegł, starając się nie stracić równowagi na śliskim chodniku. Usłyszał, jak ktoś w tłumie mówi o gwiazdkowych światłach na Canyon Road.

Dziecko znów go kopnęło.

— Piotrze, nie spodoba ci się, co zrobię — zapowiedział Andriej.

• • •

Dziecko kwiliło.

— Nie płacz — mruknął Kagan.

— Robię, co mogę, żeby małego uspokoić — zapewniła Meredith.

— Wiem — odparł łagodnie.

Napinając mięśnie, patrzył w okno na padający śnieg. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dziecko w jakiś sposób go ostrzega, choć pomysł wydawał się szalony.

Czyżbym stracił więcej krwi, niż myślałem? Tak mnie zamroczyło, że mam urojenia?

Dziecko znów się uciszyło. Ale mięśnie Kagana nie chciały się rozluźnić.

— Reszta historii może nie pasować do Bożego Narodzenia — powiedział. W nadziei, że tym zaintryguje chłopca, dodał: — Niektóre części Cole uznały za obrzydliwe.

— W takim razie chcę posłuchać — usłyszał w odpowiedzi.

Obliznął spierzchnięte wargi.

— Dobrze, ale nie mów, że nie ostrzegałem.

Magowie czuli się przytłoczeni tym, co usłyszeli od pasterzy i Marii. Zaskakujące podobieństwa do historii, którą sami opowiedzieli Herodowi, skłoniły ich do podjęcia niezwyklej decyzji. Naruszyli podstawową zasadę szpiegostwa i zdekonspirowali się, wyznając Marii, że są zagranicznymi agentami udającymi pracę dla Heroda.

„Chcieliśmy doprowadzić go do obłądu, podsuwając mu wymyśloną historię o nowo narodzonym królu żydowskim — wyjaśnili. — Ale przekonaliśmy się, że nasza zmyślona historia jest prawdą. Nie możesz tu zostać. Herod niebawem zacznie się zastanawiać, dlaczego nie złożyliśmy mu raportu. Jeśli się dowie o twoim dziecku z innego źródła, jego żołnierze przybędą tutaj i zabiją was wszystkich”.

Późniejsze wydarzenia dowodzą, że Maria i pasterze nie brali udziału w buntowniczym spisku. Gdyby było inaczej, zrozumieliby, że magowie stoją po ich stronie. Przyznaliby, że są buntownikami i próbowali połączyć siły z magami, żeby osłabić Heroda.

Ale tego nie zrobili. Zamiast tego dwie grupy rozdzieliły się i uciekły. Magowie podążyli nową trasą w kierunku domu, odgrywając rolę przynęty. Tymczasem Józef pośpieszył z Marią i Jezusem na południe, do Egiptu. Twierdził, że miał kolejny sen, nakazujący mu ucieczkę z rodziną. Szpieg dowodziłby, że sen stanowił przykrywkę mającą chronić magów w wypadku, gdyby Józef został złapany i przesłuchany. Było to wiarygodne wytłumaczenie, bo, jak wspominałem, tradycja domu



Dawida, do którego należał Józef, nakazywała szanowanie snów i postępowanie według ich wskazówek. Z tego samego powodu magowie utrzymywali, że też mieli sen, który nakłonił ich do powrotu do domu. Gdyby ich przesłuchano, oznajmiliby, że wcale nie zdradzili Heroda, tylko posłuchali tych samych nakazów wiary, zgodnie z którymi ruszyli za gwiazdą.

Nie wiadomo, czy Herod uwierzyłby w te historie. Ale przynajmniej mieli plan awaryjny.

Mateusz w swej Ewangelii mówi, że Józef, Maria i Jezus uciekli nocą. Z pewnością posłuchali rady magów, którzy nauczyli ich wędrowania po pustyni w ciemnościach. Sami magowie też zniknęli, jak przystało na dobrych szpiegów. Ale człowiek, który opowiedział mi tę wersję historii Bożego Narodzenia, był przekonany, że w końcu dołączyli do Jezusa, Marii i Józefa w Egipcie. Uczyli ich sztuczek swojego fachu: jak zauważać znaki świadczące, że są obserwowani, jak werbować agentów — ewangelie zwą ich uczniami — i jak wykrywać podwójnych agentów.

Ostatnia część każe mi wierzyć, że Jezus wiedział, iż Judasz go zdradzi. Być może nawet rozkazał mu zdradzić, żeby wypełniło się proroctwo. Świat szpiegów jest skomplikowany. Ale to historia Bożego Narodzenia, nie Wielkiej Nocy.

Cole mu przerwał:

— Powiedział pan, że ma teorię, dlaczego Józefa nie było z Marią, gdy magowie z nią rozmawiali.

— Tak. Świadom ogromnej odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, Józef stał się bardziej agentem ochrony niż mężem i ojcem. Podczas gdy magowie rozmawiali z Marią, obserwował ulicę, wypatrując żołnierzy Heroda. W przyszłości miał spędzać coraz mniej czasu z Marią i Jezusem, ponieważ zawsze dbał o ich bezpieczeństwo. Podobnie jak magowie znikł z kart ewangelii jak na dobrego ochroniarza przystało. Nigdzie w ewangelii nie jest wspomniany wprost. Krąży niewidoczny w tle.

— I mówił pan, że coś było obrzydliwe — przypomniał Cole.

— Parę rzeczy. Wszystkie związane z Herodem. Wbrew temu, na co liczyli magowie, nie zaczął tropić zmyślonych relacji, które pojawiały się w całym kraju. Jego nieobliczalne zachowanie nie zdestabilizowało Izraela. Zamiast tego zrobił coś tak niepokojącego, że nikt nie mógł tego przewidzieć, nawet biorąc pod uwagę jego przeszłe poczynania.

Gdy Herod zrozumiał, że został oszukany, w furii wysłał żołnierzy do Betlejem i okolicznych wiosek. A ci, posłuszni jego rozkazom, zabili wszystkie dzieci płci męskiej, które miały dwa lata lub mniej. Herod nie mógł być pewien, kiedy dokładnie narodził się nowy król. Szeroki margines dwóch lat dawał mu gwarancję, że zagrożenie zostanie wyeliminowane.

— Zginął każdy chłopiec, który miał dwa lata lub mniej? — Głos Cole'a zdradzał szok, ale też fascynację. — Słyszałem o tym, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy... Ilu ich zabił?

— Może nawet setkę. Tradycja podaje znacznie większą liczbę, ale zaludnienie na obszarze wokół Betlejem nie było dość wysokie, żeby uzasadnić mówienie o tysiącach ofiar. Mimo to masowy mord setki dzieci został odebrany tak, jakby chodziło o tysiące. Skutki okazały się katastrofalne.

Jeśli rzeczywiście planowano rewolucję, rzeź dzieci wywarła tak wstrząsające wrażenie, że nikt nie ośmielił się wystąpić przeciwko Herodowi. Jak można walczyć z psychopatą, który w ostatniej woli każe poderżnąć gardła kilkuset ludziom na swoim pogrzebie? Wydał ten rozkaz, ponieważ chciał, by lano łzy po jego śmierci. Nie miało znaczenia, czy poddani będą płakać nad nim, czy nad zabitymi. Interesowało go tylko, że kraj pograży się w żałobie.

Tak oto, z jednego punktu widzenia, plan magów kompletnie się nie powiódł. Mieli nadzieję na zdestabilizowanie rządów Heroda, a zamiast tego spowodowali rzeź. Ale z drugiej strony masowy mord wywarł niezamierzony pozytywny skutek. Zabijając wszystkie dzieci w okolicach Betlejem, Herod sprawił, że Dzieciątko Jezus było jedynym ocalałym, które urodziło się w miejscu i w czasie zapowiedzianym przez proroctwa o królu pokoju. Spis ludności miał decydujące znaczenie. Nic tylko ściągnął Marię i Jezusa do Betlejem, żeby wypełniło się proroctwo, ale również dostarczył dowód na piśmie, że tam urodził się Jezus.

Co do Heroda... Po rzezi dzieci opadła go tajemnicza choroba. Świadkowie donosili, że król czuł, jak trawi go ogień. Miał konwulsje. Nogi opuchły mu od wody. W trzewiach powstały wrzody. Penis zgnił i zalęgły się w nim robaki.

— Robaki na... fuj, ohyda — powiedział Cole.

— Uprzedzałem. Zapiski historyczne mówią, że król oddychał bardzo szybko i straszliwie cuchnęło mu z ust. Agonia Heroda trwała długo, co, przyznaję, sprawia mi satysfakcję. Gdy w końcu zmarł, urzędnicy odpowiedzialni za pogrzeb odmówili wypełnienia edyktu, więc w czasie pochówku nikogo nie zamordowano.

— Ale co go zabiło?

— Jedna z teorii mówi, że miał chroniczną chorobę nerek. Inna, że padł ofiarą atakującego błyskawicznie raka skóry. Ja jestem przekonany, że cierpiał na tak zwaną mięsożerną chorobę, nekrotyczne zapalenie powięzi. Krótko mówiąc, zjadły go własne bakterie. Nikt nie mógł bardziej zasłużyć na taki koniec. Strawiło go własne zło.

Ale mnie interesuje, jak do tego doszło. Pech? Wola boska? A może szpieg? Może ktoś dotknął Heroda zakażonym ubraniem i to wywołało chorobę? Nigdy się nie dowiemy. Gdy misja szpiegowska kończy się powodzeniem, nie jesteśmy świadomi, że cokolwiek się działo. Ale lubię myśleć, że Heroda uśmierciło to, co dziś nazywamy bronią biologiczną.

Kagan umilkł.

— I taka jest szpiegowska wersja Bożego Narodzenia.

Nagle dziecko krzyknęło.

W jednej chwili milczało. W następnej zawodziło, jakby odczuwało ból i strach całego świata. Tym razem Kagan był absolutnie pewien.

— Zaczyna się — powiedział.

## **CZĘŚĆ CZWARTA DZIECKO POKOJU**

— Cole, schowaj się za szafką z telewizorem! Meredith, zabierz dziecko do pralni!

Gdy kwilenie dziecka nie ustawało, Kagan zsunął się z fotela i chwycił pistolet oburącz, ignorując ból w lewym ramieniu. Choć zdawał sobie sprawę, że to szalony pomysł, instynkt podpowiadał, że malec coś mu mówi, ostrzega go płaczem. Nie przeżyłby tylu lat, gdyby nie polegał na instynkcie, który teraz odezwał się niczym dzwony alarmowe.

Andriej podejdzie od frontu, powiedział sobie, czując przyspieszone tętno. Spróbuje mnie rozprościć, podczas gdy pozostali zaatakują z boków. Jego zwykła metoda. Ta sama co w hotelu. Wie, że będę się tego spodziewał, ale to nie ma znaczenia. To najlepsza taktyka w tym miejscu.

A jednak, patrząc przez padający śnieg na ledwo widoczne ogrodzenie, nie widział nikogo.

Może to tylko wyobraźnia, łudził się. Może naprawdę odeszli.

Ale wiedział, że jeśli obserwują dom, teraz na pewno usłyszeli dziecko. Uszy bolały go od krzyku.

Jak usłyszę, czy ktoś się włamuje?

Płacz ucichł równie szybko, jak się zaczął.

Kagan usłyszał zgrzytanie. Meredith desperacko ciągnęła kosz do ciemnej pralni, gdzie miała ukryć niemowlę za pralką i suszarką.

W domu zapadła nienaturalna cisza.

Może daję się ponieść nerwom, pomyślał Kagan, choć raczej w to nie wierzył.

Może dziecko płakało tylko dlatego, że trzeba mu zmienić pieluchę.

Nagle zobaczył, że ledwo widoczna furtka otworzyła się i zamknęła, a ze śniegu wyłoniła się postać.

Kagan podniósł pistolet i wycelował, równoważąc ciężar tłumika. Czy Andriej myśli, że skrywa go śnieg? Mogę go teraz zastrzelić. Wtedy będę musiał się martwić tylko o...

Ale światło z nad drzwi frontowych odbiło się od śniegu, ujawniając, że przybysz ma jasnoszary płaszcz, a nie czarną kurtkę narciarską. Zamiast czapki stróża mężczyzna miał czapkę z daszkiem i nausznikami. Był wzrostu Andriej a, ale chudy, nie taki barczysty. Gdy podszedł bliżej, Kagan dostrzegł wąsy.

— Meredith?

— Co?

— Chodź tu prędko. Ktoś idzie. Czy twój mąż ma wąsy? Czy to on?

Kagan usłyszał kroki na ceglanej podłodze, gdy biegła w ciemności. Znow nie musiał jej przypominać, żeby w pokoju schyliła się nisko.

— Ja... — Spojrzała w okno. Oddech uwiązał jej w gardle. — Tak. To Ted.

Drzwi frontowe znajdowały się na prawo od okna. Kagan przesunął się w lewo. Trzymając się cienia, podszedł do okna, omiatając wzrokiem podwórko przed domem. Oczywiście nie widział miejsc pod samymi murami, ale postanowił zaryzykować.

Mężczyzna zmierzał do bocznych drzwi, a Kagan nie chciał, żeby wszedł od tamtej strony. Tam nie było okna. Nie mógł sprawdzić, czy ktoś się ukrywa za drzwiami. Intruz mógłby wpaść do domu za Tedem.

— Meredith, otwórz drzwi frontowe. Powiedz mu, żeby wszedł tędy.

Przyjrzała mu się uważnie. Nawet w cieniu widział zarys siniaków na jej policzku i w kąciu ust.

— Więcej cię nie uderzy. Obiecuję.

Meredith skinęła głową, przestała się wahać. Odsunęła rygiel i otworzyła drzwi. Jej sylwetka rysowała się na tle światła. Gdy zimne powietrze wpadło do pokoju, zawołała:

— Ted, wejdź! Tutaj.

— Meredith? — Głos brzmiał niepewnie, może od alkoholu. — Czyje to ślady? Śnieg prawie je zasypał, ale zdaje się, że prowadzą do domu. Czy ktoś przyszedł, gdy mnie nie było?

— Wejdź — powtórzyła ostro.

— Czy chwilę temu słyszałem płacz dziecka?

— Ted, na miłość boską, jest zimno. Wejdź szybko.

Ted podszedł do drzwi.

— Meredith, błagam cię o wybaczenie. Uderzyłem cię i to najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Zrobiłbym wszystko, żeby cofnąć czas. Nie umiem wyrazić, jak bardzo żałuję.

Do pokoju wpadł tuman śniegu.

Ted zdjął rękawice i przestąpił próg. Rzucił cień na podłogę pokoju.

— Te ślady... kto je zostawił?

Meredith szybko zatrzasnęła drzwi i zasunęła rygiel.

Kagan błyskawicznie podciął Tedowi nogi, przewrócił go, przycisnął glocka do tyłu jego głowy i polecił:

— Ręce na kark.

— Co się dzieje? Czy to pistolet?

— Ręce na kark i spleć palce.

— Kim...

Kagan złapał go za włosy i uderzył czołem w cegły.

Ted jęknął z bólu.

— Rób, co mówię. Meredith, wyglądaj przez okno.

Zajęła jego miejsce w fotelu.

Drżąc, Ted posłuchał i splótł ręce na karku. Jego oddech lekko pachniał whisky, ale mężczyzna mówił wyraźnie. Kagan pomyślał, że nie pił alkoholu od kilku godzin.

— Do diabła, co się dzieje?

— Słuchaj uważnie — polecił Kagan. — Jest tam ktoś?

— O co ci chodzi? Kim...

Kagan znow uderzył jego czołem w cegły, tym razem mocniej.

— Hej, boli!

— I o to chodzi, Ted. Kto tam jest?

— Jest Wigilia, na litość boską. Tam jest mnóstwo ludzi.

— W uliczce?

— Nie, na Canyon Road.

— Pytałem o uliczkę.

— Pusto. Mieszkamy daleko od Canyon Road, tutaj jest niewiele dekoracji. Kim jesteś, do diabła?

— Spokojnie.

Nie odrywając pistoletu od karku Teda, Kagan obszukał go zranioną ręką, walcząc z bólem. Zaczął od prawej kostki, przesunął rękę po nodze, obmacał biodra i krocze.

— No co ty! — sprzeciwił się Ted.

Kagan zignorował go, sprawdzając lewą nogę i resztę ciała. Nie znalazł broni. Poczul portfel, ale nie tego szukał.

— Komórki — powiedział. Jeśli będzie miał komórkę, wezwie pomoc. — Wyszedłeś stąd z dwiema komórkami, swoją i Meredith.

— Skąd wiesz? Co cię obchodzi...

— Gdzie one są?

— Ukradli mi.

— Co?

— Na Canyon Road. Ktoś mnie potracił i zniknął w tłumie. Po chwili zdałem sobie sprawę, że płaszcz wydaje się lżejszy. Sięgnąłem do kieszeni. Komórki znikły.

— Ktoś zabrał komórki, a zostawił portfel?

— Do kieszeni płaszcza łatwo sięgnąć, ale portfel noszę pod spodem. Meredith, kim jest ten facet? Jak dostał się do domu?

— Zamknij się, póki nie zadecyduję, czy ci wierzyć — warknął Kagan.

— Czemu miałbyś mi nie wierzyć? Nie wiem, kim jesteś, kolego, ale to sprawa między moją żoną i mną, okay?

Instykt podpowiadał Kaganowi, żeby pozwolić Tedowi mówić, może wymuski mu się coś pożytecznego.

Ted spojrzał błagalnie na żonę.

— Meredith, przysięgam, nigdy w życiu niczego bardziej nie żałowałem. Niezależnie od tego, czego chce ten facet, możemy się z nim dogadać. Ale nie rozwiążemy niczego, jeśli mi nie wybacysz. Po tym, co ci zrobiłem, chodziłem i chodziłem. Czułem się tak paskudnie, że wszedłbym pod ciężarówkę, gdyby Canyon Road nie została zamknięta dla ruchu.

— Możesz podnieść się na ręce i kolana — powiedział Kagan.

— Wszyscy się zachwycali kołędami i świątecznymi światłami, ale ja chciałem się zabić. — Ted mówił z napięciem w głosie, rozglądając się po pokoju. — Nie wiem dlaczego, ale nagle moją uwagę przyciągnął stary ceglany budynek z napisem „Przyjaciele”. Uderzyło mnie to jako swego rodzaju...

— Na kolana — rozkazał Kagan. — Włóż ręce do kieszeni.

Ted posłuchał, przesuwał kolana, żeby nie klęknąć na fałdach płaszcza. Niezdarnie wsunął ręce w kieszenie. Mówił przez cały czas.

— Pomyśl o tym, Meredith. To jedyna taka noc w roku, a ja naprawdę potrzebowałem przyjaciela, kogoś, kto mi pomoże, i zobaczyłem ten znak.

Kagan stał w cieniu, z dala od okna.

— Teraz możesz wstać.

Ted dźwignął się niepewnie, niemal tracąc równowagę, bo trzymał ręce w kieszeniach płaszcza. Wydawało się, że jest zbyt zdenerwowany, by przestać mówić.

— Wszedłem, a tam w wielkim pokoju na ławach pod ścianami siedzieli ludzie. Nikt nie powiedział słowa. Mieli spuszczone głowy. Nie rozumiałem, dopóki nie zobaczyłem tabliczki na ścianie: „Religijne Stowarzyszenie Przyjaciół”.

Urwał. Znów rozejrzał się po pokoju.

— Byli kwakrami, Meredith. Przypomniałem sobie, jak czytałem w gazecie, że kwakrowie

mają salę spotkań na Canyon Road. Usiadłem na ławce i zrozumiałem, że minęły lata, odkąd się modliłem. Niemal zapomniałem, jak to się robi, a Bóg wie, że miałem o co się modlić. O ciebie. O Cole'a. O siłę, żeby zerwać z piciem.

Ted rozglądał się po pokoju. Choć Kagan nie mógłby powiedzieć dlaczego, coś w zachowaniu mężczyzny budziło w nim niepokój.

— Po jakimś czasie podnieśli głowy i zaczęli rozmawiać. Ich głosy brzmiały tak spokojnie. Ich twarze niemal promieniały. Patrzyli na mnie, jakbym był najmilej widzianym gościem na świecie. Jeden z nich przyniósł mi kubek kawy. Nie wypytywali, ale wiedziałem, że rozumieją moje cierpienie. Tam byłem przez cały czas, Meredith. Czekałem, aż wytrzeźwieję na tyle, by wrócić do domu. Nie mogłem przestać się pytać, dokąd zmierza moje życie, co robię tobie i Cole'owi i... Cole? Gdzie jesteś, synu? Nic ci nie jest?

— Jestem tutaj. — Stłumiony głos chłopca dobiegł z kąta pokoju.

— Za szafką? Co ty tam robisz?

— Ukrywam się.

— Przed czym? Czy ten facet cię skrzywdził? Czy on...

— Nie — wtrąciła Meredith. — On nas nie skrzywdził.

— W takim razie niech ktoś mi powie, co się dzieje.

— Śledziło mnie trzech mężczyzn — oparł Kagan.

— Śledziło cię? O czym ty mówisz?

— Zamknij się i słuchaj. Są wysocy. Potężnie zbudowani. Wyglądają na twardzieli. Po czterdziestce. Jeden ma twarz jak wyrzeźbioną z pnia drzewa. Gęste brwi. Bliznę na lewym policzku. Silną szczękę. Jesteś pewien, że nie widziałeś nikogo takiego?

— Mówiłem, uliczka jest pusta. Nie widziałem nikogo, gdy zostawiłem tłum na Canyon Road. Słuchaj, odłóż pistolet. Robię się nerwowo.

— I tak ma być. Trzymaj ręce w kieszeniach.

— Tu jest za ciemno. Nie widzę twojej twarzy. Meredith, zapal światło.

— Nie — powiedział Kagan.

— Śledzili cię trzej faceci? Czego chcą? — Ted urwał, jakby zbierał myśli. — Jestem pewien, że słyszałem płacz dziecka. Gdzie ono jest?

Wszedł w głąb pokoju, zerkając w prawo i lewo. Jego oczy przywykły do mroku.

— Dlaczego te wszystkie szuflady leżą w korytarzu przed sypialniami?

Kagan poszedł za nim do kuchni. Złapał go za rękę, gdy sięgał do kontaktu, żeby zapalić światło.

Ted znów się odezwał, głośniejszym głosem:

— Dlaczego gotujesz...

— Wracaj. — Kagan szarpnął go i poprowadził do pokoju.

Niepokoilo go coś, co znalazł, a raczej czego nie znalazł, gdy przeszukiwał Teda. Nie miał broni. Nic zaskakującego. Portfel był, ale brakowało komórek. Wyjaśnienie, że je skradziono, miało sens. Wigilia to doskonała pora dla kieszonkowców. Tłumy, zamieszanie. Łatwo skraść drobiazgi z zewnętrznych kieszeni, trudniej portfel z wewnętrznej. Ale trafiło go coś innego. Kołatało w zakamarku umysłu.

Czegoś brakowało.

Czegoś, co każdy mężczyzna nosi w kieszeni spodni.

— Ted, gdzie są twoje klucze?

— Co?

— Gdy cię przeszukałem, nie znalazłem kluczy. Jak chciałeś wejść do domu?

— Klucze? Nie... — Znów umilkł, jakby zbierał myśli. — Chyba byłem taki pijany, że zapomniałem je zabrać.

— Nie — powiedziała Meredith. — Miałeś je w kieszeni. Chciałeś wziąć rangę rovera, ale uparłam się, że za dużo wypileś, żeby prowadzić. Wtedy mnie uderzyłeś. Powiedziałam ci, że Canyon Road jest zamknięta dla ruchu kołowego, a ty znowu mnie uderzyłeś. Ale chyba w końcu

do ciebie dotarło, bo poszedłeś pieszo.

— Mówiłem, że przepraszam, Meredith. Będę powtarzał tyle, ile trzeba. Źle postąpiłem. Miałaś wszelkie powody, żeby nie pozwolić mi siadać za kierownicą. Nigdy nie tknę alkoholu i przysięgam na Boga, nigdy cię nie uderzę.

— Nie zmieniaj tematu! — warknął Kagan. — Gdzie klucze?

Po raz trzeci Ted umilkł.

— Kieszonkowiec. Musiał je zabrać. Pewnie byłem zbyt pijany, by to spostrzec.

— Złodziej zabrał ci dwie komórki i klucze, ale nie portfel?

— Klucze były w kieszeni z komórkami. Teraz sobie

przypominam. Nietrudno było się do nich dostać. — Znow przerwał, po czym głośno powiedział:

— Wiem, że słyszałem płacz dziecka.

— Dlaczego mówisz tak głośno?

Ted przekrzywił głowę.

— Płacz płynął jakby... z kuchni? Nie... z pralni.

— Dlaczego robisz przerwy?

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje.

— Mam co do ciebie złe przeczucia, Ted.

— Pralnia.

— Bardzo złe przeczucia. Ci ludzie na zewnątrz... skłamałeś?

— Czemu miałbym...

— Obiecali ci, że puszczą wolno ciebie, Meredith i Cole'a, że nie zrobią wam krzywdy, jeśli im pomożesz?

— Mówiłem, nikogo tam nie ma — zaproponował Ted. Nagły, głębszy niepokój w jego głosie powiększył obawy Kavana.

— Są zabójcami, Ted. Cokolwiek ci powiedzieli, to nieprawda. Mają kategorię zakaz zostawiania świadków.

Meredith odwróciła się od okna.

— Ted, dobry Boże, okłamałeś nas?

— Oczywiście, że nie.

— Są tam? Pomagasz im?

— Nikomu nie pomagam — odparł Ted o wiele za szybko.

— Na kolana — rozkazał Kagan.

— Na kolana?

— Mówisz tak jakoś z przerwami. Słuchasz kogoś? Dlaczego nie zdjąłeś czapki?

Kagan kopnął go w nogi od tyłu i rzucił na kolana. Zerwał mu czapkę z nausznikami. Sprawdzał prawe ucho, ale niczego nie znalazł.

— Daj spokój! — sprzeciwił się Ted, próbując odwrócić głowę.

Kagan wsunął palec w lewe ucho. Ścisnęło go w dołku, gdy znalazł coś, co je blokowało. Czując mdłości, wyciągnął słuchawkę.

— Gdzie jest mikrofon?

— Mikrofon?

Kagan uderzył go lufą w skroń.

— Gdzie jest mikrofon?

Ted jęknął, podnosząc rękę do głowy.

— Mikrofon! — Kagan uderzył go drugi raz. — Gdzie jest?

— Pod kołnierzem płaszczka.

Kagan znalazł go i wyszarpnął.

— Gdzie nadajnik?

— W rękawicze. Jak mnie powaliłeś, wepchnąłem j;| pod fotel.

Szukając radia, Kagan krzyknął:

- Meredith, wiesz, dokąd iść. Szybko. Cole, on im powiedział, że się chowasz za szafką. Musisz znaleźć inne miejsce.
- Ale obiecali, że nie zrobią nam krzywdy! — Ted podniósł głos. — Nie narażę syna!
- Właśnie to zrobiłeś.
- Nie! Zależy mi tylko na ochronie rodziny. Meredith, próbowałem pomóc tobie i Cole'owi. Chyba rozumiesz.
- Słuchaj uważnie — polecił Kagan. — Komu uwierzysz? Swojej żonie i synowi, którzy mi zaufali, czy tym ludziom na zewnątrz, którzy zrobią wszystko, żeby zabrać dziecko? Zapewniam, zabiją nas wszystkich bez chwili wahania. Nigdy nie zostawiają świadków.
- Ja tylko chciałem...
- Na miłość boską, zamknij się i pomóż rodzinie!

• • •

Kucając w pokoju, Kagan słuchał, jak Meredith spieszy do pralni, gdzie ukryła dziecko. Nie miał pojęcia, jaką kryjówkę wybrał Cole, a nie śmiał pytać, gdyż wiedział, że Andriej usłyszy ich przez mikrofon, który zabrał Brody'emu. Miał zamiar wyłączyć nadajnik albo rzucić go na ceglana podłogę i roztrzaskać, wyładowując gniew, ale nagle zrozumiał, że może wykorzystać sprzęt.

Wsunął słuchawkę w lewe ucho i powiedział do mikrofonu:

- Andriej?
- Żałujesz, przyjacielu? — W głosie brzmiało rozgoryczenie. — Ostrzegałem, że tak się skończy.

Kagan odruchowo kierował słowa ku oknu.

- W domu są komputery. Wezwałem pomoc. Policja jest w drodze.
- Nie, Piotrze. Gdy ćwiczyłem z moim niezbyt dobrym szpiegiem, powiedział mi, że komputery mają hasła.
- Hasła — powtórzył Kagan, patrząc na Teda.

Ted wydawał się sparaliżowany z konsternacji. Nagle mruknął:

- Zaraz to załatwię. — Przeszedł przez pokój, minął szuflady na końcu korytarza i zniknął w gabinecie.
- Daj mi paczkę, a moja propozycja pozostanie aktualna. — Kagan usłyszał w słuchawce cierpki ton Andrieja. — Będziesz mógł odejść.
- Dlaczego ci nie wierzę?
- W takim razie zastanów się nad tym, co powiem. Przez swoją głupotę wmieszałeś się w sprawę innych ludzi. Ponosisz odpowiedzialność za wszystko, co spotka tę rodzinę. Zginą z twojej winy.

Kagan nic nie mógł na to poradzić, wciąż zerkał przez ramię: najpierw w stronę cieni w pralni, gdzie Meredith schowała dziecko, potem w kierunku blasku w gabinecie, zapewne z ekranu komputera. Słyszał, jak palce Teda stukają w klawiaturę.

Gdzie jest Cole? — zastanawiał się.

- Ale jeśli oddasz mi paczkę — mówił Andriej — daruję im życie.
- Choć są świadkami?
- Widział nas tylko mężczyzna. Zrobię wyjątek i pozwolę mu żyć, razem z żoną i synem. Znikniemy z Santa Fe, zanim policja się zorganizuje. Nie ryzykuję wiele, zostawiając rodzinę przy życiu. To mój ukłon w twoją stronę, Piotrze, ponieważ cenilem twoją przyjaźń, choć ty nie cenileś mojej. Daj paczkę. Przyjmij swoją karę. Skoro najwyraźniej masz sumienie, przynajmniej będziesz wiedział, że inni nie ucierpią z twojego powodu.
- To dziecko, Andriej. Nie paczka. Jeśli cię posłucham, co się z nim stanie?



— Nasi klienci zatrzymają paczkę, aby wykorzystać ją do nacisku na Hasana. Zmuszą go, żeby wyrzekł się swojej sprawy i zajął tylko leczeniem. To lepsze niż zabijanie, bo wówczas zostałby męczennikiem. W swoich przemówieniach Hasan obiecuje zwolennikom, że będzie niezmordowany w dążeniu do zaprowadzenia trwałego pokoju. Kiedy przysięga: „Nigdy was nie zawiodę”, ściągają do niego tysiące. Jeśli się wycofa, zwolennicy będą tak rozczarowani, że sprawa, o którą walczą, umrze śmiercią naturalną.

— A za rok? Za dwa lata? Co wtedy będzie z dzieckiem?

— Hasan i jego żona będą mogli je odwiedzać od czasu do czasu. Ma znamie na lewej pięcie.

— Tak. W kształcie róży.

— Dowód, że wciąż żyje, że nie zostało podmienione. Aby mu nie zaszkodzić, Hasan i jego żona nie ośmielą się nagłośnić sprawy.

— Przestań nazywać dziecko „tym”. Nie „to”, Andrieju. On. Osoba.

— Piotrze, wiesz, że to tylko cele. Gdybyś o tym pamiętał, nie byłoby tego problemu. Jak masz naprawdę na imię?

Kagan zignorował pytanie. Miał własne, pilne.

— Czy wrogowie Hasana wychowują dziecko?

— Tak. Gdy będzie dość duży, zostanie wyszkolony jako zamachowiec-samobójca.

Te słowa sprawiły, że Kagan poczuł, jakby uderzono go pięścią. Coś w nim odrętwiało. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Andriej przestał mówić o malcu bezosobowo.

— Jak masz naprawdę na imię? — powtórzył Andriej.

Wyszkolony jako zamachowiec samobójca? Kagan czuł się chory, niezdolny do wypowiedzenia słowa.

Ted wysunął się z gabinetu i podszedł do niego. Kagan zaczął stukać mikrofonem w udo, żeby Andriej ich nie usłyszał.

— Mogę już dzwonić przez komputer, ale gdy wystukałem numer policji, usłyszałem sygnał „zajęte”. W tej śnieżycy na pewno doszło do wielu wypadków na drogach. Wysłałem e-maile do znajomych w Santa Fe, żeby skontaktowali się z policją i skierowali tu antyterrorystów.

Kagan skinął głową, próbując okazać optymizm. A jednak nie mógł przestać myśleć: Jest Wigilia. Czy to nie jedyna noc w roku, gdy ludzie nie sprawdzają poczty? A jeśli już, czy ich telefony dodatkowo nie zablokują numeru dziewięćset jednaście? Ile godzin może minąć, zanim zjawi się policja?

W blasku padającym z gabinetu czuł się wystawiony na cel. Szepnął do Teda:

— Światło z monitorów. Wyłącz je.

Przestał pukać mikrofonem i powiedział:

— Jak mam na imię? Tak, jak ci powiedziałem. Piotr. Nie skłamałem w niczym. Nasza przyjaźń jest prawdziwa.

— Oczywiście. A nazwisko?

— Wiesz, że tego ci nie powiem. Muszę chronić rodzinę.

— Rodzinę? — parsknął Andriej. — Chcesz powiedzieć, że masz żonę, i nic mi nie powiedziałeś?

— Nie! Jak mógłbym tak długo pracować pod przykrywką i mieć żonę? Nie sądzisz, że chciałbym mieć żonę i dzieci jak ty? Nie sądzisz, że ci zazdrościsz? Matka i ojciec są moją rodziną.

Kagan powiedział to z tłumionym żalem. W rzeczywistości jego rodzice nie żyli — zginęli dwa lata temu, gdy pijany kierowca czołowo uderzył w ich wóz. Ale musiał próbować, żeby Andriej zobaczył w nim człowieka, nie cel. Powołanie się na rodziców dawało mu powód, by nie ujawnić nazwiska.

— I pracujesz dla wywiadu amerykańskiego?

— Tak.

— Przyznałeś się. Nareszcie nieco prawdy.

— Andrieju, pamiętasz dzień, jak pojechaliśmy do handlarza w Marylandzie, żeby odebrać partię broni dla pachana? Nakłoniliśmy go, żeby dał nam Glocka jako premię. Spędziliśmy popołudnie na strzelnicy, sprawdzając, kto lepiej strzela.

— I z mojego Glocka cię zabiję.

— Posłuchaj. Od paru lat nie przeżyłem lepszego popołudnia. — Kagan koncentrował uwagę na drzwiach kuchni, gotów strzelić, jeśli ktoś się w nich pokaże. — Jestem twoim przyjacielem, Andrieju. Zaproszenie do twojego domu było dla mnie zaszczytem. Czułem się uprzywilejowany, przebywając z twoją żoną i córkami. Są rodziną, jakiej ja nigdy nie miałem. Pamiętasz, jak ocaliłem ci życie w Kolumbii?

— Nie licz zbyt na wdzięczność, Piotrze.

Kagan przeniósł uwagę na cienie w korytarzu, nasłuchując, czy ktoś w nich oddycha.

— Ten baron narkotykowy poważnie się wkurzył, gdy okręt podwodny z epoki Związku Radzieckiego, który mu sprzedałeś, poszedł na dno w czasie próby przemytu kokainy do Stanów. To ja zauważyłem zasadzkę na piętrowym parkingu. Byłeś przede mną i pozostałymi. Mogłem cię zostawić i uciec jak oni. Ale pomogłem ci, podczas gdy nikt inny nawet nie kiwnął palcem.

— Z wdzięczności zapewnię ci szybką śmierć.

— Niektórych rzeczy nie można sfalszować, Andrieju. Nasza przyjaźń jest jedną z nich. Wyczułbyś od razu, gdybym grał. Nigdy nie powiedziałem swoim kontrolerom o niczym, w co byłeś osobiście zaangażowany. Nigdy nie zrobiłem niczego, co mogłoby cię narazić.

— Z wyjątkiem tego, że ukradłeś dziecko.

Kagan zauważył, że Andriej powiedział „dziecko”, nie „paczkę”. To obudziło w nim nadzieję.

— Nasi klienci są wyjątkowo bezwzględni — mówił Andriej. — Jeśli nie dostarczę im tego, za co zapłacili, nigdy nie przestaną mnie ścigać. Podobnie jak pachan. Ale najpierw ukarze moją żonę i córki.

— Istnieje inna możliwość! — Kagan krążył, sprawdzając drzwi kuchenne i korytarz.

— Nie wyobrażam sobie jaka.

— Przejdź na moją stronę.

— Na twoją stronę?

— Zaczynaj pracować dla nas.

— Miałbym zdradzić? — Andriej zareagował z oburzeniem.

— Wystarczy udawać, że trwa zimna wojna.

— Wstąpić do amerykańskiego wywiadu? I składasz mi tę propozycję na częstotliwości, na której słuchają moi towarzysze. Czy tego nauczyli cię kontrolerzy?

— Tylko w ten sposób mogę z tobą rozmawiać! Posłuchaj mnie, Andrieju. Praca po mojej stronie jest lepsza niż porwanie dzieci. Nie ma granicy, poniżej której zaczynasz sobą gardzić? Czy kiedykolwiek czułeś wstyd? Albo nawet odrazę?

Andriej milczał.

— To właśnie czułem od dawna — mówił Kagan. — Wstręt do samego siebie.

— Robię, co trzeba — odparł Andriej.

— Ale są inne sposoby zarabiania na życie. Twoja żona nie ma pojęcia, ilu ludzi zabiłeś, żeby zapłacić za ten ładny dom niedaleko plaży. Twoje córki nie wiedzą, ile przelałeś krwi, żeby mogły się uczyć w tej swojej cudownej prywatnej szkole. Jak sądzisz, jak zareagują, gdy się dowiedzą, kim naprawdę jesteś? Pewnego dnia agenci rządowi zabębnią do twoich drzwi. Albo pewnej nocy gangsterzy z konkurencji wpadną do twojego domu i...

— Milcz!

— Andrieju, kiedyś powiedziałeś, że nie mieliśmy wyboru. Cóż, daję ci możliwość przejęcia kontroli. Czy nie byłoby wspaniale, gdybyś mógł powiedzieć żonie i córkom prawdę, czym się zajmujesz, i mieć świadomość, że to uczciwe zajęcie? Moi ludzie ich przeniosą — powiedział Kagan do mikrofonu. — Otrzymacie nową tożsamość. Twoja żona i córki będą chronione. Nie będziesz musiał się o nie bać.

Kagan miał nadzieję, że to prawda. Mimowolnie przypomniał sobie strach, w jakim żyli jego rodzice pomimo obietnic Departamentu Stanu.

— Będiesz zarabiał uczciwe pieniądze, dla odmiany czyniąc dobro — podjął. — Nie sądzisz, że byłoby cudownie dać dziecku pokoju szansę na wypełnienie przeznaczenia?

— Przeznaczenia? — powtórzył Andriej drwiąco. — Mówisz jak polityk.

— Gdy dzisiaj uciekałem przed tobą, czułem, jak dziecko próbuje się ze mną porozumieć. Mówiło mi, dokąd mam iść, i ostrzegło, gdy byliście blisko.

— Rana sprawiła, że miałeś halucynacje.

— Ale wierzę, że to niemowlę czekają wielkie rzeczy w przyszłości, Andrieju. Jego ojciec jest wyjątkowym człowiekiem. To charyzmatyczny, inspirujący przywódca, który głosi nadzieję zamiast nienawiści. Wyobraź sobie, że jego syn może być jeszcze bardziej niezwykły. Może jest nam pisane zagwarantowanie, żeby wypełnił swoje przeznaczenie. Może dopilnujemy, żeby wrócił do rodziców?

— Wtedy klienci i pachan będą polować na nas obu. Ani nasza śmierć, ani śmierć naszych rodzin nie będzie szybka.

— Nie dojdzie do tego, Andrieju, jeśli my zapolujemy na nich pierwsi. Możemy sprawić, że pożałują, iż kiedykolwiek myśleli o wychowaniu dziecka na zamachowca--samobójcę. Co za potwór wpadł na ten pomysł? Jak daleko się posunie? Pokażmy im, że jesteśmy lepsi. Pokażmy im, że jesteśmy ludźmi.

Kagan urwał, zwracając głowę w kierunku drzwi, którymi z zewnątrz wchodziło się do kuchni. Czy coś słyszałem? Klucz wsuwany do zamka?

Znów postukał mikrofonem o nogę, żeby Andriej nie usłyszał, co szepcze do Teda.

— Na kuchence stoi garnek z wrzącą wodą. Postaw go na mikrofalówce. Gdy krzyknę „teraz!”, włącz mikrofałę. Zegar jest już nastawiony.

Kagan stał tak blisko, że nawet w cieniu zobaczył, jak Ted marszczy czoło z konsternacji.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia, Ted. Zrób to dla Meredith i Cole'a. Oni liczą na ciebie.

Ted zawahał się, potem zaskoczył go, kiwając głową.

— Cokolwiek chcesz. Mam od cholery spraw do nadrobienia. — Pochylając się nisko, pośpieszył do kuchni.

Kagan przestał pukać mikrofonem. Przypiął go do koszuli.

— Andrieju, jesteś jeszcze? Śnieg zakłóca transmisję radiową. Słyszałem tylko szum.

— Obawiam się, że dla mnie jest trochę za późno na udawanie, że jestem człowiekiem, Piotrze

— odparł Andriej. — Czy dziecko jest bezpieczne?

Kagan znów zwrócił uwagę, że powiedział „dziecko”, nie „paczka”. Miał nadzieję, że do niego dotarł.

— Tak. Jest bezpieczne.

— Myślę, że Ted miał rację, gdy mówił o pralni. Wesołych świąt.

Było coś znaczącego w stanowczości, z jaką Andriej wypowiedział dwa ostatnie słowa.

Nagle dziecko zapłakało w pralni.

• • •

Kule wybiły dziury we frontowym oknie, zasypując pokój szkłem.

Strzały padały bezgłośnie. W przeciwieństwie do nich trzask pękających szyb i uderzenia pocisków o ścianę brzmiały szokująco głośno, ale nie na tyle, by Kagan nie usłyszał brzęku szkła w sypialni.

Ktoś się włamywał.

Nacierają z trzech stron.

— Teraz, Ted! Teraz! — ryknął. — Włączaj!

Pomimo płaczu dziecka usłyszał szum mikrofalówki. Gdy zgarbiony Ted zawrócił do pokoju, z kuchni dobiegło trzaskanie. Kagan zobaczył błyski w sklepionym przejściu, ze zmiętej folii w

mikrofalówce strzelały iskry podobne do miniaturowych błyskawic.

Drzwi do kuchni otworzyły się z hukiem. Wpadła skulona sylwetka, strzelając we wszystko przed sobą, kule waliły w ściany i szafki, stłumione strzały były niesłyszalne w zamieszaniu.

Nagle zabrzmiał głośny huk, któremu towarzyszył oślepiający błysk. Rozgrzany klej wybuchł w plastikowej tubce, łuki z folii aluminiowej zapaliły lotne opary.

Gdy mikrofalówka eksplodowała w kuli ognia, Kagan zobaczył, że drzwiczki poleciały jak rakietą w stronę uzbrojonego bandyty, a garnek katapultował, zalewając go wrzącą wodą.

Dym wypełnił pomieszczenie. Słyszając wrzaski, Kagan wbiegł do kuchni, zobaczył człowieka wijącego się na podłodze i dwa razy strzelił mu w głowę. Był to Jaków. W zamkniętej przestrzeni stłumione strzały zabrzmiały jak pyknięcia pistoletu do wbijania gwoździ.

Kagan podbiegł do drzwi prowadzących na zewnątrz, zatrzaskał je i przekręcił zamek.

Dym gęstniał. Zobaczył, że płomienie liżą szafkę nad rozwaloną mikrofalówką.

— Nic ci nie jest?! — krzyknął Ted z pokoju. Głos wydawał się daleki, bo Kaganowi dzwoniło w uszach po eksplozji.

— Kuchnia się pali!

Ich głosy się nałożyły, gdy Ted wrzasnął:

— Ktoś jest w naszej sypialni! Słyszę, jak coś upadło!

Z oczami łzawiącymi od dymu Kagan kucnął przy

wejściu do pokoju. Wylał oczy rękawem i wycelował w głąb korytarza wiodącego na drugi koniec domu.

Za nim buchały coraz większe płomienie, kłęby dymu rozpraszały ich blask. W tym oświetleniu czuł się jak nagi.

Powietrze poruszyło się nad jego głową.

Znowu.

Jeszcze raz.

Kule. Ktoś strzelał z końca korytarza, hałas był ledwo słyszalny. Tłumik skrywał błyski, więc Kagan nie wiedział, gdzie dokładnie mierzyć.

Oddał dwa strzały w kierunku sypialni. Nie cierpiał marnować amunicji na cel, którego nie widział, ale musiał dopilnować, żeby bandyta nie wyszedł z sypialni.

— Ted, zaraz usłyszysz drugi wybuch! Jak huknie, nie wahaj się! Biegnij do kuchni i spróbuj zgasić ogień!

Ted nie odpowiedział.

— Ted!

— On słyszy, co do mnie mówisz! Będzie czekał, aż pobiegnę! Strzeli, gdy zobaczy mnie w blasku ognia!

— Zaufaj mi! Rób, co mówię!

Odpowiedziało mu milczenie.

Jedynym dźwiękiem był trzask płomieni trawiących szafkę.

Kagan desperacko próbował powstrzymać się od kas-lania. Poczul ruch powietrza i strzelił w głąb korytarza.

Jednocześnie trzy kule strzaskały szyby w oknie pokoju. Ktoś — zapewne Andriej — strzelał od frontu.

Dziecko zawodziło.

— Ted! — ryknął Kagan. — Meredith z dzieckiem może wyjść z pralni tylko przez kuchnię! Musisz zgasić ogień, zanim znajdą się w pułapce!

— Obiecałem, że zrobię wszystko, co chcesz! Powiedz tylko kiedy!

— Przyszykuj się!

Kagan pociągał za spust. Celował w podłogę na końcu korytarza, w pojemniki z lakierem do włosów i pianką do golenia, które tam umieścił. Stały dość daleko, trudne cele nawet za dnia. Z ogniem szalejącym za plecami, mógł tylko strzelać.

Założył, że ostrzeżony bandyta schowa się za drzwiami sypialni. Kagan miał nadzieję, że to w połączeniu z wybuchającymi pojemnikami zapewni Tedowi ochronę w czasie biegu do kuchni.

Oddał jeszcze jeden strzał i wzdrygnął się, gdy ostry huk poraził jego uszy. Pojemnik eksplodował, zasypując koniec korytarza kawałkami metalu i rozbryzgując płyn pod ciśnieniem.

— Teraz, Ted! Teraz!

Ale Ted już biegł, minął go i wskoczył do kuchni.

Potknął się o zwłoki Jakowa, przytrzymał stołu, żeby zachować równowagę, i skręcił do zlewu. Wpadł z impetem, który częściowo rozwiął dym. Płomienie, które wspinały się po szafce przy drzwiach, natychmiast pojaśniały.

Zaraz skończy mi się amunicja, pomyślał Kagan.

Usłyszał szum w zlewie, grzechot rondla, plusk nalewanej wody. Syknęła para, gdy Ted chlusnął wodą na płonąca szafkę.

Płomienie przygasły.

Ted napełnił rondel i polał szafkę.

— Zgaszone! — ryknął.

Gęstniejące cienie powiedziały Kaganowi to samo.

Pistolet Jakowa, pomyślał. Jeśli zdołam go osiągnąć...

Na chwilę oderwał spojrzenie od korytarza i skupił je na zwłokach. Ale jasne płomienie zakłóciły mu zdolność widzenia w ciemnościach i nie mógł zobaczyć broni.

Kolejne kule świsnęły obok niego, tym razem skierowane ku podłodze. Kagan zrozumiał, że pożar w kuchni musiał oświetlić pojemniki, które ustawił przy drzwiach. Bandyta naśladował jego taktykę.

— Ted, schowaj się za zlewem!

Ostry trzask eksplodującej puszką Kagan odczuł jak kłaśnięcie rękami w uszy.

Udręczony, próbował otrząsnąć się z szoku. Celując w głąb korytarza, zobaczył postać wyskakującą z sypialni.

Wie, że kończą mi się naboje!

Bandyta był zwalisty jak Michaił. Kagan wiedział, że włożył nowy magazynek, bo strzelał tak, jakby miał duży zapas amunicji.

Michaił lawirował pomiędzy rozstawionymi na podłodze szufladami, uprzedzony o obecności przeszkód. Zygzakowanie i bezustanne strzały utrudniały Kaganowi wzięcie go na cel.

Strzelił raz i drugi, a potem pistolet stał się bezużyteczny. Suwadło się cofnęło. Magazynek był pusty. Pewny, że zaraz umrze, przeturlał się w stronę zwłok Jakowa, szukając pistoletu. Zesztywniała ranna ręka utrudniała mu ruchy. Poczuł, jak kula uderzyła w ceglana podłogę, zasypując go odpryskami.

Bezskutecznie szukał pistoletu Jakowa.

Nagle Michaił potknął się, przewrócił twarzą na szufladę. Kagan uznał, że upadek wyglądał trochę dziwnie, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Odpiął nóż od kieszeni i zerwał się z podłogi.

Pędząc, zobaczył, jak niewyraźna postać podnosi głowę i pistolet. Ciął grzbiet nadgarstka, Michaił upuścił broń. Ale gdy ciął drugi raz, Michaił chwycił go zdrową ręką za kostkę i szarpnął mocno.

Kagan upadł ciężko.

Odepchnął się od podłogi, aż zachrząściło tłuczone szkło, i wstał w tej samej chwili co Michaił. Choć obaj mieli zranione ręce, zwarli się wściekle, ślizgając na kawałkach szkła. Kagan próbował dźgnąć przeciwnika, podczas gdy Michaił usiłował odsunąć nóż.

Serce Kagana biło tak dziko, że nie mógł liczyć na precyzję ruchów niezbędną w czasie walki wręcz. Walczyli jak dwa wielkie zwierzęta, zderzając się ze sobą.

Michaił był cięższy i umiejętnie wykorzystał tę przewagę. Zdrową ręką ściskając nadgarstek Kagana, obrócił go plecami do siebie. Zarzucił śliskie od krwi ramię na jego szyję i zaczął go dusić.

Kagan czuł narastający nacisk na krtań.

Coś trzasnęło.

Andriej włamuje się przez okno od frontu! — pomyślał.

Ale w tej samej chwili Michaił otrzymał cios od tyłu i poleciał do przodu.

Ted czymś go uderzył!

Kagan natychmiast wyrwał się przeciwnikowi. Próbował ciąć nożem, ale Michaił znów złapał go za nadgarstek i pchnął mocno. Kagan zatoczył się na ścianę korytarza. Jego głowa strzaskała szybę wiszącą tam obrazka.

Oszołomiony po zderzeniu, chciał uderzyć Michaiła kolanem w krocze, ale udało mu się tylko trafić w udo. Gdy Rosjanin przycisnął go do ściany, próbując wyrwać nóż, Kagan mocno nastąpił mu na stopę. Usłyszał jęk. Świadom, że po prawej stronie są otwarte drzwi gabinetu, użył całej siły, żeby obrócić się razem z Michaiłem i wepchnąć go w wejście.

Pałapka ze sznura podcięła nogi bandycie. Kagan dodatkowo popchnął go mocno. Gdy upadli na podłogę, był na wierzchu i jego ciężar wycisnął powietrze z płuc Michaiła. Rosjanin rozluźnił ręce na tyle, że Kagan zdołał uwolnić dłoń z nożem.

Wrzeszcząc z furii, wbił mu ostrze w gardło, po samą rękojeść. Czuł, jak przeciwnik się miota. Szarpnął nożem, poszerzając ranę. Usłyszał zgrzyt stali o kość, czuł gorącą krew bluzgającą na palce.

Michaił otworzył usta w desperackim wysiłku zaczerpnięcia tchu. Spróbował odepchnąć Kagana. Łapczywie zassał powietrze, z charkotem, bo krew zalewała mu krtań. Jego ręce traciły siłę. Kagan wciąż obracał ostrze. Wreszcie ręce Michaiła opadły, zadrżały i znieruchomiały.

Dopiero wtedy Kagan puścił nóż. Andriej! — pomyślał gorączkowo.

Choć kręciło mu się w głowie od szybkiego oddychania, rzucił się do miejsca, gdzie Michaił upuścił pistolet. Chwycił broń, wbiegł do salonu, przykucnął i wycelował w ostrzelane okno. Podłogę zaścielalo potłuczone szkło. Śnieg wpadał do pokoju przez wybite dziury.

Gdzie jest Andriej?

Kaganowi boleśnie dzwoniło w uszach. W pralni płakało dziecko. Krzyk zdawał się sączyć przez grube warstwy waty.

Nagle zauważył coś dziwnego — kule wytlukły szyby tylko w górnej połowie okna. Wszystkie strzały były skierowane w sufit, gdzie miały wyrządzić minimalne szkody.

Co, do...?

— Uważaj! — krzyknął za nim Ted.

Kagan odwrócił się i zobaczył, jak ciemna sylwetka wytacza się z gabinetu. Rana na szyi ziała, szeroko

otwarta. Michaił rzeził, rzygając krwią. Wyrwał nóż z gardła i trzymał go, gdy rzucił się w stronę Kagana. Ted wyskoczył z kuchni, wpadł na niego. Zderzenie rzuciło ich na podłogę. Michaił, rozjuszony, zamierzył się nożem. Ted wierzgał i walczył, żeby się odsunąć.

Nóż zadrasnął go w policzek, aż jęknął. Ale był już na tyle daleko, że Kagan mógł strzelić bez strachu, że go trafi. Wpakował dwie kule za prawe ucho Michaiła. Gdy Rosjanin upadł, tym razem nie miał wątpliwości, że nie żyje.

Andriej. Gdzie jest Andriej?

Kagan odwrócił się w stronę okna.

•••

Był zlany potem. Oddychał spazmatycznie. Wiedział, że minęły ledwie dwie minuty, ale intensywność walki jak gdyby spowolniła upływ czasu.

Dziecko zawodziło. Potem nagle ucichło.

Kagan usłyszał głos Andriej a, tym razem nie w słuchawce. Płynął cicho sprzed domu. Miał wrażenie, że Andriej krzyczy, ale wybuchy poraziły mu słuch, więc ledwo go słyszał.

— Piotr! Nic nie mów! Wyłącz nadajnik!

Mając się na baczności, Kagan nie zareagował.

— Słyszysz mnie? — krzyknął Andriej. — Wyłącz nadajnik!  
O co mu chodzi? — zastanowił się Kagan. Spięty, zrobił, co mu kazano.  
— W porządku, wyłączony! — Jego słowa zdawały się rozbrzmiewać w tunelu.  
— Wiedziałem, że przeżyłeś. W innym wypadku Jaków albo Michaił otworzyłyby drzwi.  
— Miło wiedzieć, że we mnie wierzysz.  
— Bardziej, niż sobie wyobrażasz — powiedział Andriej. — Nawiasem mówiąc, swój nadajnik też wyłączyłem. Klienci i pachan nie mogą nas słyszeć.  
— Co robisz? — Kagan celował w na wpół wytłuczone okno. Wciąż wpadał przez nie śnieg.  
— Wszystkie strzały oddałeś za wysoko. Gdybyś kontynuował atak od frontu, byłoby po mnie.  
— Zdałem się na przeznaczenie. Pomyślałem, że pozwolę Michaiłowi i Jakowowi, by zdecydowali za mnie. Jeśli wygrają, wtedy dziecko trafi do naszych klientów.  
— Sądziłem, że nie wierzysz w przeznaczenie. — Kagan wciąż mierzył w okno.  
— Oczywiście, że wierzę. Jestem Rosjaninem.  
— Powiedz mi, co cię powstrzymało.  
— Dziś w nocy wiele się wydarzyło, Piotrze.  
— Tak, to była pracowita Wigilia.  
— Pachan mnie zwymyślał.  
— Zwymyślał?  
— Chujesos. Gownosos. Kaczoc. Koszkajob.  
— Okazał wielki brak szacunku.  
— Stał po stronie klientów przeciwko mnie. Groził mi. Co gorsza, zagroził mojej rodzinie.  
— A nikt nie grozi twojej rodzinie.  
— Żebyś wiedział. Piotrze, chyba muszę uciekać. Jak myślisz, dokąd mam przenieść żonę i córki? Znasz Annę. Gdzie chciałaby zamieszkać?  
— Biorąc pod uwagę dzisiejszą pogodę, chyba w jakimś ciepłym miejscu. — Kagan pamiętał, dlaczego jego rodzice wybrali Florydę.  
— A może znudziło ją mieszkanie w pobliżu wody i wolałaby zmianę scenerii.  
— Będziesz musiał to z nią przedyskutować.  
— Gdy tylko tu skończę — powiedział Andriej sprzed domu. — Obu nas czeka polowanie. Jeśli mam przejść na drugą stronę, nie mogę zostawić swoich wrogów przy życiu, żeby przyszli po mnie i moją rodzinę.  
Kagan usłyszał głos za plecami. Ted mówił coś z przejęciem. Zrozumiał, że nie zwraca się do nikogo w domu, i że dokonał czegoś niezwykłego.  
— Andriej! — zawołał przez wytłuczone okno. — Okazało się, że Ted ma więcej odwagi, niż przypuszczaliśmy. Naraził życie, żeby ratować żonę i syna. Teraz przeszukał zwłoki i znalazł komórkę. Rozmawia z policją. Nie mam pojęcia, jak się dodzwonił. Ale zrobił to. Informuję cię na wypadek, gdybyś planował jakąś niespodziankę.  
— Myślisz, że nie mówię prawdy?  
— Myślę, że jeśli to podstęp, aby porwać dziecko, masz mniej niż pięć minut na wykonanie mchu.  
— Jacy z nas przyjaciele, skoro nie ufamy sobie wzajemnie? — zbeształ go Andriej. — Prawdę mówiąc, to ty masz mniej niż pięć minut. Jeśli chcemy, żeby się udało, musimy natychmiast stąd zwiewać. Gdy dałem Jakowowi klucz od domu, zatrzymałem kluczyki do samochodu. Użyłem ich parę minut temu, żeby wyprowadzić rangę rovera z garażu.  
— Nie słyszałem.  
— Nie spodziewałem się, że usłyszysz, zważywszy na to, co te wszystkie wybuchy musiały zrobić z twoimi uszami. Co je spowodowało?  
— Ten wielki to mikrofalówka.  
— Zawsze pomysłowy. Jestem pewien, że Jaków i Michaił tak się wystraszyli, że stracili impet.

— Jaków na pewno.

— Sukinsyn nie powinien uciekać, gdy ten baron narkotykowy chciał mnie zabić w Kolumbii. Piotrze, podejmij decyzję. Jeśli chcesz, żebym przeszedł na twoją stronę, musisz wyjść i pomóc mi zrobić, co trzeba.

Śnieg był taki gęsty, że Kagan niewiele widział za oknem. Czy chce mnie wywabić? — zastanawiał się.

— Andrieju, wiesz, co znaczy Santa Fe?

— Ktoś w tłumie wspomniał o tym dzisiejszej nocy. Święta Wiara.

— Chyba czas, żebym też nabrał trochę wiary.

Wszystko dla dziecka, pomyślał. Muszę zająć uwagę Andrieja. Muszę trzymać go z dala od domu.

— W porządku, wychodzę.

Odwrócił się w stronę Teda, który opuścił komórkę i powiedział:

— Antyterrorysty i ambulans są w drodze.

— Dzięki Bogu — szepnęła Meredith. Wyszła z pralni i stanęła w dymie, który jeszcze wisiał w kuchni. W blasku świateł z zewnątrz Kagan zobaczył, że trzyma dziecko.

— Nic ci nie jest? — zapytał.

— Boję się. Jest mi niedobrze. — Spojrzała nerwowo na zwłoki Jakowa i szybko odwróciła wzrok.

— A dziecko?

— Wszystko w porządku.

Kagan odetchnął z ulgą, ale nagle powietrze uwięzło mu w gardle.

— Chwileczkę. Gdzie jest Cole?

— Cole? — Głos Teda brzmiał ochryple. — Synu, gdzie jesteś?

— Cole? — Meredith rozejrzała się z rozpaczą.

Kagan omal nie spanikował, bojąc się, że chłopiec zginął w strzelaninie, ale nagle usłyszał cichy głos.

— Jestem tutaj. — Cole kuśtykał w mroku korytarza. Ciągnąc kij baseballowy, szedł niepewnym krokiem wśród szuflad na podłodze. Mrok nie skrywał ciała Michaiła.

Chłopiec zamarł na jego widok.

— Cole, widzisz mnie? — zapytał Ted. — Patrz na mnie. Nie patrz w dół, synu. Idę po ciebie. Kawałki szkła zachrzęściły pod butami. Ted podniósł syna i przeniósł go nad trupem.

Gdy go postawił, Kagan uspokajająco poklepał chłopca po ramieniu. W czasie strzelaniny coś go zaskoczyło, ale teraz rozumiał.

— Cole, gdy kazałem ci znaleźć nową kryjówkę, gdzie się schowałeś? — zapytał. — Przyszedłeś z korytarza. Byłeś w łazience?

— Tak. — Cole mówił tak, jakby był w szoku. — Leżałem w wannie.

— Drugi mężczyzna wyskoczył z sypialni — mówił Kagan. — Ale skończyła mi się amunicja. Zdażyłem sięgnąć po nóż tylko dzięki temu, że się potknął.

— Oczywiście — powiedziała Meredith. — Potknął się o jedną z szuflad, które rozstawiłeś.

— Nie, wiedział o nich — przypomniał jej Kagan. — I poruszał się pewnie. Nie potknął się o szufladę.

— Co więc się stało? — zapytał Ted. — Dlaczego upadł?

— Lepiej spytaj Cole'a.

— Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

— Powiedz im, Cole. Twój rodzice powinni wiedzieć, jaki jesteś dzielny.

— Dzielny? — Ted nie krył zdziwienia.

Chłopiec się zawahał.

— Musiałem pomóc. W całym tym hałasie nie słyszał, jak wyszedłem z wanny. Gdy przebiegał, wysunąłem kij.



— Podciąłeś go? — zapytała Meredith ze zdumieniem.

Cole obrócił w palcach kij baseballowy.

— Nie wiedziałem, co innego zrobić.

— Mój kochany, dzielny chłopiec — szepnęła Meredith.

— Już nie chłopiec — zaznaczył Kagan.

— Słyszę syreny — powiedział Cole, podnosząc głowę. Pozostało niewiele czasu. Kagan podszedł do Meredith i dziecka. Położył palec na małym czole.

— Dziecko pokoju? Boże, mam nadzieję. Rośnij silny i zdrowy, mały. Niech dzięki tobie uwierzę, że na ziemi jest możliwy pokój ludziom dobrej woli.

Andriej krzyknął na zewnątrz. Głos brzmiał nerwowo.

— Syreny, Piotrze! Kagan popatrzył ma Teda.

— Krwawi ci lewy policzek.

— Co? — Ted poderwał rękę do twarzy.

— Może kawałek szkła albo...

— Nie. To nóż.

— Głęboka rana. Obawiam się, że będziesz miał bliznę.

— To dobrze.

— Nie rozumiem.

— Będzie mi przypominać o tym, czego omal nie utraciłem. — Ted odwrócił się w stronę Meredith i Cole'a.

Kagan zrobił to samo.

— Meredith, czy ktoś ci mówił, jaka jesteś piękna? Z zakłopotaniem spuściła oczy. Gdyby paliły się światła, z pewnością zobaczyłby jej rumieńce.

— Ted, nie sądzisz, że jest piękna?

— Bardzo.

— Mów jej to codziennie.

Kagan wszedł do kuchni, włożył skafander, zakrywając koszulę poplamioną krwią Michaiła. Wepchnął jego pistolet i swojego glocka do prawej kieszeni. Podniósł broń Jakowa i załadował ostatni magazynek, który znalazł przy zwłokach.

— Meredith, powiedz policji o wszystkim, co się stało. Niczego nie zatajaj. Nie wiesz nic, co mogłoby mi zaszkodzić. Po prostu mów prawdę. Cole, nie zapomnij historii o magach.

— Szpiegowska wersja Bożego Narodzenia. — Chłopiec wciąż był oszołomiony.

— Co to za historia? — zapytał Ted.

— Syn ci opowie.

— Piotr! — krzyknął Andriej ostrzegawczo. — Policja! Nie mamy wiele czasu!

— Ted, chodź ze mną. — Podeszli do drzwi. — Gdy walczyłem z tym drugim, poczułem, że coś go uderzyło. Walnąłeś go czymś od tyłu?

— Lampą. — Krew ściekała z policzka Teda.

— Może jest jeszcze dla ciebie nadzieja. Strzelałeś kiedyś z pistoletu?

— Nie.

— Celujesz i naciskasz spust. Są pewne subtelności, ale zasadniczo o to chodzi.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Weź ten pistolet. Człowiek, z którym rozmawiałeś, ten z pobrużdżoną twarzą i gęstymi brwiami... Jeśli spróbuje wejść do domu, nie pozwól mu na to.

— Myślisz, że złamie słowo? Myślisz, że wciąga cię w pułapkę?

— Takie rzeczy się zdarzały. — Kagan się obejrzał. — Cole, jaka jest podstawowa zasada szpiega?

— Nie brać niczego za pewnik — odparł Cole apatycznie.

— A druga?

— Zawsze mieć plan awaryjny.  
— Jestem z ciebie dumny. — Kagan przyjrzał się ojcu chłopca. — Ted, powstrzymasz tego człowieka, jeśli spróbuje wejść?  
— Zrobię wszystko, by chronić rodzinę.  
— Pamiętaj o tym. Chronić rodzinę.  
— Masz moje słowo.  
— Gdybyś kiedyś zapomniał, gdybyś skrzywdził żonę i syna, pewnego dnia wrócę i przypomnę ci o tej rozmowie.  
— Nie będziesz musiał.  
Ted wyciągnął rękę.  
Kagan uścisnął ją i zauważył, że pomimo całej tej strzelaniny dłoń Teda nie drży.  
— Wierzę ci.  
Podszedł do drzwi i spojrzął przez ramię na dziecko ufnie wtulone w ramiona Meredith.  
Czy przesyłasz mi kolejny znak? — zastanowił się. Że wszystko będzie dobrze?  
— Ciesz się swoimi różami, Meredith.  
— Dzięki za ocalenie nam życia.  
— Nie musisz mi dziękować. Przeze mnie znaleźliście się w niebezpieczeństwie. Byłoby po nas, gdybyście nic byli tacy silni. — Kagan wskazał na Cole'a. — Znam paru zawodowców, którzy są mniej godni zaufania.  
— W każdym razie dziękuję za dotrzymanie obietnicy. — Spojrzała na Teda, potem na Kagana. — Dałeś mi prezent gwiazdkowy.  
Gdy Kagan wreszcie się zdecydował i sięgnął do klamki, dodała:  
— Nie powiedziałaś mi, jak masz na imię. Człowiek przed domu nazywa cię Piotrem. Czy to znaczy Peter? Czy tak masz na imię?  
— Tak na mnie mówi.  
Meredith po chwili namysłu pokiwała głową.  
— Rozumiem. Kimkolwiek jesteś, wesołych świąt.

• • •

Kagan otworzył drzwi i stanął w świetle. Jeśli Andriej zamierzał go zastrzelić, miał swoją szansę. Ale nic się nie stało.  
Wszystko jest aktem wiary, pomyślał. Drżąc, wyszedł z domu i ruszył przez padający śnieg do furtki. Słyszał cichy pomruk silnika. Gdy dotarł do uliczki, zobaczył ciemną sylwetkę rangę rovera. To się stanie, gdy otworzę drzwi, pomyślał, oproszony śniegiem.  
Opuściła się szyba po stronie pasażera.  
— Piotrze, obiecałeś, że pomożesz! Nie mogę przejść na twoją stronę, jeśli klienci i pachan będą polować na mnie i moją rodzinę. Dzisiaj ostatni raz będziemy działać razem. To moja jedyna szansa.  
Może to podstęp, pomyślał Kagan. Ale przynajmniej ocaliłem dziecko.  
— Od tej pory nie będzie kłamstw — powiedział, ociągając się. — Nie mam na imię Piotr.  
— Domyślam się. Co za niespodzianka.  
— Jestem Paul. — Kagan podszedł do drzwi. Miał nadzieję, że Andriej mu uwierzy, słysząc jego ton.  
— Nie przyzwyczaję się, żeby cię tak nazywać.  
— W takim razie mów mi Piotr.  
— Myślisz o zastrzeleniu mnie przez okno? — zapytał Andriej.  
— Prawdę mówiąc, myślałem, że obaj zrobimy trochę dobrego — odparł Kagan.  
Słuch poprawił mu się na tyle, że zdał sobie sprawę, iż syreny wyją znacznie bliżej, niżby sobie życzył.

— Trochę dobrego? — Andriej zastanowił się nad tym i wzruszył ramionami. — Czemu nie? To lepsze niż porywanie dzieci.

Kagan otworzył drzwi pasażera i zobaczył, że Andriej trzyma ręce na kierownicy.

— Jeśli chcesz mnie zastrzelić, masz okazję — powiedział Andriej. — Jestem bezradny.

Kagan wsiadł.

— Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie bezradnego. — Zatrzasnął drzwi.

Andriej wrzucił bieg i ruszył uliczką. Głęboki śnieg chrzęścił pod oponami pojazdu. Niedługo później skręcili w Canyon Road, którą jechało kilka samochodów.

— Słyszysz? — zapytał Andriej.

Kagan wyteńczył słuch.

— Syreny?

— Dzwony w katedrze. Jest północ.

— Boże Narodzenie.

Kagan pomyślał o rodzicach i świętach, jakich nigdy z nimi nie spędzi.

— Obejrzyj się — polecił Andriej.

Kagan odwrócił się. Tylne szyby range rovera była podgrzewana, więc nie przysłaniała jej śnieg. W dali zobaczył mgliste czerwone i niebieskie sygnalizatory wozów policyjnych pędzących Canyon Road. Ich błyski przypominały lampki na choince. Potem śnieg zgęstniał i światła znikły.

Gdy Andriej skręcił w lewo na sąsiednią ulicę, ślady opon range rovera zmieszały się z innymi. Przejechali przez mostek, dotarli do znaku stopu, zaczekali, aż przejedzie samochód, i ruszyli za nim. Parę sekund później na ulicy za nimi rozbłysły światła innego wozu.

Andriej spojrział w lusterko wsteczne.

— Będą szukać niebieskiego range rovera. Centrum jest tylko parę przecznic stąd. Znajdziemy parking i porzucimy wóz. Kradzież innego nie powinna być trudna. Nikt nie połapie się do rana.

— Brzmi jak plan.

Andriej wskazał mrugające światełka na mijanych domach.

— Tam gdzie się wychowałem, nie było takich rzeczy w Boże Narodzenie. Po rozpadzie Związku Radzieckiego, gdy przekradłem się do Stanów, byłem zdumiony wszystkimi tymi dekoracjami.

— Tylko dekoracjami? A co z duchem Bożego Narodzenia?

— Skoro, jak się okazało, znalazłeś u siebie sumienie, to i ducha pomożesz znaleźć.

— Już masz sumienie — odparł Kagan.

— Nie spraw, żebym tego pożałował.

Andriej sięgnął po coś pod kurtkę. Przez chwilę Kagan się bał, że Andriej go oszukał i wyciągnie pistolet. Niemal skoczył na niego, chcąc się bronić. Ale potem zrozumiał, że Andriej włączył nadajnik, który miał przypięty do pasa.

— Tu Melchior — powiedział do mikrofonu na kurtce. — Mam paczkę. — Urwał i słuchał, jadąc wśród wolno poruszających się pojazdów. — Jest bezpieczna i gotowa do dostarczenia. Mudak wypadł z interesów.

Andriej znowu słuchał.

— Tak, to była żałosna próba przekonania mnie, żebym dołączył do jego korporacji. W końcu dzięki mnie zrozumiał swoją głupotę. Jestem lojalny tylko wobec ciebie. — Znowu słuchał. — Najważniejsze, że naprawiłem swój błąd. Powiedz klientom, że mówię poważnie. Kiedy dostarczę paczkę, chcę przeprosin i premii.

Będziemy za pół godziny. Aha, i każ obsługę dostarczyć dla nas wódkę.

Andriej wcisnął klawisz i wyłączył nadajnik.

— Pół godziny. To da nam czas na przygotowania.

— Mudak. Paskudnie mnie nazwałeś — zauważył Kagan.

— To lepsze niż wyzwiska pachana. Naprawdę masz na imię Paul?

— Powierzam ci to w zaufaniu.

— Paul — powiedział Andriej na próbę. — Nie, nie podoba mi się. Piotrze, gdy pomożesz mi uciec, może spędzisz następne Boże Narodzenie ze mną i moją rodziną.

— Z przyjemnością znów ich zobaczę.

Dziecko jest bezpieczne, myślał Kagan. Nic innego nie ma znaczenia. Ocaliłem je. Jakoś wytrzymam, próbując żartować z Andriejem, chociaż jedziemy do walki na śmierć i życie. Pomogę mu, w czym tylko zechce. Zrobię wszystko, byleby dziecko było bezpieczne.

— Może tu, w Santa Fe. Może tutaj Anna i dziewczynki zamieszkałyby z przyjemnością — powiedział Andriej.

— Trochę za blisko miejsca pracy, nie sądzisz?

— Umiem wtopić się w otoczenie.

— Zgadza się — przyznał Kagan.

— Góry. Światło. Spokój. Wiele rzeczy im się spodoba.

— Spokój to dobra rzecz — zgodził się Kagan.

Dzięki Bogu, dziecko jest bezpieczne, myślał. Słuch mu się poprawił, więc dźwięk dzwonów w katedrze był wyraźny.

— Masz amunicję? — zapytał Andriej.

— Mój Glock jest pusty. Mam prawie pełen magazynek w pistolecie Michaiła.

— Dam ci zapasowy do Glocka.

Kagan patrzył czujnie, gdy Andriej sięgnął do kieszeni. Ale gdy wyjął rękę, trzymał tylko magazynek.

— Piotrze, możesz mi coś wyjaśnić?

— Cokolwiek chcesz wiedzieć. Mówiłem ci, że będę absolutnie szczery.

— Widziałeś film To wspaniałe życie?

Kagan zapanował nad konsternacją i odparł:

— Wiele razy. Moi rodzice oglądali go co roku.

— Dziwię się, że obejrzałeś go choć raz. To mnie intryguje. Dlaczego ludzie tak lubią ten film? Nie sądzisz, że ten gruby anioł wygląda głupio? I co z Jamesem Stewartem? Jest za chudy. Powinien bardziej się napychać świątecznymi kolacjami.

— Gdyby się napychał, wyglądałby jak anioł — zauważył Kagan.

— Nie powiedziałem, że powinien napchać się tak bardzo. Ale jego bohater tak wierzył, że to cud iż oszustwo nie pozbawiło go wszystkiego.

— Ktoś musi pilnować, żeby to nie spotykało ludzi.

Dzwony zadzwoniły głośniejsze.

— Wesołych świąt, Andrieju.

— Cokolwiek to znaczy. — Andriej pomyślał nad tym. — Wzajemnie, Piotrze. Wesołych świąt.

## PODZIĘKOWANIA

Szczególne podziękowania należą się mieszkańcom okolic Canyon Road w Santa Fe: Acequia Madre, Corrales, Camino del Monte Sol i innych ulic. Co roku w Boże Narodzenie przemieniają swoje sąsiedztwo w baśniową krainę, która przyciąga gości z całego świata. Ich ciężka praca, radość i świąteczna gościnność są powszechnie doceniane. American Planning Association słusznie uznaje Canyon Road za jedną z dziesięciu najważniejszych ulic w Stanach Zjednoczonych.

Poza tym jestem wdzięczny następującym osobom:

Mary Kay Andrews, autorce uroczej świątecznej powieści, *Blue Christmas*. To Mary zasugerowała, żebym napisał wigilijną książkę o szpiegu;

C. J. Lyonsowi, fascynującemu powieściopisarzowi (*Lifelines*) i specjaliście pediatrze, który powiedział mi o sposobach zastępowania mieszanki dla niemowląt

oraz podał inne szczegóły dotyczące opieki nad dzieckiem istotne dla mojego głównego bohatera;

Rogerowi Cooperowi, Peterowi Costanzo, Georginie Levitt, Amandzie Ferber i cudownej grupie wsparcia z wydawnictwa Vanguard Press/Perseus Books;

Mojemu wydawcy, Steve'owi Saffelowi;

Mojej agentce, Sarie Morrell, i przewodniczce po Internecie, Nanci Kalancie;

Jane Dystel, Miriam Goderich i reszcie dobrych ludzi z Dystel/Goderich Literary Management.

Wszyscy oni rozświetlili moją ścieżkę.

David Morrell

## **SPIS TREŚCI**

CZĘŚĆ PIERWSZA

MIASTO ŚWIĘTEJ WIARY ..... 9

CZĘŚĆ DRUGA

RÓŻA BOŻEGO NARODZENIA..... 63

CZĘŚĆ TRZECIA TRZEJ KRÓLOWIE.....145

CZĘŚĆ CZWARTA

DZIECKO POKOJU.....199

PODZIĘKOWANIA.....245